

SZKICE I OBRAZKI.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WYDAWNICTWO SPÓŁKI NAKŁADOWEJ
WARSZAWSKIĘJ.

SZKICE I OBRAZKI
BOLESŁAWA PRUSA
(ALEKSANDRA GŁOWACKIEGO)

z portretem autora.



OO MOZEMY.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W BIURZE I EKSPEDYCYI
Spółki Nakładowej.
Zielna Nr. 7a.

BOLESŁAW PRUS.

SZKICE I OBRAZKI.

TOM DRUGI.

ORESTES I PYLADES. — ON. — PODWÓJNY
CZŁOWIEK. — NA POGRANICZU. — ECHA
MUZYCZNE — PAN DUDKOWSKI I JEGO
FOLWARK. — GRZECHY DZIECIŃSTWA.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W BIURZE I EKSPEDYCYI
Spółki Nakładowej.
Zielna Nr. 7a.

Staraniem Spółki Nakładowej Warszawskiej wyszły z druku i są do nabycia we wszystkich księgarniach następujące dzieła:

Dr. Chmielowski Piotr. Autorki Polskie wieku XIX. Studium literacko-obyczajowe. Z sześcioma portretami str. 541.

Rs. 2 kop. 50

Herbert Spencer. Zasady Etyki, z 3 wyd. oryginału angielskiego, przełożył Jan Karłowicz. Rs. 2

Światelko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich, w ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście. Rs. 1 kop. 80

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury XIX wieku. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, Rs. 2

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi. kop. 50

Smoleński Władysław. Drobną szlachtą w Królestwie Polskim, studjum etnograficzno-społeczne. kop. 60

Wydawający dzieła powyższe w kantorze Spółki Nakładowej (Warszawa — Zielna Nr. 7A), kosztów przesyłki nie ponoszą.

PRAWDA

Tygodnik polityczny, społeczny, naukowy i literacki organ liberalny i demokratyczny, zasilany pracami najznakomitszych umysłów postępowych — kosztuje kwartalnie: w Warszawie rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 50. Oprócz zwykłego numeru tygodniowego wychodzi *bezpłatny dodatek* kwartalny, zawierający dzieła naukowe. Między innymi wydano w tym dodatku: J. Brandesa *Główne prądy literatury XIX w.*, tomów cztery, cena obecna rs. 6. W bieżącym roku rozpocznie się drukować *Logika Liarda*.

Warszawa, Zielna 7A.

Wydawca i Redaktor Dr. fil. A. Świętochowski.

Nakładem Prawdy wyszło słynne dzieło E. Tylora p. t.


Zmysłność i moralność roślin,

które wybornie popularyzuje oraz *ilustracyami* objaśnia najnowsze badania botaniczne. Cena w oprawie i z przesyłką pocztową rs. 2.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów.

Дозволено Цензурою. — Варшава, дня 11 Юля 1885 года.

2749/
<http://rcin.org.pl>

RESTES I PYLADES.

Orestes i Pylades.

Poznałem ich w restauracyi, a kilka wyrazów sprawiły to, żem od razu do nich przylgnął. Po kolacyi bowiem, gdy Orest zapytał Pyladesa: „mój drogi, gdzie są papierosy?“ ten mu je podał ze swojej cygarnicy. A w chwilę później Pylades rzekł do Oresta: „czy ty wzięłeś portmonetkę?“ „Ja“ — odparł Orest. — „No, to płać — zakończył Pylades — i idźmy do domu“.

Ludzie, którzy posiadają wspólne papierosy i portmonetę zasługują na uwagę. W pierwszej chwili sądziłem, że to jacyś wyjątkowi bracia, lecz objaśniono mnie, że to tylko dobrzy znajomi.

— Bardzo dobrzy znajomi — dodałem w duchu i złożyłem im wizytę. W drodze, ich wspólny przyjaciel powiedział mi, że gdy pewnego razu ktoś w złośliwy sposób odezwał się o dochodach Oresta, Pylades wyzwał go na pojedynek. Szczęściem Orest,

dowiedziawszy się o zajściu, zaczął swego oszezercę i zapowiedział, że—zabije go, jeżeli Pyladesowi spadnie bodaj włos z głowy.

Wobec tego oszezerca cofnął się i przeprosił obu przyjaciół.

Zapoznawszy się z tak wyjątkowymi ludźmi, odkrywałem w nich coraz nowe dowody wzajemnego przywiązania. Oto, co się trafiło zeszłego karnawału.

Byłem u Oresta w godzinie, w której wybierał się na maskaradową schadzkę. Już kazał przynieść bieliznę i balowy garnitur, gdy wszedł Pylades.

— Co ci jest? — zapytał go Orest, spostrzegłszy niezwykle odciętą twarz przyjaciela...

— Mam schadzkę na maskaradzie — odparł zapytany — no, ale cóż — kiedy mi nie odnieśli fraka...

— Więc bierz mój... — zawołał Orest.

— Tak, ale w dodatku praczka nie oddała mi koszuli.

— Moja jest w tej chwili kupiona, niechże ci służy — dodał Orest i trochę pobladł.

— A tobie co?... — spytał zalekniony Pylades, patrząc przyjacielowi w oczy.

Orest milczał; za to ja się odezwałem:

— Ma schadzkę na maskaradzie.

— O, facecie! — zawołał Pylades, ściskając przyjaciela. — I ty myślisz, że ja w podobnych warunkach wziąłbym twój frak i koszulę?...

A widząc, że Orest nie zmienia zamiaru, dodał poważnie:

— Jeżeli nie chcesz, ażebym z tobą zerwał, ubieraj się i idź...

Orest zaczął się ubierać i śmiejąc się, rzekł:

— Pani Zofia ma szczęście, no, no!... A gotów byłem dziś nie dotrzymać jój placu.

— Pani Zofia?...—krzyknął Pylades.

Orest stanął przed nim jak posąg i przesywając go wzrokiem, zapytał:

— Więc to ty miałeś się z nią dziś zobaczyć?...

— No — tak! — odpowiedział Pylades tonem szlachetnej rezygnacyi.

— Więc... ja zostanę w domu — rzekł Orest z mocą.

— Nie, zostaniemy obaj—odparł Pylades.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, lecz w końcu uścisnęli się za ręce i obaj zostali.

— Nie mogłem pohamować wzruszenia i ucałowałem każdego po kolei. Przyjaźń ich wytrzymała najcięższą próbę.

Dziś — siedzą obaj w więzieniu, pod zarzutem, że fałszowali stemple. Orestes posiadał wyjątkowy talent do niepochwytnego wyskrobywania liter: *K. O. P.*, a Pylades z nieporównanem mistrzostwem wypisywał litery: *R. U. B.*



N.

O n.



Kilka lat temu, około południa, przez jedną z mniej ruchliwych ulic Berlina, szli z wolna dwaj ludzie: wojskowy i cywilny.

Wojskowy szedł, a raczej włókł się naprzód, cywilny o parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stąpił—jak generał na paradzie. Miał jasne rękawiczki, szare latające oczy i minę człowieka, który pozwala światu nie padać przed sobą na kolana. Na jego ruchliwej twarzy malowała się duma i niestrudzona czujność, której przedmiotem był wojskowy towarzysz. Chwilami zdawało się, że człowiek w bobrowem futrze posiada nieoceniony dar strzyżenia uszami, dzięki czemu słyszy nie tylko każde cbrząknięcie wojskowego, ale nawet tajemniczy szelest jego myśli, które wzbierały i opadały, jak fale Bałtyckiego morza.

Czułość ta jednak nie przeszkadzała cywilnemu krzywić się, jeżeli ktoś minął go nie otworzywszy ust ze zdziwienia, albo uśmiechać się do żołnierzy, którzy przed jego towarzyszem stawali wyprężeni jak struny, z ręką przy skroni i osłupiałemi oczyma.

Wlokący się naprzód wojskowy był człowiekiem olbrzymiego wzrostu. Miał długi płaszcz z peleryną i furażerkę z daszkiem. Twarzy jego trudno było przypatrzeć się, zasłaniał ją bowiem daszek i podniesiony kołnierz. Tylko, jeżeli niekiedy kołnierz odchylił się, widać było wypukłe oczy z obwisłemi powiekami, siwiejące wąsy blond także obwisłe i policzki poorane zmarszczkami, jakby wykute z piaskowca.

O ile jego towarzysz w cylindrze zdawał się być bardzo interesowany tem, ażeby go cały Berlin widział i podziwiał, o tyle wojskowy był zupełnie obojętny. Stąpił ciężko, brzęcząc wielkimi ostrogami. Nie odpowiedział na ukłony, a nawet nie zwrócił uwagi na maszerujący oddział piechoty, który, mijając go, uderzył w bębny i sprezentował sztandar, co jego towarzysza napełniło taką dumą, że musiał użyć wszystkich sił, ażeby na nim nie pękło bobrowe futro.

Zwykli przechodnie, zajęci świątecznemi sprawunkami, mijali ich obojętnie. Zdarzało się jednak, że któryś uważniejszy spostrzegwał olbrzyma w płaszczu i ustępował mu z drogi, zdejmując czapkę. Je-

den nawet zdawał się być tak zdziwiony, że zamiast ustąpić, otworzył tylko usta i patrzył na wojskowego, jak na widziadło. Para zaś starych berlińczyków, widocznie mąż i żona, bo mieli jednakowe zajęcze kołnierze i jednakowe bawełniane rękawiczki, zobaczywszy olbrzyma, tręcili się jednocześnie w ręce:

— Patrz, to *On!*... — szepnął mąż.

— Patrz Fryc, to *On!*... — rzekła żona.

Na ten widok cywilny w bobrach począł jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwać głową i strzydzić uszami, jakby cieczył się z ich domyślności i chciał powiedzieć:

— Tak to on... a to—ja!...

Ale staruszkowie w zajęczych kołnierzach nie spostrzegli tych przyjacielskich sygnałów. Ich oczy były przykute do wspaniałej figury wojskowego. Gdy zaś znikł na rogu ulicy, przypatrywali się ze czcią kamieniom, których dotknęły jego olbrzymie stopy.

Na zakręcie chodnika człowiek w bobrach jeszcze raz odwrócił się do staruszków i z wielką życzliwością kiwnął im głową, niby potwierdzając:

— Tak—to ja!...

Wojskowy włókł się ciężko, jak człowiek, który na swoich niezmiernie szerokich barkach dźwiga losy czterdziestu pięciu milionów. Leczą, choć oddychał z trudnością, zmęczony długim spacerem, mimo to, zdawało się, że gdy zechce, jego płaszcz zamieni

się w olbrzymie skrzydła, które porwą go i uniosą tam, skąd narody wyglądają jak mrowiska.

Na téj ulicy panował ruch większy. Było dużo sklepów i tłumy przechodniów. Wojskowy ocknął się i wypukłe oczy, które dotychczas patrzyły niewiadomo gdzie, skierował na ruch uliczny. Jednem spojrzeniem ogarnął tysiące ludzi. Tu spostrzegł gromadę kobiet targujących się z przekupką o tłu-
stą gęś, — tam, kilku robotników fabrycznych, bładych, uczernionych i spacerujących, jak żołnierze. Widział żonę, która napróżno wyciągała męża z szynkowni, a dalej — kilka osób, które szły z węzłkami środkiem ulicy. Ktoś w téj gromadzie płakał, reszta zaś mówiła między sobą, że trzeba iść prędko, bo spóźnią się na pociąg do Hamburga i okręt bez nich pojedzie do Ameryki!..

Olbrzym zmarszczył krzaczaste brwi i odwrócił się w inną stronę. Wnet przecie kamienna twarz jego rozjaśniła się: zobaczył bowiem trzech bardzo małych chłopców, z których jeden miał pałasz, drugi dziecinny karabin, a trzeci tornister i papierową pikielhaubę. Błysnęła mu niewyraźna myśl, że choć kilku desperatów wyjedzie do Ameryki, to jednak na ich miejsce z tych oto dzieci wyrosną nowi zdobywcy.

Nagle cywilny w bobrach skoczył naprzód z taką gwałtownością, że zachwiało mu się cylinder. Zdarzyła się rzecz niesłychana. On, sekretarz, po-

wiernik i biograf wielkiego człowieka, nie spostrzegł, że jego pan zatrzymał się na ulicy...

Stanął, stał i patrzył, — a sekretarz nie mógł nawet odgadnąć, na co patrzy? Jest tu wprawdzie sklepik z kolonialnymi towarami, ale czyliż *On* nie zna cynamonu, muszkatołowej gałki, a choćby i kokosowych orzechów?... Na cóż więc patrzy?...

W téj chwili olbrzym z cicha westchnął. Nieba!.. *On* westchnął?... Sekretarz nie wierzy własnym uszom. Obchodzi pana z boku i na jego twarzy widzi nieomylnie znaki wzruszenia... Czyżby go wzruszył cynamon?...

— Ach!... o mało nie krzyknął biograf, zobaczywszy w głębi sklepu małą choinkę, obwieszoną kilkoma piernikami. *Jego* tak rozmarzył widok choinki ubogich... Cóż to za poetyczna dusza!... Byle tylko nie wymyślił nowego podatku na ubogie dzieci!...

Nareszcie olbrzym odszedł od sklepu, z takim ruchem, jakby mu było trudno oderwać się od — choinki.

— Teraz już wrócimy do domu — pomyślał sekretarz, ciesząc się w duchu, że do biografii przybywa jeden z najbardziej interesujących rozdziałów. *On* rozmarzył się wobec choinki!... Czy nie piękny temat?... Wspomnienia z lat dziecinnych unoszące się nad krwawym szlakiem od Saarbrücken do Pa-

ryża... Nie ma wydawcy, któryby tego rozdziału nie kupił na wagę stumarkowych banknotów!..

Sekretarz, przywykły do trafnego odgadywania publicznych i prywatnych projektów pana, miał już cały pomysł w głowie. Oto *On*, zmęczony nocną pracą, wyszedł około południa na spacer. Był nieco zdenerwowany, a więc przystępniejszy dla ludzkich uczuć. Widok przedświątecznego ruchu usposobił go jeszcze lepij, a choinka — rozmarzyła do reszty.

— Jestem pewny — myślał sekretarz — że ta choinka stanie się źródłem mnóstwa nowych projektów dla klas pracujących, a może i... gratyfikacyi?..

Oj! ci wieley ludzie... — szepnął sekretarz. — Ani wiedzą jak łatwo przychodzi odgadywać ich zamiary tym, którzy dokładniej zbadali mechanizm geniuszu!..

W tem miejscu sekretarz nie mógł powstrzymać się od złożenia hołdu swojej przenikliwości. Jednocześnie obrzucił okiem Berlin i spostrzegł, że mu się jego pan znowu wymknął. Wprawdzie tylko o kilka kroków, gdyż od swego sekretarza i bibliografa człowiek dalej uciec nie może.

Tym razem wojskowy stał przed straganem z zabawkami, gdzie chudy i zmarznięty kupiec, gromadzące ciekawych zachwalał swoje towary.

— Oto jest pociąg kolei żelaznej, który sam jeździ — cztery marki!.. Oto jest słoń, który sam cho-

dzi i rycy — dwie markil... Nakręca się ogonem...
Oto jest pajac za dwadzieścia fenigów!..

Kolój i słonia mogli widzieć tylko ludzie dorośli, bo zabawki te biegały po stole. Ale pajac wisiał w górze. Miał odzienie złożone z płatów niebieskich, paśowych i żółtych, śpiczastą czapkę, a w rękach dwie blachy! Gdy kramarz pociągnął za sznurek, pajac rozrzucił nogi, uderzał w blachy, przewracał oczyma i pokazywał język.

— Ach! jaki on śliczny!.. — odezwał się w téj chwili dzieciący głosik.

Wojskowy spojrział w tę stronę i zobaczył jasnowłosego chłopczyka, który, zadarłszy głowę i złożwszy ręce, patrzył na pajaca jak na cud. Ile zaś razy pajac mocniej wyrzucił nogą albo lepiej wysadził język, chłopiec śmiał się na cały głos, uderzał w ręce i wołał:

— Ach, Boże! Boże! jaki on śliczny!..

Radość dziecka była tak wielka i szczerą, że udzieliła się całej gromadce widzów. Nawet wojskowy olbrzym uśmiechnął się pod wąsem i—wydobył z kieszeni sakiewkę.

— Kupi chłopcu pajaca!.. — pomyślał sekretarz w bobrach, nie mogąc w dalszym ciągu powstrzymać się od kilku słów uznania dla swoich niepospolitych zdolności, które pozwalały mu odgadywać najdrobniejsze zamiary sfinksa XIX wieku.

W tej samej jednak chwili twarz wojskowego zachmurzyła się znowu. Prędko schował sakiewkę do kieszeni i odszedł od kramu.

Pajac tymczasem wciąż skakał i wywracał oczy, mały chłopiec śmiał się, a sekretarz myślał:

— Chciał kupić malcowi pajaca na choinkę, ale spostrzegł, że go poznali i dał pokój.. Oj! ta popularność...

Ja jednak — ciągnął w duchu sekretarz — mam prawo napisać, że pajac został kupiony i darowany dziecku ze słowami: „Masz, mój mały, to dają ci niemcy na gwiazdkę!... Ale ogłoszę to dopiero po śmierci..

Wpół godziny później wojskowy pan i jego sekretarz byli już w gabinecie... Sekretarz stał przy biurku a wojskowy siedział w wysokim fotelu i palił fajkę.

Była to chwila, w której biografom wolno zadawać niedyskretne pytania. Sekretarz skorzystał z niej i rzekł:

— Dzień dzisiejszy będzie dla mnie pamiętny. Dawno już nie widziałem waszej książęcej mości w takim świątecznym nastroju ducha.

— Tak! — odparł powoli wojskowy.—Ten spacer przypomniał mi o kilku sprawach. Zaczynam już spotykać emigrantów do Ameryki nie tylko w raportach ale — i na ulicach...

— Gadaj innym o emigrantach, pomyślał sekretarz. Przedemną nie ukryjesz swych uczuć!...

A potem dodał głośno:

— Jestem pewny, że widok téj choinki obudził w księciu jakieś miłe wspomnienia z lat dziecińczych...

Księżę podniósł głowę.

— Jakiéj choinki?...

— Téj — w sklepie kolonialnym — odparł domyślny biograf, dyskretnie patrząc w ziemię.

Księżę puścił ogromny kłęb dymu i niespokojnie poruszył się w fotelu.

— Ach, tak!... — westchnął — ten sklep i nasi emigranci, wyjeżdżający z domu na Boże Narodzenie, to ciekawa ilustracya niemieckich stosunków. Każdy taki sklep jest kasą, w której Holandya pobiera od nas haracz... Śmieszna historia, żeby Niemcy nie mogły mieć u siebie nawet laski cynamonu, na której nie położyłaby pieczęci Anglia albo Holandya...

Holandya! mniejsza od Brandenburgii, której jednak podoba się mieć kolonie prawie cztery razy rozleglejsze od całych Niemiec!... No—i posiada je, a my pewnego poranku musielibyśmy pić na śniadanie cykoryę zamiast kawy, gdyby tak się podobało Holandyi...

— Więc jego nie choinka wzruszyła, tylko... holenderskie kolonie? — pomyślał markotny sekretarz.

Wzburzony olbrzym pociągnął kilka razy dym z giętkiego cybucha; powoli jednak nabrzmiące na czołe żyły poblądły mu i — uspokoił się.

— Uważałem — rzekł sekretarz — że księciu podobał się ten mały chłopiec przed pajacem?..

— A, tak! to był tego zbudowany malec! — odparł książę z uśmiechem znawcy mięsa dla armat.

— Zdawało mi się nawet, że książę miał zamiar ofiarować mu pajaca?

— No — alem przecież tego nie zrobił — odpowiedział olbrzym.

— Czy książę sądzi, że święteczne podarunki nie są stosowne dla niemieckich dzieci?

— Przeciwnie... Zresztą dałem mu najlepszy podarunek, jaki mógł dostać.

Sekretarz spojrział ciekawie.

— Dałem mu — niezaspokojone pragnienie — odparł książę. A potem dodał:

Im więcej będzie takich pragnień, tem dla nas lepiej!

— Przed jedynastu laty jednak, w Wersalu, byłeś książę łaskawszy dla małej francuski, która dostała od was lalkę?

— Bo widzisz, im więcej — *tam* będzie zaspokojonych pragnień, tem znowu dla nas lepiej!

To powiedziawszy, książę odwrócił się i utopił wzrok w wiszącej mapie holenderskich kolonij.

Sekretarz — posmutniał, może słusznie, domyślając się, że w tym kraju gdzie mały chłopiec napróżno tęskni do pajaca, a wielki kanclerz do holenderskich kolonij, sekretarze, zamiast gratyfikacyi, mogą otrzymać na gwiazdkę podarunek — z niezaspokojonych pragnień...

PODWÓJNY CZŁOWIEK.

Podwójny człowiek.



zasami tęsknię, ale nigdy nie nudzę się, ponieważ we mnie jest dwu ludzi, którzy ciągle sprzecniają się z sobą. No, a w moim wieku niéma przyjemniejszej rozrywki, jak ożywiona dyskusya.“

W taki sposób określił samego siebie pewien stary kawaler, p. Drzymalski, gdy go pytano: czy nie nudzi się, nic nie robiąc?... W podobny sposób wyjaśnił kwestyę: dlaczego chodzi do teatrzyków, a nie bywa w teatrze?

— Na przypatrywanie się baletowi mam za dużo rozumu. Na dramat chodzić nie potrzebuję, gdyż sam w sobie noszę kopalnię uczuciowych sytuacji; żadną zaś komedyą nie ubawię się tak, jak moim własnym dowcipem. Chodzę tylko na operetki, ponieważ nie znam się na muzyce.

Mnóstwo tego rodzaju zdań p. Drzymalski wygłaszał z niezachwianą powagą, za co przyjaciele nazywali go oryginałem, a niechętni cynikiem. Gdy mu to powiedziano w oczy, odparł bez gniewu:

— Mylicie się, panowie, jestem tylko prawdziwym.

Był to człowiek nieładny, ale spojrzenie miał dziwne. Zwykle patrzył szyderczo, z drwiącym uśmiechem, niekiedy zaś tak smutno, jak gdyby serce zalewało mu się łzami. Czasem na nic nie patrzył, a wtedy z jego oczu padał cień jak z przepaści.

W jednej z podobnych chwil, ktoś, uchoodzący za dowcipnego, powiedział mu:

— Za często zaglądasz pan w siebie.

— Bo mam na co spoglądać—odrzekł.— Gdybyś pan robił to samo, traciłbyś czas na próżno.

Życie prowadził systematyczne. Jadał obiad o drugiej, po obiedzie spał, przed obiadem spacerował. O dziewiątej wieczorem szedł na kolację, później czytał książki albo grał w wista, a o północy leżał w łóżku. Z rana wstawał o siódmej, karmił i opatrywał swoje kanarki, czytał i przed obiadem szedł znowu na spacer.

Na niedzielę miał inny program zajęć. Po południu składał wizyty różnym starym panom i damom, których już nikt nie odwiedzał, a z rana chodził do kościoła.

— Więc pan bywasz w kościele? — dziwił się jakiś farmazon.

— Bywam.

— Jak można pozować na świętoszka!...

— Rzecz gustu — odpowiedział Drzymalski. — Pan dbasz o łaskę prezesów, a ja o łaskę Boga i świętych. Mam ten zysk, że moi protektorowie nigdy mnie nie lekceważą.

Farmazon oburzył się tak, że przestał witać się z Drzymalskim. Przyjaciele nie omieszkali wyzyskać tego.

— Cóż to, panie Drzymalski, nasz szanowny dyrektor nie wita się z panem?

— Wiem o tem lepiej aniżeli panowie, bo właśnie wczoraj nie podał mi ręki w salonie, przy piędziesięciu osobach.

— I cóż pan na to?

— Powiedziałem mu, że *Grand Daniel* także nie podały mi ręki, choć jest bardzo szanownym koniem.

Pewnego dnia, gdy odbywał zwykłą przechadzkę po saskim ogrodzie, zastąpił mu drogę tęgi, siwiejący szlachcic. P. Drzymalski ocknął się z zamyślenia i chwilę popatrzawszy zawołał:

— Niedojdziewicz!

— We własnej skórze! — odparł przybysz.

— Hadli sobie w objęcia.



— Skądże się wziąłeś w Warszawie i do tego w ogrodzie? — zapytał Drzymalski.

— Wczoraj przyjechałem do miasta, a dziś byłem u ciebie w domu. Służąca powiedziała mi, że zastanę cię tutaj, między studnią i wodą sodową—no i zgadła. Jesteś regularny jak zegarek.

— Żaden szlachcic nie zalega tak regularnie w długach, jak ja spełniam moje obowiązki. Tu na przykład bywam codziennie od dziesięciu lat.

— Boże miłosierny!—westchnął Niedojdziewicz. I co tu robisz codziennie.

— Cieszę ludzi moim widokiem, a niekiedy marzę.

— Ty?...

— Czy mi nie wolno? — spytał Drzymalski. — Jestem przecie pełnoletni.

— I bardzo. Ale o czem marzysz?

— Niekiedy podziwiam dobrotliwą Opatrzność, która nad każdą ławką w saskim ogrodzie stworzyła drzewo, aby ludzie mieli dosyć cieniu...

Nedojdziewicz spojrział na niego, niepewny, co myśleć o tej filozofii.

— Zwycięże zaś — ciągnął Drzymalski — pieszcze się i dręczę widokiem przechodzących kobiet. O, spojrzysz na przykład na tę, czy nie piękna? Blondynka, ciemno szare oczy, grecki profil, a jaki rzut nogi!... Zdaje mi się, że za jeden jej pocałunek oddałbym życie; ale wnet przypominam sobie, że ona takiego

jak ja, nie pocałowałyby nawet za turkusowe kolczyki. Moje zaś dochody nie pozwoliłyby mi ofiarować jój brylantowych...

— Kpisz ze mnie? — spytał Niedojdziewicz, patrząc mu w oczy.

— Mówię zupełnie seryo — odparł Drzymalski z wejrzeniem pełnem smutku. Ale jestem jak *Człowiek śmiechu*: kiedy mi serce pęka, ludzie myślą, że kpię z nich. Lecz prawda, że wy na wsi czytacie dopiero Walter-Skotta, a Hugo jeszcze się dla was nie urodził.

— Zawsześ był dziwak — rzekł Niedojdziewicz — ale nie wiedziałem, że obudził się w tobie gust do kobiet.

— Gust?... Powiedz namiętność!... Od piątej klasy ginąłem za kobietami, kochałem się jak Romeo, ale — po cichu, wiedząc, że żadna nie odplaci mi wzajemnością. Tak głupiej niéma w Warszawie, a na prowincyę nie chce mi się wyjeżdżać.

— Zechciój się tylko ożenić, a sto wyjdzie za ciebie nawet w Warszawie.

— Dajże spokój. W ciągu piętnastu lat starokawalerstwa oświadczyłem się czterem i żadna się nie złapała. Śmiały się, gdy ze łzą w oku opisywałem im interesujący stan mojej duszy. Im byłem rzewniejszy, tem one miały lepszy humor; widocznie w ich opinii szkodził mi zbyt uczuć. Zrobiłbym wrażenie, gdybym miał w sobie mniej poezyi, bo ko-

biety są realistki i wołają okrągły kark, aniżeli okrągły frazes.

— A dlaczego nie zwracałeś się nigdy do Anny?...

Drzymalski cofnął się.

— Jakiś Annie?...— spytał niespokojnie.

— Siostry mojej żony.

Drzymalski począł iść szybko i, zaplotłszy ręce za siebie, ścisnął je tak mocno, jakby chciał połamać palce. Niedojdziewicz zdumiał się, widząc jego wzruszenie.

— Co ci się stało?... Czego lecisz jak waryat?...

— Posłuchaj mnie — odezwał się Drzymalski. — Jesteś jedynym moim przyjacielem, jeżeli w ogóle mogę mieć przyjaciół, ale pomimo to zrobiłeś mi wielką przykrość...

— Przykrość?...

— Niezmierną. Czy pomyślałeś kiedy, że ja, od piętnastu lat, kocham... nie—uwielbiam Annę?... To moja pierwsza i jedyna miłość?... I kto wie, czy dziś nie byłbym innym, gdybym się z nią ożenił... Przedewszystkiem miałbym kamienicę, bo jej ojciec umarłby ze zmartwienia, patrząc na takiego zięcia.

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnał się Niedojdziewicz. Więc dlaczego nigdy nie wspomniałeś o tym afekcie?

— Nie śmiałem... Piętnaście... eh!... co ja mówię... sto razy chciałem się o Annę oświadczyć, ale

słowa więzły mi w gardle. Siedzisz całe życie na wsi i myślisz tylko o tem, ażeby co roku mieć dziecko; niemasz więc pojęcia, jak wstydliwem jest prawdziwe uczucie. Ale gdybym ci przeczytał sonety, jakie na jej cześć pisałem, zapłakałbyś... Taką lichą mają formę, obok głębokiego uczucia.

Niedojdziewicz kręcił głową.

— Mój drogi—rzekł—drwisz ze mnie. Mówisz, żeś kochał jedną tylko Annę, a... oświadczałeś się czterem innym pannom.

— Z rozpaczy i dla wprawy. Kto nie może utopić się w oceanie, skacze do studni.

— Dajmy na to. Ale kiedy już nabyłeś wprawy?...

— Nie śmiałem zwracać się do panny Anny, dostawszy odkosza od innéj — odparł Drzymalski tonem przekonania. No, ale jest już druga, więc idźmy na obiad. Dziś wyjątkowo pójdę do lepszej knajpy i proszę cię ze sobą...

Niedojdziewicz wahał się.

— Obiecałem—rzekł—Anusi, że u nich będę na obiedzie, ale—mniejsza o to. Poślę kartkę przez posłańca, a tymczasem pogadamy. Może cię ożenie?

— Prędzej wsadzisz mnie na szczyt ratuszowej wieży—odparł Drzymalski.

Wyszli z ogrodu w stronę teatralnego placu. Drzymalski spuścił głowę i gwizdał marsza Szopena;

Niedojdziewicz spoglądał na niego z pod oka i wzruszał ramionami.

— Dziwak, wielki dziwak!... — myślał o swoim przyjacielu. Ale — jeżeli się ożeni, to może się odmienić.

W restauracyi znaleźli osobny gabinet. Niedojdziewicz pisał kartkę, a Drzymalski zamawiał obiad.

— Daj nam pan — mówił do subjekta, bębniąc palcami w stół—daj nam pan—barszczu... polędwicę... A rybę macie jaką? Jestem dziś tak wzruszony, że muszę jeść rybę.

— Jest sandacz z jajami.

— Bardzo dobrze, daj pan sandacza. A ze zwierzyny?...

— Może być pieczeń sarnia.

— Wybornie, więc i pieczeń sarnią, byle nam ze stołu nie uciekła.

— Wódeczkę podać przed obiadem?

— Owszem, daj nam pan starki i ćwierć funta kawioru. Obiad bez wódki, jest jak dorożka bez stopnia.

— Wino będzie jakie?

— Może byś sotern, a później zobaczymy.

— Po obiedzie czarna kawa i likier?

— Obiad bez kawy, jest jak krzesło bez poręczy. Zapisuj pan sobie moje dowcipy, będziesz miał reputację.

Początek obiadu upłynął w milczeniu. Ale przy drugieój butelce soternu, dwaj przyjaciele wrócili do przerwanéj rozmowy.

— Powiedz-że mi krótko — spytał Niedojdziewicz — boć znamy się od dzieci, a kochamy jak bracia... Chcesz się żenić, czy nie?... Ale krótko.

— Dyabli wiedzą — odparł Drzymalski. Znasz moje najgłębsze uczucia, więc sam osądź....

— Zatem chcesz się żenić, Józefie!... Ty chcesz.. — zawołał Niedojdziewicz i złożył pocałunek na spoconéj twarzy przyjaciela.

— Nie wiem. Serce mówi: tak! — a rozum przypomina, że w małżeństwie są duże obowiązki. Trzeba być nie tylko punktualnym, ale i entuzyastą.

— Józiu!... Drzymalski... — prawił zarumieniony szlachcic. Znamy się od pierwszej klasy... Ty byłeś naprzód moim kolegą, ale, że ja siadywałem w każdej klasie po dwa lata, więc zostałeś moim korepetytorem... Zawsze jednak... Józiu patrz mi w oczy... Zawsze jednak byliśmy przyjaciółmi. Otóż, ja, Niedojdziewicz, jako twój najserdeczniejszy przyjaciel, mówię ci: Drzymalski, ty chcesz się żenić!... Prawda, że w tobie siedzi jakiś przekorny dyabeł, i nie wiadomo kiedy kpisz, a kiedy mówisz prawdę, ale ja cię znam... Ty chcesz się żenić i tobie dobrze zrobi małżeństwo...

— Kiedy w saskim ogrodzie — mówił Drzymalski, patrząc w sufit — widzę spruchniałe drzewa, obite smołowcową tekturą, myślę, że dla starego kawalera małżeństwo jest taką tekturą, co osłania jego rany... Ale ich nie leczy!...

— Józiu... tobie koniecznie potrzeba żony... Ona by ci świat umilała.

Drzymalski począł marzyć głośno:

— Patrząc w salonie na młode kobiety, na ich piękność, ruchy, ich strój tak różny od naszego, a tak ponętny, rozumiem, że na świecie niema doskonalszój istoty nad kobietę. Czasami, na widok turniury, chwiejącój się z wdziękiem, ogarnia mnie taki żal, że, boję się rozplakać i uciekam... Ale kiedy znowu pomyślę, że pewnego dnia, mógłbym w moim pokoju zobaczyć suknie porozwieszane na drzwiach, kaftaniki na bibliotece, chusteczki na parawanie — zimno mi się robi... Kobiety mają za dużo garderoby!...

— To głupstwo! — machnął ręką Niedojdziewicz. Garderoba nie stanowi kobiety.

— To wcale nie dodaje mi odwagi.

— Więc ja cię wyęcę.

— W czym?... — zawołał Drzymalski.

— Oświadczę się w twoim imieniu Annie.

— Czyżbyś to zrobił?...

— Nawet dzisiaj, w téj chwili! — zawołał Niedojdziewicz, z pewnym trudem unosząc się z kanapy.

— Pierwój skończmy obiad— uspokoił go Drzymalski. Dobry obiad jest gwarancyą powodzenia w miłości; lubo nie zawsze! — westchnął.

— Obiad skończmy — mówił Niedojdziewicz z pałającymi oczyma—ale... oświadczy my się dziś...

I uderzył pięścią w stół marmurowy.

— Nie mam odwagi...

— Trzeba raz skończyć!...

— Nie ośmielę się...

— Z oświadczynami robi się jak z wyrwaniem zęba. Powiedz sobie: rwę dziś, za godzinę i basta!.. Za godzinę będziesz po słowie z Anną...

— Odrzuci mnie!—desperował Drzymalski.

— Pójdzie za ciebie z pocałowaniem ręki. Za późno na grymasy, kiedy się dobiega trzydziestki.

— No, Anna już przewaliła trzydziestkę...

— Jest znacznie młodsza od ciebie.

— Bagatela! — mruknął Drzymalski. — O mnie już lada dzień napiszą nekrolog i, doprawdy, zazdroszczę tym, którzy go czytać będą. Ale mniejsza o lata panny Anny — dodał — ponieważ czuję, że i w tym wieku, jaki ma, zrobiłaby mi łaskę wychodząc za mnie. Nie jestem jój wart...

Nedojdziewiczza ogarnął zapal.

— Wart jesteś! — krzyknął — boś mój kolega i przyjaciel... Jeszcze kieliszek... i idziemy w konkury...

— Jak to, zaraz?...

— Natychmiast. Z oświadczynami, jak ze rwanem zębów...

— Ależ ja mam na sobie stary tużurek...

— Do dentysty biegłbyś w szlafroku, gdyby cię przycisnęło.

— Zresztą muszę pomyśleć...

Niedojdziewicz podniósł się z kanapy.

— Kochasz Annę, czy nie?...

— Miłość jęj zatręła mi piętnaście najpięknieszych lat życia...

— A więc basta!... Piję zdrowie twoję narzeczonęj, a siostry mojęj żony...

— Gubisz mnie!... — reflektował go Drzymalski i zakrztusił się winem ze wzruszenia.

— Teraz idźmy!...—rzekł Niedojdziewicz.

Drzymalski chwycił się za poręcz kanapy.

— Trupa mojego weźmiesz stąd..

Niedojdziewicz trochę wytrzeźwiał.

— Słuchaj — mówił spokojniejszým głosem. — Jutro wyjeżdżam z Warszawy, ale dziś chcę cię uratować. Widzę, że marnujesz się w starokawalerstwie i zmarniejesz, więc decyduj. Albo oświadczy my się o Annę zaraz, albo...

— Pozwólże mi zebrać myśli... — szepnął Drzymalski. Nie jestem berejterem, ażeby m z miejsca brał taką baryerę, jak oświadczy ny.

— Dobrze. Wyjdę na pięć minut z tego poko-

ju, przyślę ci syfon wody selcerskiéj, a ty—napij się jéj i pomyśl. Albo... albo...

Niedojdziewicz wyszedł, a po chwili ukazał się subjekt i, milcząc, postawił syfon na stole.

— Boże mój, co robić? —szepnął Drzymalski.— Anioł czy szatan sprowadził mi na kark Niedojdziewicza?... Ten szlachcic rozmarzył mnie, czuję, że odmłodniałem na samę myśl o Annie. Ile wspomnień... Widzę całą moją ubogą młodość, klasy pełne dziecinnych głów, uniwersytet, izbę na poddaszu, gdzie we trzech mieliśmy dwa łóżka i, na cały dzień jedną bułkę chleba...

A potem—Anna... Spotkałem ją na wieczorku. Miała tarlatanową suknię i niebieską szarfę. Jak to dawno!... Z początku nie zauważyłem jéj, ale wypadkiem dotknęła mnie sukienką i spojrzała tak, żem wybiegł do przedpokoju i pocałowałem jakąś pokojówkę. A może ja jéj wtedy podobałem się?... No, chybaby miała kataraktę na oczach, bo nawet stare baby nigdy nie okazywały apetytu na moje wdzięki... Ale jeżeli... Jeżeli z tego powodu do dziś dnia została panną?... Bahl a narzeczony, który ją porzucił? Choć i to niczego nie dowodzi, mnie cztery panny odrzuciły, a jednak ją kocham.

Gdyby więc i ona mnie kochała, gdybym przy niej odżył i tak codzien widywał moje młode lata, jak dzisiaj?... Co prawda, żeniąc się, zrobiłbym uciechę całej Warszawie; ludzie wytykaliby mnie

palcami. Ale cóż mnie to obchodzi? Czy nie mam prawa do szczęścia, a Warszawa do uciechy? A gdybyśmy mieli dzieci... Nie, widocznie już zwaryowałem!... Ale jeżeli ona mnie kocha?... No, to by mi także w moim wieku nic nie pomogło. Boże! jakie straszne wątpliwości.

We drzwiach stanął Niedojdziewicz.

— Tak, czy nie?—spytał.

— Jestem zdecydowany, ale... i pełen sceptycyzmu, jak prawdziwy filozof — odparł Drzymalski.

— Ubezważam cię na godzinę! — zawołał Niedojdziewicz. O tu jest miednica z wodą, umyj się.

Drzymalski wyszedł do drugiego pokoju i umył się.

— Al...—syknął —zimna woda dodaje otuchy, nawet do małżeństwa.

— Bierz palto.

Drzymalski ubrał się.

— Idźmy.

— Czy tam?...—spytał Drzymalski.

— Nie pytaj.

— Zmiłuj się — szepnął, biorąc Niedojdziewicza za rękę.—Jeszcze kwadrans do namysłu...

— Ani sekundy...

Wyszli, siedli w dorożkę i wkrótce stanęli przed sporą kamienicą.

— Połowa tego domu będzie twoją—rzekł Niedojdziewicz.

— Zatrzymajmy się...—błagał go Drzymalski.— Zabije mnie apopleksya...

— Mieszka tu felczer i puści ci krew.

Drzymalski opierał się, ale wieśniak ujął go mocno pod rękę i wciągnął na schody.

— Tobi była awantura, gdybym został przyjęty!—szepnął Drzymalski.

Nedojdziewicz zadzwonił. W téj chwili drzwi otworzono.

W przedpokoju Drzymalski uczuł, że nogi chwieją się pod nim. Szczęściem spojrział w lustro i zobaczył sinawe rumieńce na swojej twarzy i nos czerwony.

Widok ten przywrócił mu równowagę duchową.

— No — myślał — już takiego konkurenta nie przyjmie nie tylko Anna, ale nawet jój kucharka—pomyślał.— Wyglądam jak pijak i z pewnością dostanę piątego arbuza w życiu, ale — co mi to szkodzi?... Sądzono widać, ażeby w tym tygodniu ubawił Warszawę moją skwapliwością do kobiet.

Weszli do gabinetu pana domu, szczupłego i jowialnego staruszką, który przyjął ich bardzo życzliwie.

— To mi lokator!—zawołał staruszek, ściskając za obie ręce Drzymalskiego.— Spokojny, punktualny, lubi porządek...

— Nie wiem, czy tak pochlebną opinię podzielałby mój gospodarz—odpowiedział Drzymalski

— O, podziela!... — zawołał staruszek. — Zna przecie pana od ośmiu lat i mówi, że taki lokator to błogosławieństwo boże. Zazdroszczę mu z całego serca...

Drzymalski skłonił się pełen niepokoju.

Wtem Niedojdziewicz odchrząknął i wtrącił się do rozmowy.

— Może ojciec mieć tego lokatora do końca życia.

— Co mówisz? — spytał stary z zaiskrzonymi oczyma.

— Tak jest i nawet przyszliśmy w tym interesie.

— Ejże?... Więc on wyprowadza się od Frajtaga?... Brawo!... — krzyknął staruszek klaszcząc w ręce.

Drzymalski siedział blady i wyginał sobie palce. Niedojdziewicz pocałował staruszka w ramię i mówił:

— Kochany ojcze, powiem ci bez wstępu: Drzymalski prosi cię o rękę Anny...

Mimo panowania nad sobą, Drzymalski tak nagle rzucił się na kanapie, że dotknął głową ściany. Staruszek otworzył usta ze zdziwienia, podniósł ręce do góry i rzekł:

— Czy to być może?...

— Wiedziałem — odezwał się Drzymalski— że

mnie pan dobrodziej odrzucisz... Przynosi to zaszczyt pańskiemu doświadczeniu i dbałości o szczęście córki.

— Ależ nie!...—odparł staruszek, dziwiąc się coraz bardziej.

Drzymalski oniemiał.

— Józef od piętnastu lat kocha Annę — rzekł Niedojdziewicz, — a jeżeli oświadcza się tak późno, to tylko przez nieśmiałość.

— Bagatela — zawołał staruszek — zalegał w oświadczeniach sześćdziesiąt kwartałów!... Jednak lepiej późno, aniżeli nigdy, bo dobry i ten lokator, który, długo nie płacąc, chociaż w końcu oddaje. Ale ja mam, panie, takich, co mi nigdy nie zapłacą... Wymknęli się, graty z domu wynieśli i—szukaj nieboszczyka w biurze adresowem!

— Więc ojczu, przyjmujesz Drzymalskiego?... — spytał Niedojdziewicz.

— Całe piętro mu oddam... To jest—poprawił się staruszek — widzicie tak. Ja zajmuję się tylko kamienicą i zapraszam do niej pana Drzymalskiego, owszem, nawet zniżę mu komorne. Ale czy Anusia przyjmie go za męża, to już jój rzecz.

— A jest w domu?

— Rozumie się, że jest i nawet pewnie nas podsłuchuje—rzekł staruszek.

— Ależ papo!... — zawołała panna Anna, stając nagle we drzwiach gabinetu. Cóż za wyobrażenie będzie miał o mnie pan Drzymalski?...

Nieodjdzie wiec spojrzal na nia, kiwajac glową.

— Że nie podsłuchujesz, to wiem — rzekł do niej. — Ale gardło daję, że słyszałaś całą naszą rozmowę.

— Byłoby dziwne, gdybym nie słyszała — odpowiedziała panna. Robiąc koronkę, siedzę cały dzień przy tych drzwiach w saloniku, a panowie tak głośno powierzacie sobie tajemnice, że trudno ich nie słyszeć.

— A więc?... — spytał Nieodjdzie wiec.

— Co więc?... — chłodno odparła panna Anna.

— Czy przyjmujesz oświadczynę Józefa?...

— Czy ty jesteś panem Józefem?...

Drzymalski podniósł się z kanapy.

— Pani! — rzekł — do téj pory milczałem, nie mając odwagi prosić pani o rękę. W téj chwili mówię, ale... również czuję, że nie mam odwagi... Skazany na śmierć nie doświadcza takich wrażeń wobec...

Tu urwał i stanął z otwartymi ustami, zapatrzony w pannę.

— Dziękuję panu, żeś mnie chciał porównać do kata, ale mniejsza o to... Przedewszystkiem witam — rzekła panna i podała mu rękę.

— Zdaje się, moi państwo — wtrącił Nieodjdzie wiec — że najłatwiej porozumiecie się bez świadków.

I dla tego zostawcie tu mnie z ojcem na półgodzinną rozmowę o interesach, a sami przejdźcie do saloniku.

Ty, Józefie masz drogę utorowaną. Reszty dokończysz sam.

— Wpadłem na siedm bez atu!—pomyślał Drzymalski.

Anna wyszła do saloniku, a za nią jój konkurent. Tam przeniosła swój warsztat koronkarski na drugi koniec pokoju i, usiadłszy na fotelu, najspokojniej zaczęła robotę. Drzymalski zajął miejsce naprzeciw niej, na taburecie, mocno zmiészany.

— Rzadko widujemy się—rzekła panna.

— Słodki to dla mnie wyrzut. Ale, jeżeli pani pozwoli, postaram się dotychczasowe zaniedbanie wynagrodzić—odparł Drzymalski.

— Komu?...

— Wynagrodzić przedewszystkiem sobie...

— A powtóre?...

— Istotnie, że z tego com powiedział, wypływa i powtóre. A więc—powtóre—znowu sobie.

— Prawda, że w panu jest podobno dwu ludzi.

— Pani słyszała o tym aforyzmie? Dobry jest, co?...

— Nawet o sławie pańskiego dowcipu. Ale jacyż to są ci dwaj ludzie, których pan lokujesz w sobie?

— Jednym jest ten, który panią poznał przed

piętnastu laty: tkliwy i marzący. Drugim ten, który przez piętnaście lat kochał bez nadziei...

— I cztery razy oświadczał się czterem różnym pannom. Jakiż jest ten drugi?

— Dowcipny i złośliwy—odparł Drzymalski.

— W miłości nieszczęśliwy—dodała Anna.

— Pozwolę sobie zauważyć, że rym, który pani w tej chwili skomponowała, jest lepszy od wielu moich, choć dużo nad nimi pracuję.

— Bardzo mi to pochlebia. Czy i pan dopuszcza się wierszy?

— Niestety tak. Układałem je na cześć pani. Czy pani także bawiła się w poezję?

— Niestety, tak...

— Domyślam się, że nie z mego powodu?

— Powinnabym uwielbiać pańską skromność, ale, będąc szczerą, wolę podziwiać pańską domyślność.

— Gorzkie odpowiedzi pani ranią moje nadzieje.

— Ach, prawda, że pan ma mi się oświadczyć i zapewne w imieniu obu swoich lokatorów. Skądże to przyszło tak nagle?

— Miałem już honor wspomnieć, że od piętnastu lat...

— To słyszałam, niech więc pan przejdzie do daty najświeższej.

— Bardzo dobrze. Otóż dziś spotkał mnie w saskim ogrodzie szwagier pani...

— I litując się nad siostrą żony, starą panną, prosił w jej imieniu o pańską rękę. Czy tak?

— Boże uchroni! — odparł Drzymalski. Jesteśmy z nim kolegami od pierwszej klasy, nie zatem dziwnego, że w poufałej rozmowie wspomniałem mu o moich uczuciach, a on...

— Poszedł z panem do restauracyi na obiad. Tam, przy butelce wina, serca wasze uderzyły jeszcze spieszniej i — ułożyliście mariaż. Czy tak?

— Gdyby pani od swego opisu odjęła trochę złośliwości, a dodała trochę uczucia i poezyi, mógłbym go potwierdzić.

— Mam dodać poezyi?... Więc była nie jedna, ale kilka butelek wina?... Poznałam to po humorze mego szwagra.

— Pani! sotern jest napojem tak niewinnym, że mógłbym po nim iść do spowiedzi...

— No i poszedł pan, omyliwszy się tylko... co do osoby spowiednika... Wino nie musiało być mocne.

Drzymalski poruszył się.

— Wiem — rzekł, zmieniając ton rozmowy — że nie jestem godzien miłości kobiety takiej jak pani, ale czuję, że nawet mojej miłości nie godzi się wyszydzać. Zresztą mówiłem o niej ze szwagrem pani nietylko przy obiedzie, ale i przed obiadem... Mówiłem tak pięknie, że szwagier pani był głęboko wzruszony.

Panna Anna ze śmiechem odsunęła swój warsztat.

— Pan potrafi być szczerym?

— Nie umiem być innym.

— Gdzie pan pójdzie od nas?

— Na spacer.

— A później?

— Na kolację, a z kolacyi na wista. Zbiera się trzech starych kawalerów i jeden wdowiec, ale głuchy.

— Gdybym panu zabroniła iść na kolację i na wista?

— Byłbym szczerze zmartwiony, bo moi koledzy musieliby grać z dziadkiem.

— Widzę, że pan mówi prawdę. A co pan robi po wieście?

— Czytam książkę do poduszki i zasypiam.

— A z rana co?

— Karmię moje kanarki, znowu czytam, a potem idę na spacer i na obiad.

— Obiad pan jada zawsze w téj saméj restauracyi?

— Od dziesięciu lat.

— A spaceruje pan zawsze po téj saméj alei?

— Także od dziesięciu lat.

— Kiedyż pan myśli o mnie?

— Prawie codziennie, gdy spaceruję po ogrodzie.

— I dla mnie zmieniłby pan swój tryb życia?

Drzymalski zamyślił się.

— Z wielką trudnością. Jestem już bardzo stary.

— To znaczy: nie zmieniłby go pan?

— Prawie że nie. Chociaż podobno miłość wiele może.

— Co do mnie, ja nawet dla pańskiej miłości nie zmieniałbym mego trybu, a jest on zupełnie różny od pańskiego.

Drzymalski zaczął kręcić się na taburecie. Anna zapytała go po chwili:

— Jakiż pan wniosek wyprowadzasz z naszej rozmowy?

Rozłożył ręce na znak rozpaczony i uderzył się w kolano.

— Okrutny wniosek—odparł—ten, że pani mnie nie chce. Jest to już piąta rana śmiertelna, jaką zadaje mi płeć piękna.

— Spodziewam się—rzekła powstając z fotelu—że dzisiaj straci pan raz na zawsze ochotę do oświadczenia.

— Przeciwnie pani. Gdybym przy pierwszej mojej katastrofie spotkał tak dowcipną kobietę jak pani, oświadczałbym się co tydzień. A tak, zmarnowałem życie, utraciłem bardzo przyjemną rozrywkę.

— A teraz który człowiek przemawia przez pańskie usta?

— Niestety! obaj... Jeden czuje, że jest nie-

szczęśliwy, a drugi pociesza się w nieszczęściu, jak umie.

Drzwi od gabinetu otworzyły się i wbiegł do salonu Niedojdziewicz, a za nim teść.

— No i cóż porozumieliście się! — zawołał szlachcic. — Wiedziałem o tem,

— Tak jest — odparł Drzymalski. — Porozumieliśmy się o tyle, że panna Anna nie chce nawet słyszeć o mnie.

— Co? — krzyknął Niedojdziewicz, patrząc na Annę.

— Przeciwnie, to pan Drzymalski zrobił lepiej niż ja, bo wcale się nie oświadczał.

— Ale w kwestyi mieszkania trzymam pana za słowo — wtrącił staruszek, ściskając Drzymalskiego za rękę. — Żeń się, nie żeń się, to twoja rzecz; ale sprowadź się do mego domu, boś porządny lokator.

— Co pani sądzi o tym projekcie ojca? — spytał Drzymalski, spoglądając na Annę.

— Jak pan chce — odparła ze śmiechem. — Jesteśmy chyba bezpieczni zarówno od siebie, jak i od ludzkich podejrzeń.

— Zabiła mnie! — pomyślał Drzymalski. — Widzę, że otdąd nie wypada mi oświadczać się nawet z niepowodzeniem.

— Waryaty! — ofuknął Niedojdziewicz. — A przysiągłbym, że pasujecie do siebie, jak moje dwie dłonie.

Drzymalski pożegnał się i wyszedł. Był rozdrażniony i skierował się ku Saskiemu ogrodowi.

— Mam naukę—mówił do siebie—ażeby nie pić liczego soternu. Do jutra będzie mnie łeb bolał.

W ogrodzie spotkał znajomego.


— O! — zdziwił się znajomy — cóżeś pan taki zmięty, panie Drzymalski. Spieczona usta, w oczach gorączka, cera niezdrowa... Chory jesteś?

— Zrobiłem dziś dwa kapitalne głupstwa—odparł Drzymalski.—Przy obiedzie piłem lichy sotern, a po obiedzie oświadczyłem się.

— To ostatnie jest grubo ważniejsze.

— Wecale nie, bo panna dała mi odkosza natychmiast, a wino czuję do téj pory.

I poszedł dalej, niedbale kiwnąwszy głową. Znajomy i tym razem nie wiedział, czy drwi z niego Drzymalski, czy naprawdę jest zboląły i smutny?

 NA POGRANICZU.

Na pograniczu.



Rzecz dzieje się w pogranicznej mieścinie.

Mieścina wybudowana jest w okolicy dosyć równej, otoczona nędznie uprawnemi polami. W pobliżu znajduje się trochę lasu i kawałek łąki. Przez łąkę płynie rzeczka niezbyt szeroka, ale w niektórych miejscach głęboka; strome i czarne jój brzegi (ulubiona siedziba raków) porosłe są gęstemi kępami wierzbiny.

Ta rzeczka stanowi granicę.

Sama mieścina odznacza się ubóstwem i nieporządkiem. Ma duży czworokątny rynek, obudowany drewnianemi domami, z których jedne chylą się do upadku, inne świecą kawałkiem nowego dachu z gontów, a jeszcze inne — wdzieczą się świeżo pomalowanemi okiennicami na kolor: jasno-niebieski, ciemno-zielony, albo czerwony.

Rynek jest pełen wzgórz i dołów. Wzgórza utworzyły się ze śmieci wyrzucanych z mieszkań; z dołów wybierano glinę na wylepianie pieców. W jednym rogu placu widać studnię z kołowrotem i daszkiem; w drugim znajduje się figura świętego, z palmą w ręku i znowu pod daszkiem.

Od rynku, w różnych kierunkach, biegną uliczki, zabudowane jeszcze nędzniejszymi domkami, a na końcach—stodołami. Gdziekolwiek, przy najpogodniejszym dniu, widać obszerne kałuże, które bynajmniej nie wpływają na zmniejszenie się piaszczystej kurzawy na ulicach.

W porze letniej pod domami, na spróchniałych ławkach, igrają dzieci, nędznie odziane i, o ile się zdaje, rzadko myte. W kałużach pływają kaczęta, albo wyleguje się samotny przedstawiciel nierogacizny.

Ogrodów jest niewiele; prawie brak cienia. Tylko przy murowanym kościele stoi kilkanaście starych lip. Około urzędu gminnego zasadzono kilka młodych kasztanów, po których dziś zostały cztery kije.

Środek miasta zamieszkują przeważnie żydzi, obwód chrześciance. Żydzi utrzymują szynkownie, sklepiki z pieczywem, z norymberszczyzną, solą; chrześciance należą do stanu rolniczego, ale bawią się także furmaństwem i rybactwem.

Na pozór nadgraniczna miejscina nie różni się od setek innych, rozrzuconych po kraju. W gruncie rzeczy jednak posiada bardzo charakterystyczne cechy, co prawda nierzucające się w oczy, a nawet do pewnego stopnia kryjące się przed ciekawymi spojrzeniami.

Przedewszystkiem parutysięczna jej ludność składa się z pierwiastków dziwnie ruchliwych. Dziś znajduje się tu pełno ludzi, których nie było przed tygodniem i nie będzie jutro. Pomimo to, są oni jakby u siebie w domu. Mają własne mieszkania, łóżka, mogą się w każdej chwili przebrać. Niejednego z nich widziałeś onegdaj za granicą, gdzie również był, jak u siebie w domu. Pojutrze możesz go spotkać w krzakach, nad rzeczką i zobaczyć w jego fizyognomii wyraz właściwy człowiekowi, który i w krzakach jest jakby u siebie w domu.

W długie rozmowy z tym turystą nie wdawaj się. Odchodź jak najspieszniej, z zupełnem jednak przekonaniem, że on ścigać cię nie będzie.

Objeszczyki, inaczéj strażnicy pograniczni, często i nagle wpadają do miejsciny bez powodu i pilnie obserwują jej mieszkańców. Ale obserwowany patrzy spokojnie w oczy ciekawemu i, dla okazania większej fantazyi, nuci sobie coś pod nosem.

Po takim pojedynku na spojrzenia strażnik wzrusza zwykle ramionami i odchodzi. Nagle wraca, znowu obserwuje swój obiekt, znowu spotyka ten

sam spokojny, trochę szyderezy wzrok i słyszy tę samą piosnkę.

Bez żadnej wątpliwości każdy obywatel mieściny miał jakieś zajęcie, jakiś jawny sposób zarobkowania. Ale... wydatki jego o wiele przenosiły dochody.

Pytanie: z jakiego źródła czerpał owę przewyżkę?...

Niekiedy działały się tam ciekawe rzeczy.

W szopach lub stodołach ludzi, nieposiadających nawet kury własnej, rżały konie. Wśród snopów słomy, albo, pod stosem gałęzi widywano zagraniczne towary. Czasami w nocy rozlegały się w polu odgłosy gonitw... Niekiedy, ale te już bardzo rzadko, znajdowano w krzakach trupa którego z mieszkańców...

Wszystkie owe tajemnicze zjawiska objaśniały się za pomocą jednego, dosyć upowszechnionego podejrzenia. Oto podobno wielu mieszkańców osady trudniło się przemytnictwem.

Cechy polityczne i topograficzne okolic oddziaływały na sposób życia i charakter ludności. Wiedziano już o tem bardzo dawno. Nie byłoby też nic dziwnego, gdyby istotnie ludność osady nadgranicznej bawiła się nielegalnym handlem.

Na wszelkie zaś zarzuty, jakie „procederowi podobnemu” robić można, istnieje gotowa odpowiedź:

— Każdy człowiek żyć musi!...

Odpowiedzi téj na pamięć wyuczyli się *objesz-
czyki*.

.

Jednego dnia w rynku mieściny ukazało się paru strażników. Rozejrzeli się uważnie, jak zazwyczaj. Wstąpili do szynku, gdzie gościnnie gospodarz uczestował ich gęsiną, szabasowym szczupakiem i, o ile się zdaje, *nieplombowanym* likierem.

Gospodarz, człowiek ciekawy, rzucił im przy okazji kilka pytań, na które otrzymał odpowiedzi obojętne i ostrożne.

Pomimo to, ledwie strażnicy wyjechali, w osadzie zaczęto szeptać alarmujące wieści.

Mówiono, że na posterunku złożył ktoś zeznanie, dotyczące bardzo ważnej kontrabandy.

Mówiono, że skutkiem tego czujność na granicy ma być wzmocniona i patrole zdwojone.

Uradzono wreszcie, ażeby ostrzedz wszystkich „swoich“. Tamci zaś, którzy dziś mieli przynieść czy przewozić kontrabandę, niech łamią kark!... Oni bowiem nie tylko nie byli nikomu znani, ale jeszcze nie chcieli odwoływać się do pomocy nikogo ze „znanych“.

Domyślano się, że denuncyacyę na owych intruzów zrobił któryś ze „swoich“, widocznie pod wpły-

wem poczucia solidarności i obawy, ażeby nowa, a tajemnicza spółka, nie popsuła interesów dawniej.

Ale Moszek Cymes, śniady brunet, który miał sklep norymberski, i, jego brat, rudy i blady, Abramek, który nic nie miał, nie słuchali dalszych wniosków, wyprowadzanych z zasadniczej wiadomości. Oni, ledwie zobaczyli strażników, zaraz wyszli przed sklep i zaczęli kpinkować ze swych sąsiadów bardzo dowcipnie, choć serca uderzały im bardzo prędko. Dowiedziawszy się zaś, że z powodu jakiejś wielkiej kontrabandy dozór ma być zwiększony obaj zniknęli ze sklepu, pozostawiając w nim swoją siostrę, Ruchlę.

Przed zniknięciem jednak zabrali z za szafy duży tłomok, owinięty w płachtę i przez podwórka i tylne ulice pobiegli do mieszkania swego ojca.

Stary Cymes zajmował dużą izbę, podzieloną przepierzeniem na dwie części. Tam, gdzie było okno, siedziała jego sędziwa żona i robiła pończochę.

Za przepierzeniem zaś, w mało oświetlonym alkierzu, leżał na łóżku sam Cymes, od paru lat sparaliżowany.

Ledwie ukazali się bracia ze swoim tłomokiem, aliści oboje rodzice poczęli im od ostatnich słów wymyślać. Matka za to, że onegdaj, w dzień szaba-

su, widziano ich palących fajki, — a ojciec za to, że mu nie zwrócili pożyczonych w zeszłym tygodniu dziesięciu rubli.

Ale dobrzy synowie nie mieli bynajmniej zamiaru trapić serc rodzicielskich hardemi odpowiedziami. Milezeli pokornie. Tylko, wniósłszy tłomok do alkierza, zabrali się do oryginalnej roboty. Moszek chwycił pościel ojcowską w głowach, Abraham w nogach i w ten sposób dźwignąwszy paralytyka, złożyli go na podłodze.

Stary kłął okropnie, matka rzuciła na złych synów dużym kłębkim niebieskiej bawełny, ale — nie to nie pomogło. Bracia wydobyli ze swego tłomoka kilkanaście sztuk tkanin, napelnili niemi szerokie łóżko, a dopiero na tym osobliwym materacu położyli napowrót pierzynę i poduszki, wraz ze sparaliżowanym ojcem.

Następnie wybiegli z izby nawet nie patrząc na swoich życiodawców.

Chory aż płakał ze złości, ale powstała na niego żona.

— Daj spokój! — mówiła po żydowsku. — Widać, że stało się coś złego, a w takim razie trzeba się przecie prędko zwijać. No, nie krzycz Jasek, bo przez ciebie mogą ich wziąć do kryminału!..

— Niech dyali wezmą gałganów, za wszystkie zgryzoty, jakie mi wyrządzili! — jęczał chory.

— Cóż oni mają robić? — oburzyła się matka. — Sameś ich tego nauczył.

— Ja? Ja nauczyłem ich, ażeby ojca nie szanowali?

— Nauczyłeś ich zagranicznego handlu.

— Zagraniczny handel co innego a biedny stary ojciec co innego! — mruczał paralityk. Mogli mnie poprosić, a nie tak, jak rozbójnicy poniewierać po podłodze. Mało mi pierzyny nie podarli.

Żona machnęła ręką, wiedząc, że Josek, z powodu nieszczęsnej choroby swojej, był przesadnie drażliwy.

Wieść o spotęgowanej czujności nad granicą obiegłszy wszystkich żydków, trafiła w końcu do kancelaryi gminnej. Ktoś przechodzący tamtędy, wsadził głowę w okno i wrzasnął:

— Kontrabandy szukają!

W kancelaryi siedział pisarz i wójt. Pisarz, figurka mała i ruchliwa przeglądał papiery, a wójt, chłop siwy i krępy, opowiadał wesolą historię o tem, jak go niegdyś naczelnik przez omyłkę kijem obił.

Ale okrzyk: kontrabandy szukają! padł między nich jak bomba. Wójt zbladł, nie rozumiejąc o co chodzi, ale w każdym razie domyślając się czegoś niezwykłego, a więc strasznego. Pisarz zaś zerwał się od stolika i wbiegł do pokoju żony, wołając:

— Ot, masz!... Szukają w mieście kontrabandy!... Chowajże teraz te sztuki jedwabiu w piec, albo do studni!... Narobiłaś mi kwasu twojami znajomościami!...

Pani pisarzowa, ubrana w aksamitny kaftan i czarną rypsową suknię z długim ogonem, na razie oniemiała.

— Com ja ci narobiła?...

— Ano to, że przyjmujesz od szwarcowników kontrabandę do przechowania, a ja głową nałożę. Nie bój się, wiem ja o wszystkim! — mówił mąż.

Pani odzyskała energię.

— A któż to pierwszy wziął na przechowanie towary: ja — czy ty? — zapytała gniewnie, ujmując się pod boki.

— Ja wziąłem raz i tylko dlatego, ażeby *tobie* sprawić jedwabną suknię, której ci się zachciało — odparł mąż. — Przez twoją głupią ambicyę mogę miejsce stracić... marnie zginąć...

Pyzata twarz pani oblała się ciemno-burakowym rumieńcem.

— Ty chamie jakiś!... ekonomski synu!... To ja mam głupie ambicye?—zawołała. — A czy już zapomniałeś z jakiego ja domu pochodzę?... Tyś mnie, chamie, w złotogłów powinien ubierać, proch za mną językiem zmiatać, żem ci zrobiła taką łaskę i za ciebie wyszła...

Pisarz, zaatakowany z téj strony, utopił obie ręce we własnych naturalnie włosach i szybko wrócił do kancelaryi, zatrzaskując drzwi. Ale pani nie dała za wygranę i przez dziurkę od klucza wołała:

— Toś ty zapomniał, że mój ojciec był obywatelem ziemskim, a stryj matki senatorem?... To ty już nie pamiętasz, jak mnie, trzy lata temu, ten stary kolonista nazywał: *ja-śnie pa-nien-ką* i mówił, że służył *u nas za fur-ma-na*...

Pisarz pobiegł ku drzwiom i nachyliwszy się do klamki, począł krzyczeć:

— Gadaj sobie, gadaj!.. Ja już zatkałem uszy i nic nie słyszę... Tra ta ta!.. tra ta ta!..

Z tamtéj strony kopnięto nogą we drzwi i zabębniiono w nie pięściami; poczem — głos dobrze urodzonej damy ucichł. Natomiast w kuchni wszczęły się jakieś hałasy i płacz służącej.

Pisarz był wzburzony. Potrącił kałamarz i uderzył bokiem w kratę oddzielającą cywilną połowę kancelaryi od urzędowej. Nareszcie wsadził ręce w kieszenie, zwiesił głowę na piersi i począł chodzić po izbie, mrucząc:

— Czysta choroba z tą babą i z temi ciągłemi rewizjami...

Wójt patrzył na niego, rozumiejąc jedno tylko, że jest — źle. Każde poszukiwanie kontrabandy i każdy przyjazd delegata powiatowego wprawiał

pisarza w najgorszy humor i budził w nim myśli rozpaczliwe, co ogromnie trwożyło starego wójta.

Bodaj to superrewizya albo zbieranie zaległych podatków! Wtedy pisarz miał inną minę, z żoną nie kłócił się i wójta nie straszył!..

— Panie pisarzu — odezwał się wójt.

— Ehe?...

— Co to będzie?

— A źle będzie! — odparł pisarz.

— Niby... komu?

— Rozumie się, że całej gminie. Tu jak już raz zaczną szukać kontrabandy, a znajdą co dobrego, to jedną naszą gminą wybrukują wszystkie kryminały!

Wójt poruszył się.

— A cóż winna gmina, że kilkunastu z niej szwarcuje towary, a *tam... kto* przechowuje? Ma być taka wieczna zgryzota przez nich, to najlepiej zaskarżyć sprawców i tyle!..

Pisarz przybiegł do stołu i wytrząsając ręką, zawołał:

— Ol... ol... ol... jeszcze czego? A czy to wójt nie wiesz, że jak się raz taka sprawa wyda, a oni kosztów nie zapłacą (bo skądby wzięli?) to my bekniemy wszyscy?..

Wójtowi jeszcze nic — ciągnął dalej. — Sprzedają wam grunt, dom, resztę odsiedzicie najdłużej w ciągu roku i jako człowiek stary, będziecie

— mogli utrzymać się do końca życia z jałmużny. Ale ja co zrobię?... Żebrać przecie nie pójdę.

Pisarz wiedział w jaki sposób pocieszać wójta, bo starzec aż za głowę się schwyił.

— Matko Boska Częstochowska! — zawołał. — Ja mam żebrać na stare lata?... Mnie sprzedadzą grunt?...

— Takie prawo! — rzekł lakonicznie pisarz.

Wójt aż spotniał.

— Cóż na to począć, gadajże pan? — pytał.

Pisarzowi błysnęły oczy.

— Co począć? — powtórzył. — Naprzód nie myśleć o żadnych skargach na nikogo, bo to jest głupstwo budzić dyabła kiedy śpi. A po drugie... Zaraz ja tu przyjdę..

Wyszedł do pokoju żony, coś z nią poszeptał i wrócił ze sporą paką w ręku.

— Niech to wójt zanieś do siebie i trzyma parę dni — rzekł, oddając mu pakę.

Chłop wahał się.

— Niéma się co namyślać! — zawołał pisarz niecierpliwie. — Wójt *objeszczyki* mają za spokojnego człowieka, nie posadzają o nic i rewizyi nie zrobią. A gdyby taka rzecz w kancelaryi została, to mielibyśmy obaj!...

— Pocóżes pan to brał?

— Po co!... Albo ja brałem?... Przyszedł dziś w nocy jakiś gałgan i wrzucił mi pakę przez okno do

pokoju. Oddam może *objeszczyciom*, to mnie szwarcownicy spalą, a zaskarżę — to na całą gminę nie-szczęście spadnie!

Wójt, człowiek uczciwy i nawet rozsądny, który jednak na swoim urzędzie stracił umysłową równowagę, słuchając teraz dowodzeń pisarza, skołował do reszty. Nie zupełnie mu wierzył, ale — bał się nie wierzyć. Bo co będzie, jeżeli pisarz mówi prawdę?... Pytać o wyjaśnienie podobnych subtelności prawnych nie bardzo kogo wypada, a zaskarżyć niebezpiecznie.

Z własnej praktyki wiedział wójt, że do każdej sprawy wpłatać można najniewinniejszych. Co zatem będzie, jeżeli jego wpłaczą do interesów szwarcunkowych? A co będzie, jeżeli w kancelaryi znajdą kontrabandę?

Jak zwykle, tak i tym razem wójt stracił własny sąd i wolę i uległ pisarzowi. Nie bez trwogi wziął pakę towarów i opuścił z nią kancelaryę. Idąc ku domowi, niespokojnie oglądał się na wszystkie strony, czy go kto nie śledzi. Ale że każdy mieszkaniec osady był w téj chwili zajęty sobą, więc nikt go nie spostrzegł. Cały zatem i bezpieczny doszedł do chaty i oddał pakę żonie, z ostrzeżeniem, aby ją dobrze schowała.

Na jój pytanie: co znaczy paka? opowiedział wszystko szczerze. Wtedy wójtowa poczęła mówić przejęta żalem:

— Za jakie grzechy skarał nas Pan Bóg tem wójtowstwem?... A dyć to czysta zguba ciała i duszy!... Masz trochę większe dochody, ale za to ludzie cię przeklinają i musisz robić rzeczy niebezpieczne, tak jak dziś, z towarami!...

A wszystko wynika stąd, że cię pisarz opętał. Przyjdzie choć najbiedniejszy pożyczyc pieniądze z kasy—musi płacić. Oni nie wiedzą, że tobie z tych interesów nie wiele wpływa, ino wszystko idzie dla pisarza. Ale swoją drogą ciebie tylko widzą i ciebie klną.

Mówię ci, Szymonie — biadała kobieta — zrzuc ty się z urzędu, albo wygnaj pisarza, bo on cię zgubi!

Wójt machnął ręką.

— Wygnaj go!—rzekł.—Łatwo się to gada, ale trudno zrobić. Nie można przecie człowieka pozbawiać chleba, a zresztą—westchnął—nie ja mu nie poradzę. Jeszcze on mnie zaskarży i pójdę pod sąd...

Byłby on lepszy — dodał po chwili — ino ma taką żonkę, co go ssie, jak wąż krowę, buntuje go i namawia. Ho! ho! ona się urodziła na naczelniczkę a nie na chłopską pisarzową!...

Oj! jakże mnie na wnętrzu trapi! — wykrzyknął wójt na zakończenie.

Żona—wiedząc dobrze, w jaki sposób kończą się zwykle utrapienia urzędowe — zaprowadziła go do łóżka.

— Stary!—rzekła—zadam ci na odrzucenie...

— Kiej to bardzo paskudnie! — jęczał wójt.

— Magda! — zawołała staruszka — a przetrzyj tam cybuch piórkiem.

— Oj! kiedy strasznie nie lubię! — szeptał wójt.

Ale na utyskiwania jego nie zważano. Magda przeciągnęła cienkie, kacze piórko przez kanał cybuszka, i nabrawszy dosyć szmelcugi, podała piórko wójtowej.

Żona objęła starca jedną ręką za głowę, mówiąc:

— Otwórz gębę, stary!... Zaraz ci ulży...

— Oj! kiedy nie lubię... Nie lubię... nie lubię... — stękał wójt, szeroko otwierając usta.

Wtedy żona poczęła go łaskotać piórkiem po wnętrzu gardła. Wójtowi—aż oczy na wierzch wylażyły; na szczęście—nie bez skutku...

— Lżej ci teraz?—pytała go żona.

— Och, lżej! — mruknął i upadł na wznak, na poduszkę.

Potem zasnął twardo i zapomniał o swoich zgryzotach.

.....

Nad wieczorem Moszek i Abraham Cymesowie przyszli do kancelaryi gminnej.

Zobaczywszy ich, mały pisarz zerwał się z krzesła i zapytał:

— Cóż słyhać?...

— Nic wielkiego — odparł Moszek. — Ale nas bardzo zestrachali...

— A niech was licho weźmie! — pochwycił pisarz — eo ja miałem kłopotu z waszemi paczkami. W domu trzymać ich nie mogłem, więc dobrze nakręciłem głową, nim udało mi się namówić wójta, ażeby je wziął...

— Wójt wziął?... — zawołali razem obaj Cymesowie z akcentem radosnego zdziwienia.

— A rozumie się!

Moszek zatarł ręce:

— Pan pisarz jest bardzo mądry! — rzekł. — Jak wójt będzie nasz, to nam się interesy jeszcze lepiej poprawią. *Objeszczyki* pierwiejby poszli do proboszcza na rewizyę, aniżeli do niego...

Pisarz uśmiechał się:

— A co mnie za to będzie? — spytał.

— Dobrze będzie — odparł Moszek.

Z tą cenną wiadomością obaj bracia opuścili pisarza i śpiesznie poszli do domu wójta. Ale ich tam nie puszczono. Magda powiedziała, że wójt chory.

— To niech do nas wyjdzie pani wójtowa. My tylko mamy jedno słówko powiedzieć.

Po chwili ukazała się na progu staruszka. Żydki ukłonili się nisko, a Moszek, wymowniejszy od rudego brata, zapytał półgłosem:

— Tu u państwa jest trochę naszych towarów. One tu bezpieczne?..

— Jakich towarów? — zapytała zmieszana wójtowa, udając oburzenie. — Wściekliście się żydy, czy co?

— Nu! nu!... niema się o co gniewać. Tam jest trochę materyi dla... naczelnika, więc chodzi nam o to, ażeby się nie zniszczyła.

Ja nawet pani wójtowej powiem — obełgiwał w dalszym ciągu Moszek — że ta materya była plombowana, tylko nam jeden żydek obciął plomby. Ale to nic, bo tam są jeszcze dziurki!

— Dajcie mi pokój, utrapieńcy, ja nie wiem o niczem!...—odparła wójtowa.

— Niema się o co gniewać!—mówił Moszek.— Pani wójtowej wypada tak gadać, a nam nie wypada się pytać. Ja to przecie rozumiem.

Więc tylko powiem, że takich rzeczy w izbie trzymać nie warto...

— Nie bój się, nie bój — przerwała mu starszka.

— Ja się nie boję!... U państwa jest bezpiecniéj aniżeli w kościele... Ale téj materyi nie można trzymać i w obórce, boby się zepsuła, a to przecie dla naczelnika.

— Już tylko ty się nie frasuj!...—odpowiedziała znowu wójtowa, pewna, że składa w téj chwili dowody niezwykłej ostrożności.

No—a teraz idźcie już sobie—dodała. My, z takimi jak wy nie wdawaliśmy się, dzięki Bogu, i nie chcemy wdawać...

Odwróciła się od nich i zamknęła drzwi.

Bracia uśmiechnęli się i poczęli naradzać się po żydowsku:

— Nie schowali w izbie, ani w obórcie—mówił Abramek—więc pewnie w stodole, o tu—na prawo.

I bez żadnej ukrytej myśli, raczej z nałogu, przypatrzyli się uważnie dziedzińcowi i stodółce. Spostrzegli przytem, że pies podwórzowy jest dosyć chudy i że w stodole deski, tworzące ścianę, dadzą się bez trudu wyjąć.

Powrócili do miasteczka.

W drodze spotkali się z mieszczaninem, który szedł ostro, w czapie na bakier, wygwizdując krakowiaki.

— Co ty tak dziś gwizdziesz, Wicek?—spytał go wymowniejszy z Cymesów.

— A gwizdzę bom zły! Prawda temu, że dzisiaj —nie będzie *roboty*?...

— Na granicy — *parzy* — odparł Moszek.

— Cóż tam będą przenosili?... — pytał mieszczanin.

— Podobno coś dużego.

— Mieszczanin poprawił czapkę.

— No — to może mi dacie trochę pieniędzy — rzekł.

Żydki poczęły się dziwić.

— Pieniędzy? — powtórzył Moszek. — Wczoraj przecie zarobiłeś trzy ruble.

— Ale dziś nie mam nic.

— To weź od ojca. U niego ruble pleśnieją...

— Może i tak, ale mnie nic z tego.

— Skąpy stary! — mruknął Moszek — a ma gruby grosz. Onby kupił wójtostwo, gdyby chciał.

Mieszczanin wsadziwszy ręce w kieszenie, patrzył w ziemię i smutnie kiwał głową.

— To mi choć pożyczcie ze dwa ruble — odezwał się do żydków.

My sami nie mamy! Zresztą winienez nam ze trzydzieści rubli.

— A tak, za to, że dajecie na kredyt wódkę matce.

— To ci jeszcze źle, Wicek? — spytał Moszek.

— Ma się wiedzieć. Ot i dzisiaj matka upili się, nie zgotowali kolacyi i nie ma co jeść z domu.

No — pożyczcie dwa ruble?

Obaj bracia wzruszyli ramionami.

— My sami nie mamy!... Towary nie sprzedane... Ty Wicek, razem z matką, nie umiecie grosza upilnować, a twój ojciec jest skąpy. Bieda z wami...

Tak lamentując Moszek szedł ku miastu, a jego brat obok, patrząc wypukłami oczyma w niebo,

jakby śledził czy i stamtąd nie możnaby sprowadzić jakiej kontrabandy?

Wicek słuchał ich, ale już nie gwizdał i nasunął czapkę na oczy.

— Co tu robić?— myślał. —W karezmie nie zakredytują mi, w domu bez jedzenia smutno siedzieć...

Słońce już zaszło i niebo zaciągnęło się chmurami. Wickowi było coraz tęskniiej, więc powłókł się machinalnie w stronę pogranicznój rzeczułki.

Zdaleka doleciał go odgłos końskiego stępa. Wicek szybko schował się między krzaki i upadł na ziemię. Wiedział on, że w każdój chwili może nadjechać strażnik, odkryć go i aresztować. Uczuł na plecach lekki dreszczyk, serce uderzyło mu śpieszniej, zmysły spotęgowały się.

Z różnych stron dolatywał go tętent koni, a nawet szmer rozmów, prowadzonych nie zbyt głośno. Był to punkt bardzo niebezpieczny: ale dlatego właśnie Wicek przestał się nudzić. Jak wąż przypełzał do stromego brzegu rzeczki i oddychał jēj wilgotnemi parami. Leżąc tak namyślał się, czyby, dla rozrywki, nie przejść na drugą stronę granicy? Na wszelki zaś wypadek był gotów opuścić się do rzeczki, dać nurka, a potem cicho płynąć lub pełzać po mieliznach, choćby przez całą noc.

Niebezpieczne ucieczki i niewygodne kryjówki były jego żywiołem, pracą i zabawą. Gdyby tego nie

stało — Wicek chyba się rozpił z nudów. Bo co miał robić?...

W tem miejscu należy dodać objaśnienie.

Podobno przed kilkoma dniami w jednym z pruskich arsenałów popełniono kradzież. Ponieważ nadużycie wykryte zostało nadspodziewanie prędko, więc sprawcy złęgo, wraz ze swoim niebezpiecznym towarem, postanowili uciec do Królestwa.

Na nieszczęście, żandarmerya pruska zawiadomiła o wypadku tutejszą straż pograniczną i na biednych złodziei z dwóch stron urządzono obławę.

Ale tych szczegółów Wicek nie znał. Słyszał on tylko od „swoich“ o wielkiej kontrabandzie i nie mogąc w niej przyjmować czynnego udziału, chciał przynajmniej zobaczyć: co z owego polowania wyniknie?

Czekał więc nad rzeczką, leżąc bez ruchu, parę godzin. Głosy *objeszczyków* i pruskich żandarmów ucichły, a Wicek zdrzemnął się.

W tem, około północy, usłyszał w oddaleniu wielki hałas. Galopowały konie, brzęczały pałasze, padło nawet kilka strzałów... Zawierucha ta, jak nagle zerwała się, tak i nagle ucichła. Jezdni pocwałowali w inną stronę, a nad łąką znowu głębokie milczenie zaległo.

Z tych ciemnych i chaotycznych wypadków Wicek wyprowadził dziwny wniosek.

— Widać—myślał—że koledzy szwarcowników odciągnęli straż w inną stronę, a więc... tedy przejdzie kontrabanda!...

I jakby w odpowiedzi na swój domysł, może w odległości stu kroków, usłyszał prędki bieg dwu ludzi. Byli obaj zadyszani i biegnąc, rozmawiali ze sobą po niemiecku, ale o czym?... Wicek nie rozumiał, ani nawet dobrze słyszał.

— Rzućże to!—mówił jeden z uciekających.

— Ale dajże spokój! — odparł drugi. — W tem pudle jest proch i mieszanina piorunująca. Niech uderzy o ziemię, to nas na kawałki rozerwie, a przynajmniej ściągnie nam na kark całą brygadę żandarmów.

— Więc połóż lekko na ziemi.

— Nie głupim! W dzień znajdą pakę, a jeżeli nas złapią, to odrazu będą mieli dowód.

Rozmowa na chwilę ucichła.

— Patrz! tu płynie rzeka — odezwał się pierwszy głos.

— W rzekę można rzucić...—odpowiedział drugi. Tu nawet jest wir.

Uciekający stanęli po drugiej stronie rzeczki o kilkadziesiąt kroków od Wicka. Kontrabandzista widział ich ciemne sylwetki, widział, jak obaj pochylili się nad stromym brzegiem i ostrożnie spuścili do wody drewniane pudełko, średniej wielkości.

Za chwilę znikli w pomroce. Wickowi serce biło jak młot.

— Oni chyba klejnoty szwarcowali, może nawet zegarki?—myślał.—Za parę dni przyjdą tu i wydobędą z wody pakę, za którą... ubogi człowiek... mógłby kupić wieś... Co ja gadam?... Trzy wsie!...

Dla kontrabandyzisty, który po kilka razy tygodniowo narażał się na śmierć, kalectwo, w najlepszym razie na kryminal, a pomimo to był zawsze biedny i siedział w kieszeni u żydów, wypadek podobny wydał się łaską Opatrzności. Odtąd już Wicek będzie panem całą gębą, jedynie dzięki temu, że skąpy Moszek nie chciał mu dwu rubli pożyczyć!...

Wicek drżał jak w febrze. W głowie mu się paliło, piersi coś rozpierało. Gdyby mu kto w téj chwili zastąpił drogę, kontrabandyzista nie cofnąłby się przed morderstwem, zabiłby człowieka jak zająca...

Pomimo najrozmaitszych uczuć, jakie nim miotły, Wicek czasu nie tracił. Szybko rozebrał się, ułożył rzeczy pod krzakiem i cicho, jak widmo zsunął się do rzeczki.

Pluśnięcia wody prawie że nie było słychać, tylko na jój powierzchni utworzyło się mnóstwo kół posuwających się ku drugiemu brzegowi.

Tam, gdzie uciekający rzucili skrzynkę z klejnotami, był dół głęboki a nad nim wir. Ale Wicek

ani myślał o podobnym drobiazgu. Płynął prosto przed siebie i nagle, pochwycony przez lej wodny, w którym aż gotowało się, dał nurka. Nim dosięgnął dna, już go wyrzuciło na wierzch. Wicek drugi raz popłynął, drugi raz zanurzył się, schwycił garść błota, ale skrzynki nie znalazł.

Woda odrzuciła go powtórnie. Dotarł do brzegu i zaczepiwszy ręką o zwieszającą się wierzbę, chwilę odpoczął. Potem znowu dał nurka i szukał skrzynki ze wściekłą zawziętością. Zdawało mu się, że jeżeli nie znajdzie klejnotów, sam się raczej utopi, ale takiej okazji, jedynéj w życiu, z rąk nie wypuści.

Szalona praca jego, przerywana krótkimi wypoczynkami, trwała z pół godziny. Niekiedy wir chwycił go tak, że zmęczony kontrabandzista nie mógł mu się oprzeć i szedł na dno, wywracając koziółki. Niekiedy kręcąc się w głębinie, nie mógł zapanować nad płucami łaknącemi powietrza, a wówczas zalewała go woda. Raz, zdawało mu się, że już tonie...

Pomimo to nie dał za wygranę, ale wciąż nurzał się i szukał w rozmaitych miejscach, nie robiąc przytem najmniejszego hałasu, nie oddychając nawet silniej. Nareszcie, po rozpaczliwéj walce, odpłynąwszy kilka kroków z biegiem rzeki, znalazł skrzynkę!..

I tym razem mało, że nie utonął; szczęściem znalazł w brzegu raczą jamę, zanurzył w niéj rękę i wydobył się z wiru. W tak niewygodnéj pozycyi

odpoczął, przyciskając drugą ręką skrzynkę z klejnotami do piersi.

Radość ze znalezienia takiego skarbu prawie pozbawiała go zmysłów. Chciał gdzieś uciekać, na kraj świata, gdzieby go ludzkie oko nie dojrzało, tam dopiero otworzyć skrzynkę, sprzedać klejnoty czy zegarki i zostać wielkim panem!...

Tymczasem woda odpłynęła mu z uszu i Wicek usłyszał szmer... Wyteżył oczy... Nad brzegiem, w tem samem miejscu, gdzie kontrabandzista złożył swoje odzienie, chodził w téj chwili *objeszczyk!*

Wicek struchlał, prawie obumarł z wielkiej bojaźni... Czyżby go odkryto?...

Jeżeli tak, więc zginie, utopi się, ale skarbu nie odda!...

Nastąpiła długa i straszna pauza. Kontrabandziscie zdawało się, że upływają całe godziny. Drżał i ledwie mógł powstrzymać się od szczękania zębami.

Objeszczyk tymczasem chodził naprzód i w tył po niewielkiej przestrzeni. Ale, że nudziła go noc i samotność, więc nałożył sobie fajkę, zapalił ją i znowu począł chodzić jak szyldwach, tuż obok krzaku, pod którym leżało ubranie Wicka.

W kontrabandzistę duch wstąpił. Wprawdzie o zabranii swoich rzeczy nie mógł myśleć, nie mógł też wisieć, jak obecnie, pod brzegiem do białego dnia. Ale był pewny, że *objeszczyk* nie spostrzegł go.

Wicek szybko obmyślił plan działania i natychmiast wykonał go. W chwili, gdy strażnik pomaszerował w górę rzeki, Wicek puścił się brzegu i, mocno trzymając skrzynkę, odpłynął z biegiem wody bez szelestu.

Po paru minutach był już daleko od strażnika i wyszedł na brzeg.

Miasteczko leżało o wiorstę drogi od tego miejsca, a dom Wicka na przeciwnym krańcu miejsciny. Kontrabandzista musiał więc iść przez łąki, nago, jak go Bóg stworzył, i ostrożnie, aby go kto nie spostrzegł.

Noc była wprawdzie dosyć ciemna, ale patrole krążyły.

Wicek, wiedząc o tem, że go zobaczyć łatwo, usłyszawszy najmniejszy szmer, padał na ziemię i pełzał po trawie.

Była to prawdziwie ciernista droga. Kilka razy o mało nie spostrzeżono kontrabandzisty, który wleciał w rów, pokaleczył się, musiał uciekać przed psami...

W taki sposób doszedł do miasteczka, które należało okrążyć. Z brzegu stała kolonia wójta, otoczona płotem chruścianym. Nagi Wicek z trudnością przelazł go i wpadł między pokrzywy, a co gorsze musiał w nich dłuższy czas pozostać, usłyszał bowiem jakiś szmer.

Wpatrzył się lepiej w ciemność i zobaczył dwu ludzi, którzy starali się osadzić deskę wyjętą ze sto-
doły. Ponieważ nie udało im się to, więc rzucili de-
skę i szybko uciekli. Wickowi zdawało się, że to
byli: Moszek i Abraham Cymesowie i że jeden z nich
niósł jakąś paczkę, niby towary.

W każdym innym razie kontrabandzista pognał-
by za złodziejami i zmusił ich przynajmniej do po-
dzielenia się zarobkiem. Ale w tej chwili Wicek nie
o tem myślał. Pokrzywy piekły go jak ogień, a mimo
to czuł przeraźliwe zimno, które go do kości przej-
mowało.

O ile mógł szybko opuścił kolonię wójta i mię-
dzy sadami dostał się do ojcowskiej chaty, podra-
pany, poparzony, potłuczony i zziębnięty.

Około pustej obórki znajdował się dół, w któ-
rym była niegdyś gnojówka, a obecnie woda desz-
czowa i wszelkiego rodzaju pomyje. Wicek w tym
dole zatopił swoją skrzynkę, umył ręce przy stu-
dni i zapukał do okna.

W chacie rozległ się powolny szmer.

— Ewa! wstawaj... Otwórz drzwi!—zawołał głos
męski.

Odpowiedziało mu chrapanie.

Wicek powtórnie zapukał.

Tym razem gruby głos zaklął. Potem słychać
było skrzypienie tapczana, upadek jakiegoś sprzętu,
zgrzyt zasuw i drzwi uchyliły się.

Po drugiej stronie wysokiego progu ukazał się ojciec Wicka, starzec chudy, który za cały strój miał na sobie zgrzebną koszulę.

Wicek już chciał wejść, gdy nagle ojciec jego krzyknął:

— Co tu?... Kto tu?

— No, juźci ja! — odparł Wicek i przemocą wdarł się do chaty.

— Coś ty taki goły?... Gdzieś się rozebrał?...

Wicek nie odpowiedział nic. Stary tymczasem potarł zapałkę i zapalił kaganek. Potem zdziwiony, rozgniewany i trochę przestraszony począł oglądać nagiego syna.

— Gdzieś odzienie podział?... Coś ty—zwaryował?—pytał stary.

— Odzienie *objeszczyki* mi złapali — odparł syn ponuro.

— *Objeszczyki*? — powtórzył ojciec. — Ewał — krzyknął na śpiącą żonę i targnął ją za ramię — wstawaj i patrz, jak ten złodziej wygląda... Tyś przepił, sobaczy duchu, odzienie!... Dam ja ci!

Matka obudziła się z pijackiego snu i nieprzytomnie patrzyła na Wicka.

— W imię Ojca i Syna! — przeżegnała się.

Ojciec pochwycił gruby rzemień, a syn, choć już mężczyzna dorosły, począł go prosić.

— No, niech tatko nie bije!... Żeby mnie Bóg skarał, tak mi *objeszczyki* złapali odzienie...

Stary podniósł do góry ramię i pytał:

— Gdzie ci złapali?... Gadaj prawdę!...

— Złapali nad rzeką... Bom ja niedawno z wody wylazł.

— A coś ty tam robił?... Tylko mów szczerą prawdę...

Wicek przez chwilę wahał się, ale potem wziął na odwagę i powiedział o znalezionym przez siebie pudełku klejnotów i zegarków.

Staremę ramię wypadł z ręki, a oczy zaświeciły jak próchno.

— Gdzież ta skrzynka?— spytał już łagodnie.— Pokażno ją...

Ale syn usiadł na tapczanie, nakrył się derą i odparł:

— Już ja sam sprzedam klejnoty, bo tatko nicby mi nie dał...

— Co ci nie mam dać!— ofuknął stary.— Dam ci zaraz... rubla.

— Ale... rubla!...— mruknął Wicek. — Jabym takiej skrzynki i za tysiąc rubli nie oddał...

Stary prędko zmiarkował, że pogrózkami nie nie wskóra, chwycił się więc innej taktyki.

— Nie bądź głupi— rzekł— tylko powiedz, gdzie skrzynka, bo ci ją jeszcze kto ukradnie. Ja tam nic z niej nie chcę... Co twoje, to twoje... Dasz mi sam tyle, ile ci się podoba, ale taką rzecz lepiej trzymać w chacie, w pewnym miejscu.

— Ja ją sam przyniosę do chaty — odparł Wicek.

Stary zachmurzył się.

— A jakże przyniesiesz, kiedyś goły?...

— Wielka rzecz! Jutro wezmę z komory odzienie od święta...

Nim skończył, już ojciec skoczył do komory, drzwi zamknął i klucz wyjął, mówiąc:

— Aha!... zaraz!... Otóż — nie dam ci odzienia, dopóki nie powiesz, gdzieś skrzynkę schował...

Teraz Wicek zrozumiał, że stary skąpiec ma bardzo wielką ciekawość do klejnotów.

— I! — mruknął. — To tatko taki?... Nie powiem że ja tatkowi nic, aż sprzedam... Tatko by zabrał i schował, tak, jak pieniądze, co je dusi, kiedy my z matką głód mrzemy...

— Gadaj sobie, gadaj! — odparł stary. — Ja ci rzeczy nie wydam, a ty siedź w izbie, kiedyś goły... Tymczasem niech ci kto skrzynkę skradnie, kiedyś głupi, i własnemu ojcu nie wierzysz!

Matka słuchała téj sprzeczki z wielkiem zajęciem, ale w końcu sen przemógł ją, więc z głośnym chrapaniem upadła na tapezan.

Stary zdmuchnął kaganek i także wlaźł pod sukmanę. Wicek wreszcie pomyślawszy trochę, owinał się lepij w derkę i legł, choć zasnąć nie mógł.

.

Rano skąpiec wyszedł na zwiady, sądząc, że, jako doświadczony kontrabandzista, wpadnie na trop. Powłókł się nad rzeczkę, między wierzby, znalazł w jednym miejscu (naprzeciw wiru) ślady objeszczyka, ale nad to nic więcej.

— Sprytny kundel! — pomyślał o synu. — To ci ma szczęście... Ja pięćdziesiąt lat harowałem i raz tylko jeden udało mi się znaleźć dwadzieścia dukatów przy nieboszczyku... A on już ma skrzynię klejnotów!... Jeżeli go żydy nie okpią, to będzie jaśnie panem, a rodziców psami od siebie wyszczuje...

I na myśl o przyszłych nieprawościach synowskich taki starego żal ogarnął, że mu się łzy w oczach zakręciły. Postanowił bądź co bądź wynaleźć skrzynkę i nią się zaopiekować.

Po wyjściu ojca Wicek powiedział matce, że znalazł skarb, który ukrył w pewnym miejscu, że ojciec chce mu go wydrzeć i dlatego zamknął komorę z odświętnem odzieniem. W końcu prosił matkę, aby udała się do braci Cymesów i wzięła od nich na kredyt jakie ubranie.

Poczciwa kobieta z rozrzewnieniem wysłuchiwała wiadomości o zbogaceniu się syna. Ucałowała go, a potem wzniosłszy rękę do góry, rzekła:

— Ale ty, dziecko, nie wyprzesz się swojej matki?

Wicek wzruszył ramionami.

— I codzień będziesz mi stawiał flaszkę *kimelu*. Bo ja, stara, stygnę już, potrzebuję czegoś gorącego, a na herbatę mnie nie stać!...

— No... no!—przerwał Wicek.—Będzie dobrze, tylko niech mama *rwie* do żydów i przyniesie mi odzienie. Inaczéj nie ruszę się z domu.

Bracia Cymesowie czuwali już przed sklepem kiedy przyszła do nich matka Wickowa, z żądaniem odzienia. Zrobiła zaś to z miną tak tajemniczą, że bracia uznali za niezbędne potraktować ją szklanką wódki.

Wtedy baba, z największemi ostrożnościami, dała im do zrozumienia, iż Wicek dzisiejszej nocy znalazł taki skarb, taki wielki skarb, że aż... musiał się przy nim rozebrać do naga!...

Braci zaciekawilo opowiadanie. Więc Moszek posłał Abramka niby to po rzeczy, a sam ze staruszką poszedł do Wicka.

Ledwie przestąpił próg, zawołał:

— Co to jest Wicek, coś ty znalazł?... Ty przecie wiesz dobrze, że my jesteśmy współnicy i dzielimy się do połowy, a jeszcze... jesteś nam nie mało winien!

— Oddam com winien, za parę dni—odparł Wicek, napróżno usiłując schować się dokładnie pod kusą derkę.

— Co ty oddasz? — wołał Moszek. — Ty oddaj nam towary, bo to „nasi“ zgubili i możesz mieć kłopot...

Wicek oburzył się.

— Nie szczekałbyś żydzie napróżno. Tego com znalazł nie zgubili „nasi“ tylko tameci, co na nich wczoraj nad granicą polowali. Zresztą, to nie są żadne towary, ino klejnoty i zegarki.

Żyd aż podskoczył.

— Klejnoty?... zegarki?—pytał.—A co ty z nimi zrobisz? Ty nam oddaj, a my sprzedamy, bo inaczej złapią cię.

Wicek oburzył się.

— Kiedy tak, to wynoś się, żydu!... A jak mi będziecie dokuczać, oddam skrzynkę na komorę i jeszcze was zadenuncyuję!

— Czego się pan Wincenty tak złości?—odparł Moszek, zmieniając nagle ton. — Nie chcesz pan z nami trzymać, to nie... A skarżyć niema interesu, bo my także coś wiemy... Zresztą, pan Wincenty robi sobie jak zechce, ze swoim znaleźnem, a ja... zaraz tu ubranie przyniosę. Może Abramek dostał już co potrzeba...

To powiedziawszy opuścił chatę i szybko pobiegł do brata.

— On znalazł coś wielkiego! — rzekł do Abramka. — Jego trzeba zaraz zrewidować... Idźmy do wójta.

Abraham chciał go zreflektować.

— Jakże my teraz pójdziemy do wójta—odparł kiedyśmy byli u niego *dziś w nocy?*...

— Co to szkodzi!—przerwał Moszek.

Pobiegli do kancelaryi gminnej, a gdy pisarz wyprowadził ich do osobnego pokoju, Moszek odezwał się:

— Czy pan pisarz wie, dla kogo była ta materya, cośmy ją dali tu do schowania?... Ale niech pan pisarz nikomu nie mówi!...

— Dla kogo?... Nie nie powiem! — upewnił ich pisarz.

— Oto, widzi pan pisarz, ona była dla... naczelnika! A naczelnik przysłał teraz jednego żydka, coby on tę materyę odwiózł mu w *trymiga*, więc—my przyszli, żeby ją pan pisarz oddał.

— Mówiłem wam przecie, że ją oddał do schowania wójtowi.

— To jest prawda, ale nam wójt bez pana nie da jój powąchać—odparł Moszek.

— Więc idźmy do niego! — rzekł drobny pisarz, biorąc olbrzymi kij do ręki i majestatyczną czapkę na głowę.

Gdy weszli na dziedziniec kolonii wójtowskiej, znaleźli wójta i wójtowę przed stodółką, oboje bardzo zafrasowanych. Ona nawet płakała.

Widząc to, Abramek trącił Moszka i uśmiechnął się. Bracia już wiedzieli o przyczynie frasunku!

Zobaczywszy przybyłych, wójt zawołał.

— A toś mi pan, panie pisarzu, dogodził z tą paką!... A dyć mi ją dziś w nocy ukradli...

— Nie może być!—krzyknął pisarz.

Bracia, Moszek i Abraham, poczęli rozpaczać:

— Co to będzie?—jęczał Moszek.—Akurat w téj chwili naczelnik przysłał po materyę...

Wójt osłupiał.

— Ale czy napewno ukradziono materyę? — pytał pisarz.—Może się tylko wójtowi zdaje?

— Ale nie zdaje mi się!—odparł wójt.—Przecie nam jeszcze psa otruli i deskę ze stodółki wyjęli...

— Któżby to mógł zrobić? — mruknął pisarz, naprawdę zdziwiony. — Przecie nikt nie wiedział, gdzieście schowali materyę...

Teraz Moszek wysunął się naprzód.

— Z przeproszeniem — rzekł — czy tego nie zrobił Wicek, ten... szwarcownik?... On, dziś w nocy kontrabandy nie przenosił, a jednak gdzieś chodził i całe odzienie stracił. Leży teraz w izbie goły i ja myślę, że gdyby państwo poszukali u niego, to możeby się znalazła materya...

I wójt i pisarz bez namysłu przyjęli projekt Moszka.

— Zrewidujmy mu chałupę!—krzyknął wójt.

— Idźmy!—dodał pisarz.

— Tylko niech się państwo nie śpieszą!—wtrą-

cił pokornie Moszek. — Takie rzeczy trzeba robić ostrożnie, a przytem my nie chcemy, ażeby on wiedział, że myśmy go posadzili. Więc ja i brat pójdziemy do niego naprzód, z odzieniem, a państwo przyjdą za pół godziny. Może my tam co zobaczymy?..

Wójt i pisarz uznali słuszość téj uwagi.

Wówczas bracia Cymesowie pobiegli do swego sklepu, wzięli stamtąd jakieś stare odzienie i z niem udali się do Wicka, ciesząc się, że wszystko idzie dobrze.

W drodze ułożyli plan. Wiedzieli, że wójt materyi u Wicka nie znajdzie, ponieważ oni ją sami wykradli, ale chodziło im o dowiedzenie się: gdzie są klejnoty, które kontrabandzista znalazł?... Znali oni żywy temperament Wicka i rachowali na to, że gdy wójt i pisarz w czasie rewizyi trafią na miejsce gdzie był schowany skarb, chłop wpadnie w gniew i zrobi im awanturę. Wtedy oni przypomną wójtowi, że taka rewizya nie jest legalną i skarb zostanie ocalony, dla nich!

Rzeczywiście, ledwie przybyli do chaty Wicka, oddali mu odzienie i poczęli wypytywać o znalezione skarby, na dziedzińcu ukazał się wójt i pisarz.

Obaj urzędnicy weszli natychmiast do izby i rozpoczęło się badanie:

— Gdzieś ty, Wicek, był dziś w nocy?—zapytał go wójt.

— A wam co do tego? — odparł hardo kontrabandzista, choć był zmieszany.

— To nam, że cię posądzają o kradzież jednych tam rzeczy—mówił wójt. — Przyznaj się więc odrazu i oddaj coś wziął, a minie cię kara.

Wicek trochę ochłonął.

— Żeby mnie Bóg skarał — zawołał bijąc się w piersi — takim nic nikomu nie ukradł!... Zresztą szukajcie, a jeżeli znajdziecie co waszego, to mnie oddajcie do kryminału... Tak wam mówię i sprawiedliwieli!...

Z kolei wójt i pisarz zakłopotali się pewnością Wicka. Żydzi zaś pomyśleli, że kontrabandzista nie trzyma swoich klejnotów w chacie, kiedy się nie obawia rewizyi.

— Możesz ty i nie ukradł nic — rzekł wójt — ale zawsze powiedz: gdzieś był dziś w nocy?

Wicek postanowił być otwartym.

— Powiem! — rzekł. — Byłem nad granicą i coś znalazłem. Ale to, com ja znalazł nie jest żadnego z tutejszych, ino należy do Niemców, którzy uciekali i rzucili. Kiedym zaś znalazł, schowałem w takie miejsce, że sam dyabeł nie odszuka...

A teraz rewidujcie! — dodał.

Wójt i pisarz pokręcili głowami, popatrzyli na siebie i dali za wygraną. Rozumieli, że Wicek mówi prawdę i że u niego materyi nie znajdują.

Żydzi byli pochmurni.

Już mieli się wszyscy rozejść, gdy w ten na dziedzińcu ukazało się dwu *objeszczyków*.

— Hej! Wicek!—zawołał jeden z nich.

Kontrabandzista wyszedł błady jak ściana.

— Ty dziś w nocy byłeś nad granicą, byłeś nawet w rzece... Nie zapieraj się, bo mamy twoje odzienie...

— A byłem w rzece!—odparł Wicek zuchwale.

— Cóżes ty tam robił?..

— A raki łapałem.

— Raki!—rzekł ze śmiechem *objeszczyk*. — No, ehoż z nami na komorę, to tam o tych rakach powiesz więcej.

— Co nie mam pójść?.. Pójdę! — rzekł kontrabandzista.

Wójt, pisarz i obaj żydki patrzyli na scenę tę ze strachem, bo każdy z nich wobec strażników miał nieczyste sumienie.

Kontrabandzista wbiegł do izby po kapelusz. W przelocie schwycił matkę za rękę i szepnął:

— Mamo!... niech mama przysięgnie, że nikomu nie powie i sama mojej skrzynki nie ruszy...

— Biorę Boga na świadka!... Przysięgam! — odpowiedziała kobieta, szlochając.

— Skrzynka leży w gnojówce, koło obory... Ale nikomu matko... nikomu!... Ani ojcu... ani samej nie ruszać...

— Przysięgam ci na rany boskie!...

Rozmowa trwała bardzo krótko, ale bracia Cymesowie zauważyli ją i zaraz odgadli, że baba wie o miejscu, gdzie ukryta jest skrzynka.

W téj saméj chwili ukazał się Wicek z miną zuchowatą i poszedł z *objeszczykami*. Za nimi zdaleka pociągnęli Moszek i Abraham, a wójt z pisarzem zawrócili do kancelaryi, smutnie kiwając głowami.

— Co to będzie?... co to będzie? — szeptał wójt.

— Bekniemy! — mruknął pisarz.

— Za cóż ja... nieszczęśliwy? — spytał wójt.

— Wy?... z urzędu. Ale za co ja? — westchnął pisarz.

.

Ojciec Wicka już w drodze do domu dowiedział się, że syna aresztowali objeszczyki. Wpadł tedy do izby, zły jak dyabeł i odrazu rzucił się do żony, wołając:

— Ty wiesz, czarownico, gdzie on schował klejnoty!... Gadaj zaraz, bo ci łeb rozwałę...

— Nic nie wiem! — jęczała baba.

— Co nie wiesz!... On ci musiał powiedzieć, bo on twój synalek... Gadaj zaraz, gdzie schował, bo nim ten łajdak wróci, to mu kto ukradnie taki skarb. W całym mieście szepcą, że on coś znalazł i już pewno z dziesięciu na nasze klejnoty czatuje...

Stary skąpiec był wściekły z gniewu. Oczy mu krwią nabiegły, a żyły na czole nabrzmiały. Tupał nogami i wrzeszał na żonę:

— Gadaj, gdzie skrzynka, bo cię...

— Nie wiem!—odparła baba.

Wtedy stary pochwycił ją za włosy i począł bić kijem. Wreszcie rzucił ją na ziemię, skopał nogami i wybiegł na dziedziniec. Przewrócił stos gałęzi. Wpadł na obórki i począł rozgrzebywać mierzwę. Spuścił żuraw do studni i pukał nim w dno, sądząc, że może tam syn skrzynkę schował. Ale na próżno.

Więc znowu wrócił do izby i zbił żonę jeszcze lepiej. Możeby ją i zabił, bo żądza posiadania skarbu zagłuszyła w nim wszelkie uczucia ludzkie, gdy na szczęście wszedł do chaty Moszek.

— Co wy robicie, Janie?—krzyknął na skąpea. Stary oprzytomniał nieco.

— Biję babę — rzekł—ażeby powiedziała, gdzie jest skrzynka, co ją Wicek znalazł.

Żyd wzruszył ramionami.

— Jak ona może powiedzieć, kiedy ona nie wie?

Skrwawiona i sponiewierana baba podniosła się z ziemi i z wdzięcznością spojrzała na Moszka.

— A ty skąd wiesz, że ona nie wie? — zapytał skąpiec.

— Wiem od Wicka — odparł Moszek. — On nikomu swoich sekretów nie gada. A jak on się na

komorze ślicznie tłumaczy?... To tak, jakby już ze cztery razy w kryminale siedział. To mądry chłop!.. Oho!... ho!... Gdzieby on babie i do tego pijaczce, o swojej skrzyni powiedział!...

Skąpiec ochłonął z gniewu i w myśli przyznał słuszość wywodom Moszka. Jużci prawda! gdzieby znowu Wicek powierzał taką tajemnicę pijaczce, choć ona jego matka, a on niby ją kocha!

Po takiej refleksyi, skąpiec opuścił dom i poszedł na łąkę, rozmyślając: gdzieby jednak skrzynka mogła być ukryta?

Wtedy Moszek dobył z kieszeni półkwartową flaszkę wódki i rzekł do baby:

— Wicek kłania się wam (bo ja teraz byłem u niego na komorze). Przysyła wam wódkę i prosi, żebyście staremu o skrzynce nie powiedzieli...

— Powiem mu na tamtym świecie! — mruknęła baba, kosztując wódki.

— Jeszcze Wicek prosił — ciągnął żyd — żebyście bez ustanku baczyli na skrzynkę... w dzień i w nocy!... Bo się o tem ludzie już dowiedzieli i mogą ukraść...

— Ma się wiedzieć, że będę uważała dzień i noc — mruknęła baba.

W nawiasie dodać trzeba, że Moszek kłamał jak z nut. Z Wickiem nie widział się, wódkę sam babie kupił, ale swoją drogą wódkę zarzucił i kobieta złapała się na nią.

Teraz już potrzebował tylko śledzić babę i był przekonany, że ona, przesadną czujnością swoją, najpewniej wskaże mu drogę do skrzyni.

Jakoż, niby to opuścił chatę i poszedł ku miastu, Wnet jednak zawrócił się i stanąwszy za jakimś opustoszałym budynkiem, patrzył.

Z tego miejsca dostrzegł przedewszystkiem, że baba siedzi w oknie i wygląda na dziedziniec.

Miałażby skrzynka być w dziedzińcu?

Wkrótce przypuszczenia jego zmieniły się w pewność, stara bowiem wyszła z chaty i poczęła krążyć po podwórku, coraz bardziej zbliżając się do dołu z gnojówką. Wreszcie, obejrawszy się wokoło, wzięła w rękę gałąź, i poczęła mięszać nią gnojówkę.

Teraz Moszek zawrócił do domu. Wiedział już wszystko.

Wkrótce zjawił się w chacie kontrabandzisty Abraham i przywitawszy babę, zapytał:

— Był tu Moszek?

— Był.

— Mówił wam co od Wicka?

— Mówił—rzekła baba.

— A wódkę wam przyniósł?...

Baba, już na pół pijana, odparła:

— Żadnej wódki nie widziałam!...

— No, to macie!—rzekł Abraham, wydobywając z kieszeni znowu półkwartową flaszkę. Wicek kazał

wam codziennie wódkę przynosić i jeszcze prosił, żeby wam na niczem nie zbywało.

On przecie nasz współnik — dodał po chwili — to my jego musimy w nieszczęściu ratować.

W taki sposób rozmawiał z kobietą dobrą godzinę, od czasu do czasu spoglądając w okno.

Było południe. Około chaty kontrabandzisty nikt jakoś nie przechodził. Pomimo to matce Wicka zdawało się, że przez dziedziniec przemknął się ktoś, jakby Moszek?... Ale, że w czasie rozmowy z Abramkiem kobiecina wciąż ssała flaszkę, więc chcąc podnieść się i wyrzucić przez okno, zatoczyła się na tapczan. Po chwili twardo zasnęła.

Spała parę godzin. W tym czasie mąż jej zajrzał do izby, wylał na pijaczkę parę garncy wody i znowu powłókł się gdzieś szukać synowskiego skarbu.

Nareszcie baba, zmoczona od stóp do głów, otrzeźwiła się prędzej niż zwykle. Ziewnęła, przeciągnęła się i wyszła na dziedziniec, a widząc, że nikogo niema w ulicy, zbliżyła się do dołu z gnojówką i za pomocą gałęzi poczęła sprawdzać: czy skrzynka jest na swoim miejscu?

Szturgnęła kijem tu i owdzie, zamieszała pomyje aż ją obryzgały, ale... skrzynki nie wyczuła.

Ogarnął ją strach, więc już całkiem przytomna wlaźła w dół i poczęła grzebać rękoma w obrzydliwej cieczy.

Niéma skrzynki!... a przecież zrana była tu. Była, pamięta ją najwyraźniej, sama dotykała ją gałęzią...

Przy tych poszukiwaniach zastał ją mąż siną, drżącą z wielkiego wzruszenia.

— Co ty tu robisz?—zawołał.

— Skrzynię Wickową ktoś ukradł! — odparła zmienionym głosem.

— Ukradł! — wrzasnął skąpiec. — Ukradł ktoś skrzynię klejnotów, a tyś mi nie chciała powiedzieć, że ona tu była... Tu w tym dole!..

I oszalały z gniewu wpadł do izby, wyniósł stamtąd siekiere i chciał nią żonę zabić. Ale kobieta spostrzegła dość wcześniej, że mężowi źle z oczu patrzy, więc, wydrapawszy się z dołu, uciekła, przemoczona i cuchnąca.

Stary rzucił za nią siekiere, ale jój nie dosięgnął. Baba zaś pędziła ku miastu tak szybko, jakby jój strach ze czterdzieści lat odjął.

Skąpiec stracił już wszelką władzę nad sobą i resztę rozumu. Podniósłszy rzuconą siekiere, wrócił z nią do izby i począł wszystko rąbać. Okna, ławy, półkę z naczyniami, tapczany z pościelą...

— Ukradli mi skrzynkę klejnotów!—wołał.

Wreszcie, w przystępie najwyższej rozpacz, znalazłszy gdzieś w kącie powróż, przeciągnął go przez belkę, wlażł na stół, zawiązał pętlę na szyi i skoczył...

Ale powróż był widać zbutwiały, bo urwał się, a skąpiec padł na ziemię i zwichnął nogę.

Zamiast więc tłumaczyć się na sądzie szczegółowym z pobudek samobójstwa, leżał nieborak na ziemi i krzyczał w niebogłosy.

W tem opłakanem położeniu znalazł go syn, Wicek, którego już uwolnili na komorze. Zobaczywszy straszny nieład w izbie, podruzgotane sprzęty, powróż na belce i ojca na podłodze, kontrabandysta zawołał:

— Co się tatkowi stało?...

— Skrzynię z klejnotami ukradli! — jęczał skąpiec. — O, ty kundlu jakiś!... nie powiedziałaś mi, gdzie leżała i teraz masz...

Ale na Wicku wiadomość ta nie wywarła żadnego wrażenia.

— Ukradli? — spytał. — Pal ją kaci!... Tam nie było klejnotów, ino proch, z niemieckiego arsenału...

— Proch?... nie klejnoty? — spytał skąpiec, szeroko otwierając oczy. — A skąd ty to wiesz?

— Słyszałem jak gadali na komorze.

Teraz stary uczuł straszny ból w nodze.

— Wicek — rzekł — a naciągnij mi łapę, bom se zwichnął.

Syn obejrzał nogę, przyznał, że jest mocno zwichnięta i przystąpił do operacyi. W tym celu skąpiec

chwycił się oburącz za próg, Wiecek wziął go za nogę i szarpnął z całej siły.

— Gwałtu!—krzyknął skąpiec i aż zemdłał.

Syn jednak prędko go otrzeźwił. Potem zdjął mu resztę powroza z szyi i zaniósł chorego na tapezan.

Ojciec stękał, próbował nogi, czy dobrze się chodzi, poprawił się...

— Wicku! — rzekł — a spojrzyno pod tapezan czy tam niéma pakuń.

Wiecek pochylił się, chcąc zajrzeć pod tapezan, ale w téj chwili starzec huknął go pięścią koło ucha, raz i drugi. Kontrabandzistę aż zamroczyło.

— Za co mnie tatko bije?—spytał oburzony.

— Proch czy nie proch, a trzeba go było ojcu oddać. Chciałeś zostać wielkim panem, sam, beze mnie, to teraz won z chałupy!... Na oczy mi się nigdy nie pokazuj... pod płotem zgnij, byleś tu nie wracał, bo cię zabiję!

I schwyciwszy kawał drewna chciał nim uderzyć syna. Ale Wiecek już uciekł.

Matka kontrabandzisty, szczęśliwie uniknąwszy ciosu siekiery, którą za nią mąż rzucił, biegła bez pamięci przed siebie. Nie dziwił jéj ani szalony gniew, ani okrucieństwo starego skąpca.

— Miał *recht!*—myślała.—Nie trzeba było skrywać przed nim skrzyni. Co prawda, byłby ją wziął

wziął i schował w swoje kąty, ale przecie on nie wieczny, więc i skrzynka wróciłaby do nas. A tak ani on, ani my!...

Czuła, że jest zgubioną, bo odtąd i syn pocznie ją nienawidzić tak, jak mąż. Ale słusznie, bo dlaczego nie pilnowała skarbu, któryby ich wszystkich uszczęśliwił do końca życia!...

Pomimo jednak wielkiej rozpacz i resztek pijackiego odurzenia, baba usiłowała odgadnąć: kto skrzynię ukradł?

Byli dziś w ich domu objeszczyki, wójt, pisarz, tudzież bracia Abraham i Moszek. Już samo wyliczenie osób rzuciło na sprawę trochę światła: z nich wszystkich Abraham i Moszek, jakoś najwięcej patrzeli na śmiałych i szczęśliwych złodziei...

Baba przypomniała sobie, że obaj bracia dali jój po flasce wódki, że Abraham długo z nią rozmawiał, i że, o ile jój się zdaje, około południa Moszek był na dziedzińcu.

— Oni ukradli!—krzyknęła nagle stara i z zaciśniętymi pięściami pobiegła do sklepiku Cymesów.

Rzeczywiście, nie omyliła się. W tym czasie, kiedy Abraham poił ją drugą flaszką wódki, Moszek wy dobył skrzynkę z dołu i nawet nie zawałał się. Potem owinął swoje zdobycz w płachtę i poszedł do siebie, dając sygnał bratu, że już interes skończony.

W sklepiku bez trudności otworzyli tasakiem skrzynię drewnianą i znaleźli w niej, garncową mo-

że, puszkę z blachy żelaznej. Było w puszcze kilka pęknięć i szczelin, któremi nawet woda dostała się do wnętrza. Swoją drogą jednak otworzyć jęj nie było można, tak szczelnie przystawało wieko.

Bracia wzięli dłutko i poczęli próbować, podważać niem wieko. Ale napróżno. Blachy zachaczyły się jedna o drugą tak silnie, jak gdyby puszkę zalutowano. Trzeba ją było naciąć wokoło dłutkiem i rozbić.

Właśnie Abraham wziął dłuto i młotek, aby przystąpić do ostatniej czynności, a Moszek, stojąc we drzwiach sklepu, czuwał, gdy w tem doleciały ich okrzyki matki Wickowój. Kobieta biegła przez rynek z rozkrzyżowanemi rękoma, zbita, szkaradnie zawalana w gnojówce i krzyczała:

— Złodziej!... okradli mi syna!... wyciągnęli z dołu pełną skrzynię klejnotów.

Pijaczce towarzyszyła gromada ciekawych, z którymi wciąż łączyli się nieliczni przechodnie.

Taka procesja była bardzo nie na rękę Cymesom. Sklepek ze wszech stron otwarty, łatwo do niego zajrzeć i zastać ich — właśnie przy otwieraniu puszek z klejnotami!...

Nie chcąc zatem gorszyć ludzi poczciwych i wywoływać nieprzystojnej awantury, bracia, zostawili siostrę Ruchlę za kantorem, a sami przez podwórka i tylne uliczki uciekli do domu ojca. Tłum już

stał przed ich sklepem, a pijaczka kleła, aż się trzęsło.

Znowu wbiegli do alkierza, gdzie stało łóżko ojcowskie i rzekli do jęczącego paralityka:

— *Tatete!*... tu jest *a azerne skrzyńke, myt goldene pierścionkes, branzletes ind zekarkes*. Trzeba ją odbić tym dłućkiem, a klejnoty wsypać do beczki z kwaszonemi ogórkami...

Josek Cymes miał wielką ochotę zwymyślać synów za wczorajsze poniewieranie go po podłodze. Ale gdy usłyszał o klejnotach i zobaczył garncową puszkę, ułagodził się.

Synowie pod pierzynę włożyli mu puszkę, które jedną połowę oparli na krawędzi łóżka. Dali mu też w ręce młotek i dłućko.

— Nie dam rady! — jęczał paralityk. — To blacha gruba, mnie ręce drżą i obrócić się nie mogę...

— Niech *tatete* otwiera prędko, bo jeszcze kto wejdzie! — odparł Moszek.

A teraz — mówił dalej — *mame* niech siedzi w oknie i niech płacze, że ojciec umiera... *Dy Awrum nem den kitel* i gadaj pacierze, tak, żeby cię wszyscy widzieli, a ja...

Nie dokończył, zobaczył bowiem, że tłum z matką Wickową na czele, idzie właśnie do domu ich ojca. Więc Moszek schwycił jakąś paczkę drewnianą, wybiegł z izby, okrążył tłum po za budynkami i nagle stanąwszy zdaleka za gromadą, krzyknął:

— Hej! ty stara Ewa!... Patrzaj, tu jest twoja skrzynka...

Baba, zobaczywszy Moszka z pudełkiem pod pachą popędziła za nim, klnąc i płacząc. Gromada dzieci i wyrostków pocwałowała za obojgiem i w taki sposób zgraja obdartusów, z okropnym wrzaskiem, śmiechem i gwizdaniem poczęła obiegać rynek dokoła.

Jak świat światem nie widziano jeszcze podobnej uciechy w mieście. Żyd biegł truchta, drażniąc babę widokiem pudła i krzyząc: waryatka!... waryatka!... Ona pędziła ile sił starczyło i od czasu do czasu rzucała za nim kamieniami, a zgraja uliczników, rozpierzchniętych, jak stado wron, które spłoszono, towarzyszyła im, krzyząc w niebogłosy:

— Złodziej Moszek!... waryatka Ewa!...

Tym sposobem Moszek odciągnął najniesforniejszych widzów od miejsca, w którym jego ojciec rozłupywał tajemniczą skrzynkę. Chytry żydek liczył jeszcze na to, że gdyby ukazał się w tej chwili milicyant w miasteczku, wówczas musiałyby aresztować jego i pijaczkę, odprowadzić ich do kancelaryi gminnej, a dom ojca i skradzione klejnoty byłyby bezpieczne.

Kilku jednak poważniejszych mieszczan nie uważało za stosowne mieszać się do wyścigów hołoty. Zastali oni pod lokalem sparaliżowanego Cymesa, a widząc, że żona jego siedzi w oknie i płacze, zaś

rudy Abraham modli się w śmiertelnój koszuli, poczęli wypytywać:

— Co się stało, pani Cymesowa?...

— Nieszczęście! — szlochała żydówka. — Mój mąż, Josek, strasznie chory, rzuca się na łóżku, jakby już umierał, a te gałgany syna mi gonią i wyzywają od złodziei...

Abraham zaś niby odmawiał modlitwy i kiwał się, ale swoją drogą prawem okiem patrzył na rynek, gdzie odbywały się osobliwe wyścigi jego brata, a lewem uchem nasłuchiwał, czy ojciec bije dłutkiem w żelazną puszkę? Gdy zaś stary zmęczył się i ustał w pracy, Abramek, mruczając pacierze, wołał:

— *Tatele szlug!*...

— Kiedy mnie już ręce bolą... Wykręcić się nie mogę! — jęczał paralityk, uderzając młotkiem w dłuto.

Za głęboko włożyliście tę puszkę pod pierzynę, trzebaby ją lepiej wysunąć — mówił Josek po żydowsku.

Ale Abraham nie dbał o jego narzekania, tylko wciąż powtarzał:

— *Tatele szlug!*...

Paralityk znudzony oporem blachy i komendą syna rozzłościł się:

— Żeby was Bóg skarał, gałgany, za wszystkie kłopoty, jakie mi robicie... Ja téj puszcze nie dam rady!...

I już z gniewem począł ją kuć tak, aż się rozlegało, a Abramek w śmiertelnój koszuli kiwał się wciąż pod oknem, mruczał pacierze i od czasu do czasu wołał:

— *Tatete szlug!..*

Na rynku baba, potykając się ze zmęczenia, nie przestawała gonić Moszka, który nareszcie rzucił pudło i poszedł do swego sklepiku.

Wtedy zdarzył się wypadek, niesłychany w dziejach tego miasteczka, téj gminy, a nawet powiatu.

W chwili, gdy Abraham zawołał głośniój: *Tatete, szlug!..* a sparaliżowany Josek silniój uderzył młotem w żelazną puszkę, ta... wybuchła!..

Rozległ się stłumiony huk, jakby strzał armatni. Sparaliżowany Josek z pierzyną uderzył o sufit i wnet runął na szczątki połamanego łóżka. Jego żona i syn Abraham wylecieli na ulicę przez okno, dom zatrzęsł się, przepierzenie upadło, a ze wszystkich otworów począł wydobywać się dym, silnie pachnący siarką.

— *Gewalt!... fajer!* — wrzeszczał Abraham.

— Josek zabity! — krzyknęła stara żydówka.

— To proch wystrzelił!... proch!... — wołali mieszczanie.

W téj chwili przybiegł Moszek, siny.

— Co się to stało? — pytał.

Obecni poczęli mu opowiadać na wyścigi.

— Proch u was wystrzelił!... ojca wam zabił!..

— Tam, w puszcze nie było klejnotów, tylko proch—jęczał Abraham.

Moszkowi w téj chwili błysnęła myśl:

— Jakie to szczęście, że nie ja otwierałem puszkę!.. Biedny ojciec już i tak był stary i od dwu lat nie mógł się ruszyć z łóżka.

W tem... o, dziwy!..

Josek, nieboszczyk, ów Josek tak strasznie sparaliżowany, ukazał się w oknie wśród kłębow dymu. Miał na sobie krótką koszulę i wełniany kaftanik *cyceles*, ale był zdrow... Z lekkością młodzieńca przeskoczył okno i (rzecz nie do uwierzenia!) w pełnym galopie przebiegł rynek, a nawet— wyleciał za miasto i tam jeszcze biegał przez kilka minut po łące!

Rzecz już wyjaśniła się. Wicek nie znalazł w rzece klejnotów, ale puszkę prochu i masy piorunującej. Ponieważ puszka miała szczeliny i leżała w wodzie, więc proch w części zamókł. Ale, gdy Josek, począł tłuc młotem w skrzynkę, nastąpił wybuch, co prawda—bardzo słaby.

Domowi nic się nie stało. Pękły tylko szyby i upadło przepierzenie od alkierza. Ale wyrzucony w powietrze paralytyk, pod wpływem przerażenia, odzyskał władzę nad nerwami, i wyzdrowiał!

Słowem, stało się to wszystko nadspodziewanie dobrze, ale ani Moszek, ani Abraham nie byli kontenci z takiego obrotu rzeczy. Oni woleliby mieć

puszkę klejnotów, aniżeli zdrowego ojca. Doświadczyli przykrego zawodu, uważali się za pokrzywdzonych, i ażeby chociaż część strat odzyskać, poszli do wójta, do kancelaryi.

Wójt, który już wiedział o szczegółach wybuchu, powinszował im naprzód tego, że ich poczeiwy ojciec w tak cudowny sposób odzyskał zdrowie, a następnie napomknął, że może być śledztwo.

— Skąd wy proch macie? — mówił. — Takich rzeczy trzymać w izbie nie wolno.

— Jaki proch? — zdziwił się Moszek. — Ojciec nasz już od rana był zdrowszy i tak się rzucał na łóżku, że aż się przepierzenie wywróciło. Z tego zrobił się w domu huk i kurz, a głupie ludzie gadają, że to proch się zapalił. Coby u nas proch robił?...

Wójt pokiwał głową i rad nie rad udał, że wierzy objaśnieniom, czując, że z Moszkiem, któremu „szydła golą“, wojować nie wypada.

Ale teraz Moszek zaatakował go.

— Jakże to będzie, panie wójcie, z tą materyą? rzekł. — Tam było dwie sztuki warte stopięćdziesiąt rubli. Panu wójtowi *podobno* ukradli, czy coś... a naczelnik upomina się u nas.

Wójt przeżegnał się.

— Co ty mamrociesz niedowiarku boży? — odparł zdziwiony. — Jakże, więc ja zrobiłem wam łaskę, że przechowałem materyę, a ty mi o pieniądzach gadasz?...

Moszek przybrał minę zuchwałą i począł mówić z krzykiem.

— Co to łaskę?... komu łaskę?... pan wójt sobie zrobił łaskę, kiedy materya zginęła, ale nam nieszczęście, bo naczelnik upomina się. To nawet były sztuki oplombowane, cło od nich opłacone... Ja mam *kwitancyę!*

Wójt począł targać siwe włosy.

— Jezu!... a dyć te hycle o złodziejstwo mnie posądzają—wołał.

— My o nic nie posądzamy—odezwał się Abraham. — My tylko chcemy odzyskać część strat. Materya warta stopiędziesiąt rubli, więc my damy piędziesiąt, a pan wójt niech da resztę, bo nas naczelnik rozpiecze...

Mały pisarz siedział przy stole jak przyśrubowany, a gdy wójt zapytał go:

— Co tu robić?...

Odpowiedział:

— Trza im dać sto rubli i niech idą na złamanie karku!

— Skąd ja wezmę sto rubli?—biadał wójt.— Ja przecie nie mam tyle pieniędzy.

— Znalazłoby się u pana wójta i tysiąc rubli—wtrącił Moszek. — Ale ja jestem dobry człowiek. Ja panu wójtowi kłopotu robić nie chcę i wezmę kwit...

Nie było rady. Pisarz przygotował kwit na sto

rubli, a wójt, po wielu wahaniach się, ze łzami w oczach, podpisał go.

Jeszcze Moszek nie zdążył schować kwitu, aliści wpadł do kancelaryi Wicek, rozgniewany jak piekło.

— Jesteście tu, złodzieje!—krzyknął.— Powiem że ja teraz wszystko.

I odwróciwszy się do wójta i pisarza, mówił:

— Patrzcie państwo! Oni mi ukradli tę skrzynkę z prochem, bo myśleli, że w niej są klejnoty. Przez tych hyclów ojciec mnie i matkę wygnał z domu, a sam chciał się powiesić...

— Szkoda, że się nie powiesił, bo ty, Wicku, miałbyś pieniądze — wtrącił Moszek, śmiejąc się ironicznie.

— Poczekaj, to jeszcze nie wszystko! — ciągnął Wicek. — Panie wójcie, ja widziałem dziś w nocy tych obu, jak wam coś ze stodoły kradli, a później chcieli złożyć na mnie...

Wójt i pisarz zerwali się z krzesel.

— Oddaj, żydu mój kwit na sto rubli, kiedyś sam ukradł materyę! — zawołał wójt.

— Ja nie ukradłem, on łże, ten Wicek, bo on mi jest winien kupę pieniędzy—odparł Moszek.

— Pójdziemy do sądu kiej tak!—krzyknął wójt.

Moszek oparł ręce na stole i patrząc wójtowi w oczy, rzekł spokojnie:

— O co mnie pan wójt oskarży?... Pan mi nie dowiedzie, żem ja ukradł, ale sąd dowie się, że pan

wójt przechowuje szwarcowane towary.

A gdy stary chłop, czując swoją bezsilność, upadł na krzesło, Moszek zapytał go ze śmiechem:

— No, będziemy się prawowali?...

— Poszedł won, ty gadzino! — krzyknął wójt — i niech ci moja krzywda bokiem wylezie...

Teraz Moszek i Abraham grzecznie uklonili się wójtowi, zwolna odeszli ku drzwiom i gdy już stanęli w progu, Moszek zawołał do Wicka:

— No, chodź ty, Wicek z nami, kiedy ciebie twój ojciec wypędził. A na drugi raz nie buntuj się, nie chowaj tego, co znajdziesz i na nas plotek nie rób...

— Nie idź z tymi złodziejami, bo ci duszę zgubią! — upomniał go wójt.

— Wicek, chodź, mówię ci ostatni raz! — zawołał Moszek.

— Weź się lepiej do uczciwej roboty, a od nich odczep się! — mówił wójt.

Wicek wahał się, myślał i wreszcie — poszedł za żydami.

.
.

Kiedy wkrótce potem wrócił wójt do domu, był żółty jak marchew i płakał jak dziecko, za swojemi stoma rublami. Żona z początku krzyczała na niego, ale widząc, że jest źle, położyła go do łóżka i rzekła:

— No, nie płacz, Szymkul... Dam ci na *zrucenie*, to ci ulży...

— Kiej to bardzo paskudnie—odparł wójt.

— Nie ci nie będzie... Magda! a przeciągnij ta piórko przez cybuszek...

I znowu powtórzyła się operacya łaskotania wójtowskiego gardła kaczem piórem, umazanem szmelcugą.

Wójt zakrztusił się jak nigdy, ale z dobrym skutkiem.

— Cóż, lżej ci?—spytała go żona.

— O, lżej!...

— No, to teraz wyśpij się, a jutro podaj się do dymisyi. Ciebie jeszcze zagryzą na tem wójtostwie...

.....

Wypada na zakończenie wspomnieć o dalszych losach osób tu występujących.

Wójt rzeczywiście podał się do dymisyi, dziękując Bogu, że stoma rublami wykręcił się od stosunków z Moszkiem i Abramkiem. Ale pisarz, namawiany przez żonę, która wciąż chciała paradować w jedwabiach, trzymał się Cymesów i za różne nadużycia stracił posadę, a w końcu został pokątnym doradcą.

Stary skąpiec zaciał się w gniewie, tak, że już nigdy nie przyjął do swój chałupy ani żony, ani syna Wicka.

Baba tułała się jakiś czas po mieście, piła jeszcze lepiej i zmarła na apopleksję, Wicka zaś schwymano na granicy z towarami i oddano do więzienia na kilka lat.


Moszek nareszcie i Abraham robili wyborne interesy i zdobyli znakomitą fortunę. Wciąż słyną oba ze sprytu i energii i wszystkich trzymają za głowy.

Zacny ojciec ich, stary Cymes, niegdyś paralytyk, cieszy się zdrowiem i „handluje pieniędzmi“.

Ludzie, znający mieście, którzy patrzyli na miżerny koniec pisarza i całej rodziny Wicki, tudzież na szybkie wyniesienie się Moszki i Abrahama, często powtarzają przysłowie:

Jednym — szydła golą...

Drugim — brzytwy nie chcą!...

CHA MUZYCZNE.

Echa muzyczne.

„Już nie pójda za toba, Orfeuszu, ani wolne stada dzikich zwierząt, ani szemrzące dęby, ani skały roztkliwione twoim śpiewem. I nie zatrzymasz padającego gradu, ani wściekłości fal morskich, ani gwałtownych wichru podmuchów, ani nieskończonego pasma obłoków, które ciągną po niebie, bo—już niema cie, Orfeuszu... Napróżno leje łzy twoja matka, Kalliope. Daremne żale, skoro nawet wielcy bogowie nie mogą własnych dzieci uratować od zgonu“...

I.

ORFEUSZ HANDLUJĄCY.

Podczas jednego z ostatnich wcieleń na ziemi, Orfeusz wziął na siebie postać dziecka, z niezwykle długimi palcami i mocno odstającymi uszami. Ponieważ stało się to wśród muzycznej rodziny, od razu odgadnięto, że nowonarodzony będzie wielkim fortepianistą i w tym kierunku zaczęto go kształcić. Talent istotnie był ogromny. Chłopak całe godziny spędzał nad fortepianem, nuty poznał w ciągu

tygodnia, a najtrudniejsze melodye grał po jednorazowem usłyszeniu. W ósmym roku wcielenia grywał pod serwetą i na serwecie, nigdy nie chybiając klawisza, a ucho miał tak muzykalne, że naśladował nietylko sposób mówienia każdej znaniej osoby, lecz w dodatku umiał udawać głosy wielu ptaków i zwierząt domowych, co było dowodem poczucia natury.

Odnaczał się pracowitością, dzięki której skończył parę konserwatoryów, brał lekcye od najznakomitszych wirtuozów i ostatecznie wyrósł na niepospolitego wykonawcę i erudyta. O erudycyi najlepiej świadczyły jego własne kompozycye, oparte na motywach najmniej znanych światu autorów, których, jak mówili krytycy, rozwijał i uszlachetniał.

Ponieważ rodzina wciąż wyrażała przekonanie, że przy swoim geniuszu, powinien zrobić majątek, więc młody Orfeusz dosyć wczesnie począł zastanawiać się nad sposobami przetwarzania muzyki na pieniądze. Pewnego dnia uzyskawszy posłuchanie u Liszta, padł przed nim na kolana; innym razem miał szczęście ucałować rękę Verdiego; później napisał pochwałę Meyerbeera, a w pół roku odbył pielgrzymkę do Bayreuthu, aby tam u stóp twórcy muzyki przyszłości, odwołać swoje dawniejsze błędy, usprawiedliwiając je nadmiarem zapału dla sztuki.

Tym sposobem pozyskał życzliwość różnych szkół i mistrzów. Otrzymał też lekcye u bankierów, zaprzyjaźnił się z dziennikarzami i wystąpił w kilku

koncertach dworskich jako fenomen. Za marsz wojenny dla armii ks. Monaco dostał order, a kontredans na cześć cesarzowej Eugonii zrobił go lubianym w kołach nadających ton modzie.

Po wojnie w r. 1870, będąc w Paryżu, urządził koncert na rzecz Alzacyi i Lotaryngii. Popularność jego dosięgła szczytu. Był już taką znakomitością, że go wzywano o pisywanie aforyzmów na cele dobroczynne. Pisał więc w Paryżu — o wolności i braterstwie ludów, w Madrycie — o wzniosłości religii katolickiej, w Berlinie — o filozofii muzyki, w Warszawie — o miłości ojezyny, w Rzymie — przeciw doczesnej władzy papieża, a w Petersburgu — o pięknej przyszłości ludów słowiańskich. W owym czasie posiadał za kilkadziesiąt tysięcy franków akcyi najpewniejszych i największe przynoszących procenty, miał własnego sekretarza i jeździł darmo głównymi kolejami.

Jego system koncertowy był bardzo prosty. Co roku komponował jakiś utwór, o którym dużo, choć niewyraźnie pisali jego osobiści przyjaciele, znani w świecie krytycy, i uczył się grać jakiegoś trudnego kawałka, ale tak biegle, że mu nikt nie wyrównał. Z tymi nabytkami objeżdżał całą Europę, grając po jednym razu w Paryżu, Londynie, Berlinie i Wiedniu. Ze stolic świata wywoził przychylne recenzje, oprawne w album (nieprzychylnemi gardził), tudzież autografy miejscowych znakomito-

ści. Ale cyfrę akcyi powiększał za pomocą koncertów w miastach drugorzędnych i w miejscach kąpielowych, gdzie zwykle na kilka dni przed występem poprzedzała go wiadomość, że „przyjeżdża“, a potem druga, „że dał się namówić do zrobienia przyjemności miastu, głośnemu z amatorstwa i znawstwa muzyki“.

Rzeczy te załatwiał jego sekretarz, do którego obowiązków należało téż odszukiwanie w różnych stronach świata wpływowych miłośników muzyki, tudzież dawnych przyjaciół i kolegów znakomitego fortepianisty, a przynajmniej ich imienników. Dziwnym zbiegiem okoliczności, starzy przyjaciele mistrza znajdowali się wszędzie, niewyluczając Pekinów, Tonkinów i Chartumów.

Umiał też sekretarz wybierać czas przejazdu przez każdą miejscowość i zawsze trafiał w taką porę, kiedy tamtejsza śmietanka towarzystwa przygotowywała jakiś duży koncert na cele dobroczynne. Naturalnie maestro był proszony o udział naprzód nieśmiało, potem natarczywie i grał—nie dużo, jakby od niechcienia, ale grał, za co dawano mu szalone oklaski.

Po pierwszym przygodnym występie, miasto zaczynało „pałać żądzą powtórnego usłyszenia mistrza“. Dawni przyjaciele i koledzy, znawcy, pełnoletnie entuzyastki, bogate damy pragnące ukazać się publicznie w nowych strojach, panny na wydaniu,

młodzież wynajdująca sposoby na zabijanie czasu, mężowie i ojcowie, chcący mieć spokój w domu, wszystko to rzewnie błagało wielkiego muzyka, ażeby pozwolił uwielbiać się na swój własny dochód.

Po niejakiem wahaniu mistrz ulegał.

Wynajęcie sali zazwyczaj kosztowało drogo, gdyż, jak mówili do sekretarza intendencji gmachów, „po każdym *takim* koncercie posadzka jest jak w stajni“. Opłacało się to jednak. Zresztą dywanów i kwiatów na estradę dostarczali dawni przyjaciele i entuzyastki, a ceny miejsc były poczwórne. Ten ostatni wzgląd decydował o powodzeniu koncertu. Do garstki bowiem publiczności chorującej na muzykalność, albo na nadmiar czasu, która mogła zapełnić ledwie parę rzędów krzeseł, przybywały legiony osób, które cenią tylko to, co dużo kosztuje, albo chcą się między takimi pokazać.

Wybija godzina uroczysta. Na schodach, wiodących do sali cisną się strojne i pachnące tłumy, w przysionkach klną lokaje, kontramarkarze nie mogą nastarczyć z przyjmowaniem okryć i parasolów, policya jest zakłopotana. W sali ciasno i duszno, ludzie nie mogą wyszukać swoich krzeseł, damy lękają się o kwiaty i koronki, starzy mężowie o żony, emeryci o nagniotki. Na fotelach obok estrady dumają krytycy, nie o tem, co usłyszą, ale o tem, jakieby nowe zwroty napisać. Przyjaciele mistrza i znawcy tworzą grupy i szepczą:

I. No, patrzcie na cud. Idzie hrabina X.

— Jeszcze dziś zrana miała być ciężko chora.

— A od dziesięciu lat nic nie słyszy.

— Przyszła tu przez wdzięczność za *jego* udział w koncercie dobroczynnym.

II. Widzi pan, ile zbiera się u nas osób na koncerty?... A mówiłem Iksińskiemu: wydaj pan koncert, to będziesz miał z czego zwrócić mi dwieście rubli. I myślisz pan, że on co powiedział? Powiedział: „nie warto, nasza publiczność nie zna się na muzyce“. Słyszałeś pan co podobnego?

— Dziwak.

— Niech on będzie dziwak, to jego interes, ale za co ja mam tracić moje 200 rubli?... On musi wydać koncert, albo ja wytoczę mu proces i zajmę ruchomości.

III. *Jego* kompozycje nie bardzo mi się podobały.

— Ale co to za wykonawca, jaka biegłość!... Naśladuje style najznakomitszych mistrzów.

— To dzisiaj jest dosyć pospolite.

— Ale biegłość, panie, biegłość!... Słowo honoru daję, że grał przy mnie wyjątki z „Lohengrina“ nogamil!...

W tem: aaa!... rozległo się po sali i wybuchły oklaski, zainicyowane odrazu w kilku punktach. Wszystkie oczy i lornetki skierowały się na estra-

dę. Wszedł mistrz, łagodnie promieniejący, jak pierwsza kwadra w maju.

Ukazanie się jego stanowiło epokę w miejscowych poglądach na sztukę. Finansiści zobaczyli na własne oczy muzyka, który posiadał akcye. Krytycy doszli do wniosku, że można być wielkim artystą, a jednak ubierać się według ostatniej mody. Panny przekonały się, że można głęboko poruszać serca, a mimo to wyglądać czerstwo i starannie utrzymywać włosy. Arystokracja patrzyła na *niego* z podwójnem uznaniem, dostrzegłszy, że nie tylko jest dobroczynny, ale, że na czarnym fraku nosi olbrzymią gwiazdę. Demokraci zachwycali się, że owę gwiazdę do połowy przysłonił klapą fraka.

Wreszcie, ponieważ miał ogniste oczy i stojące wąsiki, okrzyknięto go za pięknego; krzywe zaś nogi policzono na karb naturalności.

Zagrał raz, zagrał drugi raz i — zupełnie oczarował słuchaczy. Dojrzałe entuzyastki wachały trzęwiące sole, ratując się od zemdlenia, a jedna z namiętnych pań uroniła aforyzm, który natychmiast zanotował sekretarz mistrza :

— Raz przetańczyć z *nim* walca i umrzeć...

Po paru godzinach koncert skończył się, artyście rzucono pod nogi należyłą liczbę bukietów, słuchacze zaczęli się rozchodzić.

— Dyabelne nudy — rzekł jakiś profan, ziewając.

— Tak przecie mówić nie wypada—odparł kandydat na amatora. — Jego gra robi nadzwyczajne skutki. Moja żona, wyobraź pan sobie, płakała, a mnie samego tak wytrawiło w środku, że pierwszy raz od tygodnia będę jadł obiad z apetytem...

— No, tak, ale co po *nim* zostanie? Z pewnością ani ta Suita, ani Nokturn, któreśmy słyszeli.

— Jakto co zostanie?—oburzył się kandydat na zwawcę.—Pan wiesz, że *on* już dzisiaj ma ze 300,000 franków... Taki młody człowiek!

Na drugi dzień maestro odebrał kilka miłosnych listów od dojrzałych entuzyastek i raczył przyjąć obiad honorowy, na którym jeden z przyjaciół i kolegów nazwał go chlubą narodu. Krytyka, wedle zasady: sława obowiązuje, upadła przed nim na twarz, podziwiając szczególnie czarodziejską biegłość gry i nadmieniając dyskretnie, że król fortepianu potrafi ze swego narzędzia wydobywać harmonijne kombinacye nie tylko palcami, ale łokciami, nogami, etc. Te jednak pochwały nie weszły już do aksamitnego albumu.

Wreszcie—odjechał, obiecując, że może jeszcze kiedy powróci do miasta, które posiada tylu prawdziwych znawców sztuki.

I tak podróżuje wciąż. Nie roztkliwia skał, nie porusza dębów, nie uspakaja burz morskich niemniej jednak wierny legendowej roli, ściąga chmury słuchaczów i grad—bankocetli.

Więc nie umarłeś, Orfeuszu... Ze wszystkich swoich dzieci, ciebie jednego uratowali od zgonu wiele bogowie przynajmniej dopóty, dopóki będą istnieć na ziemi trzy graecy: muzyka, spryt i pieniądze.

II.

ORFEUSZ W NIEWOLI.

„Trudno! nie można powstrzymać strumienia
Ani młodzieńczych uniknąć nadużyć —
Kroczące naprzód nowe pokolenia,
Kruszą narzędzia, co im nie chcą służyć“.
Asnyk.

I on miał pociąg do fortepianu; oddziedziczył go po matce, która była nauczycielką muzyki. Ciężyły jednak na nim dwa przekleństwa: nie miał majątku, ani sprytu.

W domu był stary klawikord i całe paki nut. Chłopiec już w piątym roku życia począł jednym palcem odegrywać usłyszane melodye, a w siódmym błagał matkę, aby go zapoznała z nutami. Prędko zdobył ten klucz muzycznej umiejętności i podczas, gdy inne dzieci puszczały latawca na podwórzu, albo bawiły się w Rinaldiniego, on przysuwał do klawikordu krzesło, kładł na niem kilkanaście *Opusów*, wdrapywał się na tę piramidę, która mu pozwalała zgóry uderzać w klawisze, i—grał.

Czasem, zwabiony wesołym krzykiem rówieśników, schodził na podwórze, aby zostać „zbójcą“ lub „żołnierzem“. Ale psuł zabawę swoją niezręcznością i wyśmiany, niekiedy pobity przez innych malców—wracał na górę. Był tu zupełnie samotny, ponieważ ojciec pracował w biurze, a matka na lekcyi. Więc gdy po raz setny obejrzał wszystkie kąty małych pokoików i nie znalazł w nich nic nowego, znowu wdrapywał się na stos nut leżących na krześle przed klawikordem i znowu grał.

Pomimo tak niezwykłych objawów, nikt z bliższych nie nazywał go geniuszem. Matka, biorąca dwa złote za godzinę lekcyi, nie miała powodu życzyć synowi muzykalnej karyery, a ojciec nawet gniewał się, że chłopak dla nut zaniedbuje książki. Tylko wszechmocny wypadek awansował go na cudowne dziecko i popchnął na drogę artystyczną.

W tym samym domu, o piętro wyżej mieszkał introligator, który oprawiał książki jednemu z amatorów i znawców muzyki. Pewnego razu znawca wdrapywał się do introligatora, a jako człowiek nieco otyły, odpoczywał na każdym pięttrze. Na drugim usłyszał coś szczególnego, mianowicie piosenkę, graną na lichym instrumencie w niezwykły sposób. Wykonanie nie było poprawne, tempo zmienione, chwilami zdawało się, że artyście brakuje niektórych palców. Mimo to, czuć było pewność, a na-

wet fantazyę wytrawnego muzyka, obok czegoś, co możnaby nazwać naiwną poezją.

Przysłuchawszy się dłużej, amator i znawca poznał, że owa piosenka jest tylko tematem, który nieznanemu artyście przerabiał na wszelkie możliwe sposoby, ani razu bez błędu, ale zawsze genialnie.

— Co to jest? — szepnął, nie mogąc sobie zdać sprawy ze zjawiska.

Nagle otworzył drzwi mieszkania, skąd płynęły dziwne melodye i pod oknem, na krześle i na pękniętym, zamiast wytrawnego muzyka, zobaczył — dziecko, mizerne, skulone, ubogo odziane, a tak zatopione w swojej grze, iż nie słyszało wejścia obcego człowieka.

Gość rzucił okiem po izdebce. Było tu czysto, ale biednie. Czarny stół, wiśniowa szafa, kanapka obita perkalem, gdzieniegdzie pocerowana, kwiaty i świeżo uprane firanki w oknie.

Teraz malec spostrzegł gościa; przestał grać i zalekniony, podniósł na niego szare oczy.

— To ty grasz, ty?... — dziwił się przybysz.

Chłopak zeskoczył ze swęj piramidy, zmieszany, uklonił się, ale milczał.

— Można tu usiąść?...

Dziecko z trudem przyniosło gościowi krzeselko.

— Jak ci na imię, mały? — pytał dalej znawca, poprawiając się na twardym krześle.

— Adaś.

— A rodziców masz?

— Mam, ale tatko jest w biurze, mama na lekcji, a Kazimierzowa wyszła po bułki.

— Aha!—rzekł gość. Pogłaskał malca i dodał—
Zagrajno przy mnie.

Adaś trochę drżał, ale przyzwyczajony do posłuszeństwa zasiadł do klawikordu. Z początku mylił się raz za razem, lecz wkrótce zapanował nad nim duch sztuki, a może i oryginalność położenia. Wpadł więc z jednej ostateczności w drugą i przez kilkanaście minut grał wobec gościa jak nigdy przedtem. Pierwszy obcy i życzliwy słuchacz stał się dla niego nowym bodźcem, spotęgował w nim siły i natchnienie.

Po próbie, gość zapytał chłopca o lata, o nazwisko rodziców i serdecznie pożegnawszy go, powlókł się o piętro wyżej, do introligatora.

— Wielki artysta... wielki artysta...—szeptał na schodach.

Los przyszłego muzyka był zdecydowany; amator zainteresował się nim. Nie był to bogacz, ale człowiek zamożny i posiadający niejaki stosunki. Ojcu Adasia wyjednał w biurze podwyżkę pensji o kilkadziesiąt rubli na rok, matce wyszukał dwie nowe lekcje na tydzień, po pięć złotych każda, małego zaś artystę wprowadzał w świat i płacił za niego wpisy szkolne.

Adaś skończył wprawdzie gimnazjum, lecz nie

wiele skorzystał z nauki. Był to dla niego rodzaj pańszczyzny, którą odrabiał, gdyż lękał się utracić łaskę protektora. Co roku przechodził z klasy do klasy, ale ani historia, ani literatura, ani matematyka, ani nauki przyrodnicze nie zostawiły śladów w jego umyśle. Nie rozumiał nawet, w jakim celu wbijają mu w pamięć tyle nazwisk i formuł, którym nic podobnego nie spotykał na świecie. Świat bowiem przedstawiał mu się tylko z jednej strony, jako niewysychające źródło tonów czystych albo nieczystych, rytmów i czasem melodyi. W śpiewie ptaków, w szelestach deszczu, w turkocie wozów, w nieustannym szmerze, jaki sprawiają na ulicach przechodnie, szukał on muzyki, lub jej składników. Reszta nie istniała dla niego.

Gdy wstąpił do konserwatorium, jego protektor nagle umarł. Ojca stracił wcześniej a matkę później, będąc na drugim kursie. Ledwie z Adasia wyrósł na pana Adama, był już zupełnym sierotą.

W konserwatorium ceniono jego zdolności. Nie wiele to jednak pomogło, nie dało mu nawet środków do wyjazdu za granicę. Chcąc zebrać na ten cel jakiś fundusik, zaczął udzielać lekcji na fortepianie. Miał dosyć zajęcia i niezłe dochody, ale, jako czystej krwi artysta, nie potrafił nic zaoszczędzić. Pieniądze z lekcji i z paru dosyć pomyslnych koncertów znikają bez śladu, co można przypisać temu, że

był trochę sławny, poszukiwany w towarzystwach i miał przyjaciół.

Tak upływały lata. Czasem ktoś ze znajomych, albo i on sam przypomniał sobie, że jego ukształcenie muzyczne nie jest zupełne, że należałoby wybrać się za granicę. Raz nawet przyszło mu na myśl, że już pięć lat jak opuścił konserwatorium i — targnęło go za serce złe przecucie. Przed czemś struchlał, może przed słówkiem „marnuje się“, które gdzieś, niegdyś szepnięto. Ale otrząsnął się z bolesnego wrażenia.

— Dam koncert—pomyślał — i zbiorę pieniądze na wyjazd.

Lecz znowu utonął w wirze stosunków, melody i marzeń, a gdy po upływie dwu lat zdobył się na silniejsze postanowienie i już mając zagraniczny paszport w kieszeni, wystąpił z koncertem, przysła na salę tak niewielka ilość słuchaczy, że ledwie pokrył koszty.

— Wybrałem zły czas — pomyślał.

Tymczasem w jego stosunkach zaszła zmiana. On zawsze pozostał tym samym szczupłym, trochę skulonym, trochę dzikim i marzącym artystą od stóp do głów, ale zmienili się ludzie. Jedni powydawali córki za mąż, inni pomarli, inni powyjeżdżali, a większość, nasyciwszy się przez lat kilka grą obiecującego fortepianisty, znowu zaczęła się skupiać około

cudownych dzieci, nowych talentów, albo głośnych znakomitości.

O nim po trochu zapomniano. A gdy mu przyszło niejedną długą wieczór spędzić w domu, czuł, że na świecie zaczyna być pusto i tęskno.

W takim nastroju ducha spotkał panienkę ubogą, słabowitą, nawet niepiękną, ale tak samotną i cichą, jak on sam, i ożenił się z nią.

Był to w jego życiu punkt zwrotny i stało się coś, czego nietylko nie przewidywał, ale nawet nie zrozumiał. Oto — ludzie jeszcze więcej odsunęli się od niego. Stracił parę lekcyj, w niektórych domach zaczęto przyjmować go chłodno, a w jednym, najbardziej życzliwym, gdy pewnego wieczoru zebrało się trochę gości, poproszono go, aby zagrał, ale nie koncert Szopena, jak dawniej, tylko coś — do tańca...

Zagrał, ale wnet opuścił towarzystwo i już nie pokazywał się nawet na tamtej ulicy.

Kiedy człowiek po spadzistej drodze zacznie schodzić z wysokości, to mu się wtedy i kamienie z pod nóg usuwają. Wówczas mimowoli przyspiesza kroku, biegnie, wreszcie stacza się.

W rok po ślubie zachorowała panu Adamowi żona, wydawszy na świat córeczkę i odtąd wciąż była chora. Przyjęto mamkę, lekarz prawie nie wychodził z domu, a receptami można było wylepić całe mieszkanie. Rzeczy takie pochłaniają dużo pie-

niędzy, a jeszcze więcej sił. W dodatku bowiem ubyły mu najlepiej płatne lekye, naprzód dwurublowe, później dziesięciozłotowe.

Nie troszczył się jednak, miał jeszcze rublowe. Uczył więc po sześć i po osiem godzin na dzień, biegając z jednego końca miasta na drugi, piechotą, bo mu żal było wydawać na dorożki. Najczęściej nie pokazywał się w domu od rana do wieczora. Niekiedy, wróciwszy zmęczony, zastawał żonę słabszą, choć uśmiechała się i twierdziła, że jest lepiej. A gdy po nieprzespanej nocy biegł znowu na lekycę, żegnał ją ze zbolałym sercem, widząc, że z rana jest gorzej, niż było wieczorem.

Zawsze drażniła go zła muzyka uczniów i uczennic, z których większość nie miała zdolności. To też zwykle przy lekycach czuł niesmak. Ale, gdy dziś, na duszę osłabioną smutkiem począł mu od rana do wieczora sypać się grad fałszywych gam i akordów, wpadł w rozdrażnienie i zrobił się przykrym na lekycach. Więc znowu stracił parę dobrych miejsc.

Często musiał jadać obiady w restauracyach i, rozumie się, jadł jak najmniej, aby tanio. Przy téj jednak okazji zrobił fatalne odkrycie. Oto spostrzegł, że kieliszek wódki przed jedzeniem rodzi w nim jakieś swobodniejsze myśli i utrzymuje cierpliwość w czasie lekyci.

Zauważył też, że dwa kieliszki wódki, a potem trzy, wypijane zrana, w południe i wieczór, wybor-

nie podtrzymują jego siły, owszem robią go weselszym i rozmowniejszym. Że zaś dla nauczyciela muzyki dobrze jest być wesołym i rozmownym, więc korzystał z tych obserwacyj. Nie pił z upodobania ani przekraczał normy, lecz kilka razy na dzień wzmacniał siły. ✂

Po paru miesiącach téj praktyki, wychodząc raz od pewnych państwa, usłyszał w przedpokoju, jak uczennica mówiła do swéj matki:

— Wié mama, zdaje mi się, że od niego czuć jakby.... wódkę...

Po tych słowach, w oczach mu się zaćmiło; pomyślał, że chyba z tego przedpokoju nie wyjdzie. Wyszedł jednak, ale już tu nie wrócił i — znowu stracił jedną lekcję! Przez kilka następnych dni próbował nie brać do ust wódki. Ale czuł takie zgnębienie, taki rozstrój nerwowy przy lekcjach, że obawiając się utraty wszystkich zarobków i nędzy w domu, musiał znowu wypijać swoje trzy kieliszki choć spostrzegł, że już dziś nie uspakajają go one tak, jak dawniej.

Nareszcie, po dziesięciu latach cierpień, umarła żona. Gdy na ementarzu ksiądz odmówił ostatnie modlitwy i spuszczone trumnę, prawie obłąkany muzyk chciał rzucić się za nią do grobu, nie mogąc pogodzić się z myślą, że traci już ostatniego, a tak wiernego przyjaciela. Gwałtem zaprowadzono go do dorożki i wraz z córeczką odwieziono do domu.

Obecnie artysta był nietylko osierocony, ale i zrujnowany. Zadłużył się, miał zaledwie kilka lekcji niezbędnie płatnych i dla podtrzymania sił musiał wypijać po sześć i siedm kieliszków wódki na dzień. W miesiąc po pogrzebie, wyprzedał większą część mebli, zostawiając sobie tylko fortepian i paki nut, i z dziewięcioletnią córeczką wyniósł się na poddasze drewnianego domu, gdzieś nad Wisłę.

Od téj pory znikł z oczu tym, którzy znali go w dniach krótkiego rozgłosu. Na estradach zajaśniałi nowi tryumfatorowie, potem jeszcze nowsi i jeszcze nowsi, a on, zalany falą niepamięci, schodził w ludzkim morzu coraz głębiej i głębiej, aż do najniższych pięt społecznego gmachu, o których mówi Orfeusz.

„Powróciłem z podziemnej otchłani,
 Z posępnego umarłych królestwa—
 I wciąż widzę jak cierpią skazani,
 Widzę wieczność męki i nicstwa...
 I straciłem u piekielnych progów
 Pamięć szczęścia i słonecznych bogów.
 Zostawiłem za straszliwą bramą
 Mój miłości i walk moich ślady,
 A wyniosłem ból i rozpacz samą...“^(*).

*

*

*

^{*)} Asnyk—Orfeusz i Bachantki.

Jest noc. Wązki pasek księżycy zabłąkany między szczytami domów chyli się do snu, a troskliwa ziemia ucisza miejskie hałasy. Posłuszne fabryki milkną jedna po drugiej, zamykają się sklepy, kipiąca fala ulicznego ruchu opada. Czasem tylko śmiełój zaturkocze pusta dorożka, albo ciężko zachrząści wóz ładowny; lecz wtedy kamienie chodników szmerzą rozgniewane: ciszój tam, ciszój!... Wówczas dorożka zwalnia kroku, wóz skręca do składu, a przechodnie biegną do domów zapalić światło w oknach, aby senny miesiąc nie rozbił się w drodze na nocleg.

Ci z przechodniów, którym do domu daleko, kryją się do zachodu księżycy w bawaryach i restauracjach, skąd grube ściany nie przepuszczają hałasu na ulicę. Jest tam tokarz z żoną i ze znajomym stolarzem, sklepikarz z pokątnym doradcą, furman bez miejsca z właścicielem kantoru sług, robotnik fabryki gazowej z pięcioletnią córeczką i wiele innych zaenych osób, które nie chcą niepokoić zasnętego księżycy na nowiu. Niech drzemie i niech rośnie, ażeby była ładna pełnia; oni tymczasem, obiadłszy żółte stoliki stojące wzdłuż ścian i na środku zadymionej izby, nagadają się, zjedzą kolację i wypiją po kufelku piwa.

W jednym rogu bawaryi, widać długi bufet pełen przekąsek, z pozaktórych wygląda zatłuszczony surdut i rumiana twarz gospodarza. Wita on gości

słowami: moje uszanowanie panu dobrodziejowi i zaraz machinalnie dodaje w duchu: 10 groszy... 2 złote... 25 groszy... a każda taka cyfra odpowiada nadziejom, jakie w gospodarzu obudza nowy przybysz. Tylu konsumentów przesunęło mu się przed oczyma, tyle się napatrzył na ludzi otyłych, zjadających po dwie porce, na chudych wypijających po jednym kuflu, na czerwonych, którzy piją przez cały wieczór a rozmawiają na sucho, że gdy na wchodzącego rzuci okiem, zaraz w duszy zarysowuje mu się jakaś cyfra.

Z równem skupieniem ducha zważa on na każdy kufelek piwa wziętego z bufetu przez kelnerkę i na to, czy goście tyle kładą na stole dziesiątek, ile przed nimi leży spodków. Liczne te jednak obserwacje nie przeszkadzają mu, od czasu do czasu, rzucić okiem do kuchni, umieszczonej za małym dziedzińcem i widzieć czy każdą wychodzącą stamtąd porcję ogłasza się dzwonieniem tłuczka w móżdżierz? Zalatujący swąd donosi mu o rodzaju podawanej pieczeni i jarzyny, a także o tem, czy kucharz zamiast frytury nie używa do potraw masła. Wreszcie mniejszy lub większy blask na dziedzińcu ostrzega, że kuczek albo zaniedbał dołożyć drzewa do ogniska, albo dołożył za wiele.

Leż ani taksowanie przychodniów, ani ruch kufli, ani zjawiska zachodzące w kuchni nie wypełniają jeszcze całej głębokości umysłu gospodarza.

Więc zwraca jeszcze uwagę i na powodzenie kelnerów u gości, aby w końcu miesiąca oddalić te, które smutną miną, czy dzikością paraliżują handlowy rozwój zakładu — albo też zrobić ojcowską wymówkę tym znowu, które mając szczęście do ludzi, za dużo jednak czasu poświęcają śmiechom i szeptom. W takich wypadkach pilny obserwator przemienia się w łagodnego moralistę, który woła z uśmiechem:

— Zosiu!... Zosiu!... będziesz miała na to czas, jak się buda zamknie, a teraz idź do kuchni, bo drugi raz dzwonią... Uniżony sługa pana dobrodzieja!...

Ale od kilku dni gospodarz jest nie w humorze; melancholijnie wita gości, ładną Zosię ostrzega krótko i sucho a wymyśla brzydkiej Michasi. Gdy zaś jakiś dobry znajomy zbliży się do bufetu z pytaniem:

— Jakże się kochany gospodarz miewa, jak interesy?...

Odpowiada mu wzdychając:

— Zdrowie, dzięki Bogu jakie takie, ale fortepian!...

I rzuciwszy rozpaczliwie rękoma, szepce znajomemu do ucha:

— Ten mój kapelmajster gra codziennie gorzej. Po prostu wypędza mi gości!...

W zakładzie istotnie jest fortepian, ponieważ jednak mieści się w trzeciej sali, trzeba więc grać na nim z wielką siłą, ażeby muzyka wybiła się nad rozmowy zebranych, krzyki służby, dźwięki moździerzy

i skwierczenie smażonego mięsa. Tymczasem artysta nie ma sił.

Chudy, skulony, rozgorączkowany, gra on ładnie, ale po największej części jakieś utwory smutne i zawiłane, których nie rozumieją ani damy w chustkach na głowie, ani mężczyźni bez krawatów. Natomiast polki, walce, a nadewszystko huczne mazury pomimo ciągłych upomnień gospodarza zbywa niedbale.

Nieraz, zniecierpliwiony gospodarz, opuściwszy bufet, biegnie do trzeciej sali i, aby nie kompromitować artysty, pochyla się nad jego krzesłem i szepce:

— Bój się Boga, panie Adamie — mówisz, żeś dawał koncerty w resursie, a tu — partolisz jakbyś trzy dni nie jadł?... Tak przecie grać nie można, bo mnie pan zrujnujesz... Przy mazurze albo oberku goście piją tak dużo, że parobek nie nastarczy z noszeniem antałków, ale jak pan zaczniesz te swoje „trulu lulu“, to gość zamyśla się i siedzi nad jednym kuflem jak bocian nad stawem... Pan chyba jesteś chory, czy kiego dyabła?...

Tak zakończył i odszedł, sapiąc, do swego bufetu.

Na twarz zgromionego muzyka wystąpiły ceglaste rumieńce. Zatarł ręce i począł bić niemi w fortepian, aż szyby drżały a goście podnieśli głowy mówiąc: „to ci rznie!...“ Ale po paru minutach wysił-

ku, zrobiło się coś dziwnego: muzykowi zeszywniały palce, że prawie nimi nie poruszał, twarz mu zsiśniała, a na czoło wystąpił pot kroplisty. Chciał się przemódz, uderzył jeszcze mocniej, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

Wtedy zerwał się od fortepianu i wybiegł przez dziedziniec do pokoiku, leżącego obok kuchni. Tam, wśród tumanów pary i śwędu, oparta łokciem na brudnym stole, stała mizerna dziewczynka i uczyła się głośno z jakiejś książki. Im w kuchni był większy hałas, tem dziewczyna mocniej zatykała uszy i głośniej powtarzała swoją lekcję.

Tu wszedł muzyk, pociągnął łyk wódki z flaszki, która stała na stole, i trącił zaczytaną dziewczynkę.

— Wanda—rzekł—rozetrzyj-no mi ręce.

Dziewczynka ujęła chudemi rączkami jego sztywne i opuchnięte palce i tarła, dopóki jój sił nie zabrakło.

— Ach! — mruczał muzyk — codzień mnie gorzej bolą... Już nie możesz trzeć?...

— Nie mogę tatku — odparła zadyszana dziewczyna.

Muzyk sam zaczął rozcierać zbolące ręce, wznosił je do góry, zapewne dla odprowadzenia nadmiaru krwi, a nawet obmywał wodą. Ale gdy i to nie pomogło, pociągnął z flaszki drugi łyk wódki i podniecony nią wracał do fortepianu.

Znowu zaczął grać hucznie, aż uśmiechnął się

gospodarz, a goście zawtórowali brzękiem kufli. Ale po kilku minutach nabrzmiałe palce znowu mu zeszywniały i uczuł straszny ból. Twarz muzyka zmieniła się, klawisze przestały mu odpowiadać, melodia rwała się. Więc jój nie dokończył i całkiem wyczerpany oparł na kolanach bezwładne ręce.

Do sali wbiegł gospodarz.

— Co pan robisz, panie Adamie!—krzyknął rozniewany. — Ludzie śmieją się z pana i mówią, że byś szedł na koncert do resursy, a nie tu fuszerał!.. Tu trzeba grać, panie!..

— Już nie mogę—szepnął muzyk.

— To się pan wynoś!..—wrzasnął gospodarz.— Jazda!... Jest tu lepszy na pańskie miejsce... Proszę pana, panie Fitulski, do fortepianu..

Chory muzyk machinalnie podniósł się z krzesła, a w téj chwili miejsce jego zajął jakiś olbrzym, pod którego palcami począł skakać cały fortepian.

— Ten gra, jak orkiestra — odezwał się jeden z gości.

— Chwat gospodarz, prędko się uwinął z tym — dodał drugi.

— Jemu do szpitala, nie do muzyki!..

W taki sposób publiczność pożegnała muzyka, który zwolna powlókł się do izby, gdzie uczyła się ego córka.

— Chodź Wanda—rzekł do dziewczynki. Zdjął

ze stołu niedopitą flaszkę wódki i schował do kieszeni.

Dziewczynka podniosła zdziwione oczy.

— Tatko już nie gra?

— Nie.

— A kto tam gra, jeżeli tatko nie gra?

— Inny—szepnął.

— A...—chciała dalej pytać, ale wstrzymała się. Milcząc, zebrała swoje kajety i książki i — wyszła z ojcem na ulicę.

Do kuchni wbiegła kelnerka.

— Wiecie — mówiła do kucharzy — stary wypędził tamtego kapelmajstra, a przyjął nowego.

— Za co go wypędził?—spytał młodszy kucharz.

— Bo grał tak źle, że goście coraz mniej pili piwa.

— Głupi on! — mruknął starszy kucharz do pomocnika. Ma dwadzieścia lat restaurację, a jeszcze nie wie, że picie nie pochodzi z muzyki, tylko na-przód — od dobrego piwa, a po drugie — od mądrego kucharza. Jak ja do każdej porcy wsypię szczyptę papryki, to żeby sam święty—musi ciągnąć bawara, byle mu dali dobrego, nie lurę jak u nas. Muzyka przy piwie, to — tful... plunąć niewarto. Papryka to grunt...

Tak doświadczony kucharz oceniał wpływ muzyki.

Tymczasem pan Adam (on to był) wrócił z córką do izdebki na Powiśle. Dziś stracił ostatnie miejsce, ale był tak zmęczony, chory i rozmarzony

wódką, że, nie rozmyślając nad swoją dolą, rzucił się na twarde łóżko i spał do południa na drugi dzień.

Ku wieczorowi wyszedł do miasta starać się o zajęcie choćby w najpodrzedniejszej bawaryjce, lecz nie znalazł nic. Tak upływał mu dzień za dniem: spał do południa, a wieczorem szukał roboty. Żyli przez ten czas z dziesięciu rubli, jakie odłożył na opłacenie pensyi za córkę. Ponieważ jednak przełożona zniecierpliwiła się długim czekaniem na opłatę, więc, pewnego dnia, kazała dziewczynie wyjść z klasy. Zrobiła jój wakacye, jak mówił, gorzko śmiejąc się, pan Adam.

Nareszcie, po parutygodniowym wypoczynku znajomy faktor doniósł muzykowi, że ma dla niego miejsce, ale takie, gdzie grać potrzeba dopiero od jedenastej w nocy.

— Tam pan może mieć piękne zarobki — mówił faktor — tam nawet czasem i szampana postawią...

Muzyk smutnie pokiwał głową, ale—zgodził się.

Przymusowe bezrobocie wyszło mu na dobre, odpoczęły zbolale ręce. Więc, aby odzyskać wprawę, usiadł pan Adam do żółtego, zdezelowanego klawikortu, gdyż fortepian z lepszych czasów dawno był sprzedany.

Zagrał mazura, polkę, kontredansa, ale znowu rozkołysała go muzyka, choć klawikort brzęczał jak zepsuta arfa. Nieznacznie od skocznych melodyj

przeszedł do innych tematów. Oto koncert Szopena, niegdyś pole jego popisu... Oto pieśń, którą grał na cel dobroczynny... Nokturn z tych czasów, kiedy jeszcze uczył się w konserwatorium... Pieśń Schumana, którą tak lubiła jego żona...

Jeszcze jeden akord... Co to jest? pomyślał. Na razie nie mógł sobie przypomnieć, ale palce same przebiegły po klawiszach i usłyszał... ową melodyę, którą grał jeszcze będąc dzieckiem, która zdecydowała o całej jego przyszłości, tak w początkach świetnej, a tak nieszczęsnjej. Gorąca łza upadła mu na rękę.

— Boże mój — szepnął — co się ze mną stało i za co?... Jaki zły duch wprowadził do naszego domu człowieka, który chciał mi zrobić najlepij i... zgubił..

Lecz wkrótce opanowała go potęga wspomnień i przywidziało mu się, że jest małym chłopcem, że siedzi przy tym samym co niegdyś klawikorcie i — gra — co?... Albo on wiedział — co... Chyba dzieje swojej rozdartej i podeptanej duszy. W tej chwili marzył, że całe jego życie było tylko strasznym snem, ale, że on obudzi się jako mały Adaś... Zaraz i matka tu wejdzie...

W tem zatrząsł się od stóp do głów. Drzwi istotnie były otwarte i wśród wieczornego cienia ukazała się w nich jakaś kobieta.

— Matka?... — szepnął jeszcze nie otrzeźwiony. Ale kobieta odezwała się szorstkim tonem:

— Panią gospodynię głowa boli i przysłała mnie tu, żeby pan nie robił takich hałasów. Cóż to pusty dom, czy bawarya?...

— Pani gospodyni?...—odparł zdziwiony.—Jaka pani gospodyni?... Aha!...

Teraz oprzytomniał i cofnął się od klawikortu. Następnie powlókł się do szafy, wziął jeszcze nie-
tkniętą butelkę wódki i — wypił odrazu czwartą
część.

Wieczorem wyszedł do miasta, na robotę.

III.

ORFEUSZ.

Losowanie skończyło się, a feldfebel odprowa-
dzał rekrutów do tymczasowych koszar. Byli tam
chłopi z włosami podciętymi na czole, w nowych
butach i świątecznych sukmanach — mieszczanie
w granatowych kaszkietach i szaraczkowych kapo-
tach — wybladły żydek z pejsami w atłasowym
hałacie,—drugi żydek, felezer, w jasnej chustee na
szyi i w letniej marynarce, wreszcie ubogi szlachcic
w burce. Niektórzy nieśli w rękach wężełki, inni na
plecach dźwigali duże tłomoki a inni nie mieli nic;
los zaskoczył ich niespodzianie.

Feldfelbel ustawił rekrutów we dwójki, najwyższych na prawem skrzydle, najniższych na lewem. Użykowali się butnie, śmiejąc się i żartując.

— Wyprostuj nogi, panie wojak, bo ci pałakowato stoją — mówił parobczak do żydka w atłasowym chałacie.

— Ja wszystkich oficerów będę golił, zobaczycie!... — wołał żydek felczer, wyobrażając sobie, że powiedział wielki dowcip.

— Idziemy na turka!... — krzyknął jeden z mieszczan.

Feldfelbel spojrzał po nich zadowolony i mruknął pod nosem: chwaty chłopcy!... Policzył w jedną i w drugą stronę i zakomenderował:

— W prawo!

Na to hasło wszyscy zwrócili się natychmiast, ale jedni w prawo, inni w lewo, a żydek z pejsami wyleciał przed szereg. Zrobiło się zamieszanie, rekruci wybuchli śmiechem, aż uciszył ich i ustawił feldfelbel.

— Marsz!—i kolumna ruszyła naprzód, a feldfelbel szedł obok pierwszej dwójki. Był to człowiek olbrzymiego wzrostu i baczysty; pałasz w żelaznej pochwie zapiął na haczyk i szedł krokiem miarowym, sztywny, zimny, w szarym płaszczu podobny do piaskowcowej karyatydy z twarzą brązową.

Był już koniec listopada. Z ołowianego nieba mżyło, czworokątny rynek miasteczka zamienił się

w kałużę. Feldfebel skręcił na środek a z nim kolumna. Rekruci szli ostro, ze zgiełkiem i śmiechem podpowiadając sobie: raz — dwa!... raz — dwa!... w asystencyi kilku pauprów, z których jeden trąbił im na szyję od butelki, drugi bił kijem w deskę, trzeci obracał hałaśliwą grzechotkę, a wszyscy wrzeszczeli.

W tem od strony zajazdu ukazała się bezładna gromada kobiet i starszych mężczyzn. Z głośnym płaczem zabiegli drogę rekrutom, wyciągając do nich ręce i potykając się w błocie. Dopadli do maszerującej kolumny, zmięszali się z nią i zatrzymali pochód.

— Na bok, baby, bo tu wojsko!... — zawołał któryś z rekrutów.

— Waluś!...—krzyknęła jakaś kobiecina, rzucając się ku czerstwemu parobkowi — Waluś!... a dyć pożegnaj się ze mną... Nie dali mi się tobą nawet nacieszyć ostatni raz... Naści, synu, złotówkę... O, Jezu, i kiedyż ja cię zobaczę, sierota?...

I objęła go za szyję, całując i oblewając łzami.

— Z drogi, baby, kiedy wojsko idzie!...— wrzeszczeli rekruci.

— Marsz!—komenderował feldfebel.

W téj chwili stary żyd porwał za rękę żydka w chałacie i szlochając, z czerwonymi jak królik oczyma, szeptał mu do ucha:

— Ty, Moszek, idź zaraz do szpitala... Ja wszystko sprzedam, ażeby cię uwolnić...

— Marsz! marsz!—powtarzał feldfelbel spokojnie, przypatrując się żalosnemu widowisku.

— No, idźta-że!.. — wołali rekruci, przeciskając się między tłumem. Już dochodzili do koszarowego budynku, kiedy doznała ich młoda mieszczanka z dzieckiem u piersi.

— Józek — ty tu?...—zawołała tonem bolesnego zdumienia. Przecie mówili, żeś dobry numer wyciągnął?...

Zapytany, nie patrząc na nią, machnął ręką i ukradkiem otarł łzę.

— Józek— wstąpże do domu... Tak przecie iść nie możesz, nawet do wojska; muszę ci co wyładować na drogę... O, Panno Przenajświętsza!... całą wotywę leżałam dziś krzyżem, myślałam, że ci nie będzie, a ty tu—Józek, ty tu?...

Kolumna doszła do drzwi, z coraz większym hałasem. Rekruci, na znak wielkiej ochoty, zaczęli, popychać się bokami, a żydek felezer, stanawszy na progu, wyrzucił w górę starą jedwabną czapeczkę i zsiniałemi ustami wykrzyknął: hura!...

Już wszyscy weszli na korytarz; przed progiem został tylko mieszczanin, któremu żona uczepiła się u ręki:

— Idź!—rzekł feldfelbel, wskazując mu drzwi.

— On nie pójdzie!—mówiła kobieta—bo przecie nic jeszcze niema na drogę..

— W wojsku dadzą mu wszystko—odparł feldfelbel tonem głębokiego przekonania.

— Co, w wojsku?... ja nie chcę wojska!... A kiedyście go wzięli to i ja z nim pójdę..

— Nie wolno.

— Może komu nie wolno, ale nie mnie; ja przecie jego żona...

Feldfelbel popchnął rekruta do sieni i sam wszedł za nim.

— Józek—pocałujże choć syna!... — wołała kobieta rwąc się za próg. Ale ją odsunął sołtys z policyantem i zamknięto drzwi.

— Hura!...—krzyknęli na korytarzu rekruci.

Ze dworu odpowiedział im zgiełk tłumu i jęklive błogosławieństwo starego żyda. Potem ktoś zaczął bić ręką we drzwi i krzyczeć rozzwierającym głosem:

— Józek!... Józek!...

Minawszy ciemny i pełen wybojów korytarz, rekruci znaleźli się w dużej izbie o trzech zakratowanych oknach. Stało tu kilka ławek, a wzdłuż ścian leżała słoma, przygotowana na noclegi; na kominie płonął ogromny ogień i oświetlał szarą wilgoć murów; powietrze było surowe i przejęte dymem.

Tu weszli rekruci, i nagle — zatrzymali się jak odurzeni. Może podziałała na nich cisza, do téj bo-

wiem izby nie dochodził żaden głos z rynku. Stali długą chwilę, przysłuchując się w milczeniu, uśmiechy znikły im z twarzy, głowy pochyliły się; potem zaczęli nawzajem spoglądać po sobie zdziwieni i zakłopotani.

Pierwszy ocknął się żydek felczer. Zatarł gorączkowo ręce i rzekł do jednego z mieszczan.

— Ja się nie nie boję!... Ja felczer.. Zaraz pewnie zostanę młodszym felczerem, potem starszym, a może kiedy doktorem... W wojsku jest przecie awans!..

Ale, że nikt mu nie odpowiedział, więc stanął przed ogniskiem i trząsał się jak w febrze.

— Bardzo zimno!...—mruknął.

Ubogi szlachcic rzucił burkę na słomę i legł na nią, przymykając oczy. Jeden z mieszczan odwrócił się do okna, oparł na kracie głowę i cicho płakał. Chłopi, oglądając się na wszystkie strony, zasiedli ławy i poczęli szeptać.

— No, cóż tak ucichliście? Na ulicy to chwaty, a w koszarach baby!.. Wstydl..

— Ja się wcale nie boję — wrzasnął od komina żydek w letniej marynarce. — Ja przecie felczer... Może pan starszy chce, to ja zaraz pana ogolę?... A może pan starszy potrzebuje pieniędzy, to ja mogę pożyczyć?...—szepnął.

— Nie potrzeba — odparł obojętnie feldfelbel.

No, ruszajcie się, chłopcy! — zwrócił się do rekrutów. W wojsku dobrze. Tylko z początku wyda-

je się smutno, ale po roku żadnego by z was nawet nie wygnał.

— Ja bym ta poszedł do dom choćby i zaraz!— mruknął jeden z najhałaśliwszych parobków.

— Co ty wiesz—mówił felfebel.—Na wsi miałeś kartofle, dziurawą sukmanę i bosc nogi, a w wojsku będziesz miał czysty mundur, buty i codzień mięso. A jaki dostaniesz karabin!... o tysiąc pięćset kroków trafisz w nieprzyjaciela.

— Albo on we mnie—szepnął jeden z mieszczan.

Felfebel spojrział na niego z ukosa, splunął i cofnął się do swojej izdebki. Za nim wyszedł felczer.

— Oni zarazby się rozweselili — rzekł — gdyby pan starszy, kazał tu przyjść tym babom... ze dworu...

— Nie wolno—odparł felfebel.

— Jak nie, to nie. Więc niech pan starszy pośle kogo po wódkę. My damy pieniędzy i pan sam z nami wypije...

— Nie wolno.

— Nie wolno?... Nu—to niech pan starszy pośle do mego domu po karty. Jak oni sobie zaczną grać, to się i tak rozweselą.

— Kart nie wolno.

Żydek skrzywił się i zatarł ręce; było mu coraz chłodniej. Chciał jednak wejść w bliższe stosunki z felfebem.

— Pan starszy z daleka?...—zapytał po chwili.

Chmura przesunęła się po czole felfebla, lecz odparł spokojnie:

— Co tobie do tego?.. Ty myśl, jak masz sam odpowiadać, kiedy ciebie zapytają.

Żydek stropił się. Ale jeszcze nie stracił otuchy i rzekł po chwili:

— Bardzo ładne panienki mamy w mieście...

Niebieskie oko felfebla błysnęło gniewem.

— Precz! — krzyknął tak podniesionym głosem, że pozieleniały ze strachu żydek wpadł do ogólnej izby i rzucił się na słomę obok szlacheica. Przez kilka minut nie mógł przemówić ani wyrazu, potem przysunawszy się do sąsiada, zaczął szeptać:

— Nu — to myśmy wpadli w wielką biedę!... W wojsku gorzej niż w samym kryminale... Ja nie mogę w wojsku służyć, choćbym chciał, bo ja mam defekt w sercu... Widzi pan, jak mnie rzuca? Kiedy przyjdziemy do gubernii, to niech pan zaraz poświadczy, co mnie dziś bardzo rzucało... A! czemu ja nie jechałem za granicę...

Niepomyślne zabiegi felczera, wybuch felfebla, jeszcze bardziej zgnębiły rekrutów: już poczuli żelazne pęta wojskowej karności i ogarnął ich smutek. Żydek w atłasowym chałacie siedział pod ścianą błądy, zapatrzony w jeden punkt, nie wiedząc, co się koło niego dzieje; żonaty mieszczanin zasłaniał ręką usta, ażeby inni nie słyszeli jego łkań, a nawet ten, co w rynku najgłośniej krzyczał: na bok

baby! uczuł żal i tęsknotę. W izbie zrobiło się cicho, jakgdyby wszyscy posnęli.

Ubogi szlachcic leżał spokojnie. Nie odezwał się, nawet nie westchnął, tylko przygryzał młode wąsy, a serce szarpał mu jakiś ból bezimienny. Do téj pory zawsze służyło mu szczęście. Rok temu chciał dostać posadę w dużym majątku i dostał ją—wziął pół ćwiartki na loteryę i wygrał paręset rubli — wreszcie, oświadczył się pewnej miłej panience i ta go przyjęła, pomimo kilku innych, bogatszych, niż on, konkurentów. Więc zaufał swemu szczęściu i choć onegdaj śniło mu się, że go przywalił młyński kamień, dziś szedł do losowania pełen otuchy i wyciągnął — jeden z pierwszych numerów...

Przez chwilę zdawało mu się niepodobieństwem, ażeby wzięli go do wojska, jego, który ma takie dobre miejsce, kilkaset rubli gotówką i który w dodatku ma się żenić z panną Jadwigą. Ale gdy mu zaczęto wieszować, że zapewne wstąpi do gwardyi, a nadewszystko, gdy mu nie pozwolono wyjść do miasta, uczuł, że w jego życiu zaszła jakaś wielka zmiana.

Już nie wróci na wieś do swego pokoiku, już nie będzie oczekiwał na pannę Jadwigę, ażeby ukradkiem pocałować ją w rączkę. Co ona robi w téj chwili i czy wie, jaki go los spotkał? Co robi stary rządcą, którego pomimo wiecznych sporów tak

kochał? A pożeiwy pies Zagraj, kto go przygarnie, z kim on będzie chodził na kaczki?...

Przy gospodarstwie nigdy mu nie brakło przykrości, ze wszystkimi musiał się kłócić; lecz mimo to, wszystkich teraz żałował. Zdawało mu się, że gdyby zobaczył najzuchwalszego parobka, rzuciłby mu się na szyję, tak czuł potrzebę przytulić się do kogoś znajomego, i powiedzieć: patrz! co się ze mną stało!... Nie bał się wojny, ani śmierci, ale tej nowój przyszłości, o której nie miał pojęcia. Czuł tylko, że jest jak wyrwane drzewo, że mu zabrakło ziemi pod nogami, że stracił wszystko, do czego się przywiązał.

Spojrzał na swoich towarzyszów. Gdzież ich butna wesołość, którą tak chełpili się przechodząc rynek?...

Oto siedzą posepni, zniechęceni, z wyrazem żalu na twarzach. Jeden bezmyślnie miętosi w rękach sukmanę, drugi co chwila targa włosy, jakby chcąc się obudzić, inny zerwie się z ławy, przejdzie po izbie i znowu siada, nie mogąc znaleźć miejsca, a najweselsi pokładli się na słomie, chcąc zaspać czas. Gdyby tak można zasnąć na kilka lat?— szepnął i znowu przymknął oczy.

Feldfelbel w obocznej izdebce przeglądał papiery i rozmyślał.

— O szóstój przyjadą podwozy, o siódmój ruszymy w drogę, po południu będziemy w gubernii,

tam Moszek Bizmut pójdzie do szpitala na zbadanie stanu zdrowia, a reszta do koszar.

— Który to Moszek Bizmut? — mruknął feldfelbel, a ponieważ miał bardzo słabą wyobraźnię, więc, aby uprzytomnić sobie rysy chorego żydka, musiał wejść do izby ogólnej. Tam, przypatrzwszy się żółtej cerze i wązkim piersiom rekruta, splunął z gniewu na ziemię.

— Podlec!... — szepnął. Zdało mu się bowiem, że widzi Moszka Bizmuta w atlasowym żupanie, stojącego na zgiętych nogach w czasie rewii przed frontem...

— Panie starszy!— odezwał się do niego mieszczanin — pozwólcie tu przyjść mojej żonie. Ona pewnie czeka pod sienią...

— Tobie na co żona?...

— Tęskno mi...

Feldfelbel wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Mimochodem spojrzenie jego padło na szlachcica, coś sobie przypomniał i znowu zajrzał do papierów.

— Pan rodził się w Wólce?— spytał szlachcica.

— Tak.

— Bo i ja tamtejszy— rzekł feldfelbel, widocznie, chcąc pogadać o swoich stronach; ale spostrzegłszy, że felczer błysnął ciekawie oczyma, odwrócił się z niechęcią i odszedł do swój izdebki. Milczenie rekrutów nudziło go, a że nie umiał marzyć, więc

wydobył z torby podręcznik dla podoficerów i już niewiadomo po raz który w życiu czytał powoli, półgłosem:

„Feldfebel jest naczelnikiem wszystkich niższych stopni w kompanii, z wyjątkiem podchorążych, którzy należą od komendanta kompanii. Jest on obowiązany: popierwsze, pilnować w kompanii porządku, moralności i postępowania żołnierzy i podoficerów, tudzież punktualnego wypełniania obowiązków przez dyżurnych — podrugie, komunikować niższym stopniom polecenia dowódcy kompanii, a także odczytywać rozkazy — potrzecie, wykonywać polecenia dyżurnych oficerów i zawiadamiać o nich dowódcę..“

Przy tych wyrazach zdrzemnął się. I śniło mu się, że był feldfeblem, że był delegowanym do odprowadzenia kilkunastu rekrutów, że jeden z nich koniecznie chciał widzieć się ze swoją żoną i że on sam, czytając podręcznik dla podoficerów, zasnął przy końcu trzeciego paragrafu przepisów, określających obowiązki feldfebla.

Ocknął się. Jego książka leżała na tem samym miejscu, a w izbie rekrutów panował ten sam martwy spokój.

Feldfebel zerwał się na równe nogi, policzył zebranych, lękając się, czy który podczas jego drzemki nie umknął, albo czy nie weszła tu kobieta z dzieckiem, a sprawdziwszy, że wszystko jest w po-

rzędu i że żonaty mieszczanin wciąż wzdycha, mruknął:

— Ot, głupi chłopak, jak on się martwi za żoną!.. Chyba ja nie byłem taki błazen, kiedym szedł do wojska...

Oparł głowę na rękę i z wielką pracą usiłował przypomnieć sobie przeszłość.

— Teraz spałem, przedtem czytałem przepisy o obowiązkach feldfeblów, jeszcze przedtem odebrałem rekrutów z komisji i przyprowadziłem ich tutaj. A dawniej?... W roku zeszłym byłem feldfeblem w Odesie, przed dwoma laty feldfeblem w Kałudze, przed trzema feldfeblem w Tambowie, przed czterema feldfeblem... I tak cofając się wstecz rok za rokiem, zawsze widział się tylko feldfeblem. Zdawało mu się, że nigdy nie był niczem innym, tylko feldfeblem, nawet w Wólce, i że zawsze miał u boku z prawej strony rewolwer w lakierowanym olstrze, z lewej pałasz w żelaznej pochwie.

Ale żeby kiedy tęsknił do domu, albo martwił się, że jest w wojsku, tego wcale nie pamiętał.

Teraz zbliżył się do niego szlachciec.

— Panie feldfeblu—rzekł— pozwól temu biedakowi pogadać z żoną.

— Dla żołnierza niema żony, jest tylko jego kompania—odparł feldfebel.

— Nasiedzi się jeszcze w waszej kompanii, a te-

raz niech choć pożegna kobietę, to mniej będzie tęsknił.

— Ot, pan szlachcic i nie masz rozumu!—odparł feldfelbel.—Przecie on dziś czy jutro musi rozdzielić się z żoną; a jeżeli takie jest prawo, więc lepiej wypełnić je odrazu, nie ciągle witać się i żegnać na nowo. Z was czyste baby. Wstępujecie do wejska jak żyd do wody. Chcielibyście umoczyć naprzód palec, potem kawałek nogi, potem wejść po kolana, byle potrochu. To nie ładnie. Trzeba raz skoczyć i nie oglądać się ani na żonę, ani na matkę, dopóki nie wyjdzie czas służby. Żołnierz powinien postępować po żołniersku. Zresztą ja nie lubię bab w koszarach.

Rekruci z uwagą przysłuchiwali się téj teorii i zrobiło im się jeszcze smutniej.

— No, będzie piękne wojsko z tej hołoty, nie daj Boże!—myślał feldfelbel. — Jeżeli rekrut nie może odejść od baby, to czy żołnierz będzie mógł pójść w ogień?... Czysta swołocz!...

Rozparł się na krześle, zapalił papierosa i znowu zaczął drzemać. I śniło mu się, że był feldfeblem kompanii odzianej w sukmany i chałaty, w której ani jeden żołnierz nie miał broni i nie umiał obrócić się w prawo ani w lewo. A tu ma odbyć się parada i już na placu musztry widać galopujący sztab pułku. Feldfelblowi pot wystąpił na czoło. — Boże mój, — myślał — jaka hańba!.. Gdybym miał pod ręką

choć jaszczyk prochu, wysadziłbym w powietrze tych podłych i nawet siebie...

Nagle ocknął się i mruknął:

— No—damże ja wam na służbie. Już albo wy mi hańby nie zrobicie, albo ja wszystkich was roz...

Niedokończył, w téj chwili bowiem rekruci zerwali się z miejsc i gromadą pobiegli do okien.

— Bunt?... — pomyślał zdumiony feldfebel i machinalnie opuścił rękę do rewolweru. Rekruci tymczasem pootwierali okna i poczęli radośnie wykrzykiwać:

— Jasiek!... skrzypiciel!... Bywaj!...

Teraz feldfebel usłyszał dolatujące od strony parkanu dźwięki skrzypców, na których grano melodyę:

A kto chce rozkoszy użyć,
Niech idzie do wojska służyć...

— Jasiek!... chodź do nas!... zagraj nam ostatni raz...

Skrzypce umilkły, lecz wnet na płaskim szczycie parkanu, stojącego o kilka kroków od okien, ukazał się sam grajek. Był to człowiek niemłody, brzydki i obdarty; słynął w całej okolicy jako najlepszy skrzypek, który dużo pił, a mało zarabiał. Miał bowiem swoje kaprysy: najczęściej wysługiwał się darmo, lecz czasem nie chciał grać i za najwię-

ksze pieniądze. Zresztą nigdzie nie mieszkał, a odziewał się o tyle, o ile mu podarowali jaką szmatę poczciwi ludzie.

Grajek usadowił się na parkanie i strojąc skrzypki, mówił urywanym, zachrypniętym głosem:

— Wlokę się rynkiem, patrzę a baby pod magistratem płaczą. Więc mówię: czego baby wyjecie?... — A, bo naszych chłopców wzięli do wojska... — Gdzież oni są, mówię, wasze chłopcy?... — A na starym odwachu, ale nas tam nie puszcza psia wiara feldfebel. — No, mówię, mnie puści—i idę se pod ten parkan. Słucham, a u was cicho. Myślę, czy śpią?... A sołtys mówi: oni się tak martwią, bo mają strasznie ostrego feldfebla. No, myślę, kiedy z wami chłopcy, taka bieda, to już ja was rozweselę.. Nie takich ja rozweselałem!...

Tak prawiąc, śmiał się zakłęśniętymi ustami, przyciskał brodą skrzypce i wywijał smyczkiem.

— Patrzenie ino, jak on se siedzi na parkanie!... Żeby mu tak wódki podlać, toby grał!... — mówili rekruci.

Feldfebel zdziwił się. Jak to może być, ażeby jeden brudny i brzydki człowiek odrazu ożywił całą gromadę? Nawet płaksiwy mieszczanin rozruszał się, nawet wyźółkły Moszek Bizmut począł się uśmiechać.

— Ej, w tem coś jest!... — mruknął podejrzliwie feldfebel, zapytując się duszy, czy nie należałoby spędzić grajka.

W téj chwili skrzypek dotknął strón. Ledwie zdążył zagrać parę taktów, wnet jeden rekrut pochwyił melodyę i zaśpiewał:

„Nie dlatego śpiewam, coby słyhać było,
A ino dlatego, żeby się nie cnęło.

I zaraz zawtórowali mu inni:

„Nie dlatego śpiewam, żebyście słyszeli,
A ino dlatego—niech się świat weseli!—hu!—ha!..“

Feldfelbel przysłuchiwał się ciekawie. Znał on i nutę i pieśń, lecz—dawno o nich zapomniał.

Skrzypek zmienił melodyę i zaraz odpowiedział mu chór, śpiewając:

„Nieszczęśliwy czasie, pokochaliśma się;
Przyszła ta godzina, rozejść się musima.
Choć się rozejdziemy każde w inną stronę,
Przecie nasze serca są nierozłączone...
Najświętsza Panienko! pocieszże mnie, pociesz,
Bo mnie nie pocieszy matka ani ociec.
Najświętsza Panienko! tyści matka moja,
Pocieszże mnie, pociesz, jeśli wola Twoja.“

I tak melodya szła za melodyą, pieśń za pieśnią, a zdziwiony feldfelbel przypominał sobie każdą z nich. Lecz nietylko to go zastanawiało. Stary skrzypek wydobywał niekiedy tak szczególne dźwię-

ki, że feldfebla dreszcz przechodził. Nieraz przecie słyszał on orkiestry kilku pułków, nigdy jednak nie obity mu się o ucho tak przejmujące tony, które, zdawało się, że kłują pierś i weiskają się aż na dno serca.

— Cudak! — szepnął feldfebel, patrząc przez zapotniałe szyby na grajka, który, założyw szy nogę na nogę, siedział na szczycie parkanu, jak na krześle.

Rekruci wciąż śpiewali, a feldfebel już nie rozumiał słów. Uwagę jego pochłonęły owe szczególne tony skrzypców, których mnożyło się coraz więcej. To nie były dźwięki martwego instrumentu, ale płacz, westchnienia, żal, tęsknota, wydobywające się z ludzkiej piersi. On się z tem niegdyś znał, ale kiedy?... Może, gdy był podoficerem?... Nie, jeszcze dawniej, wówczas, gdy sam dziecinnym głosem śpiewał te pieśni:

„Szła sierotka po wsi—obsiedli ją zli psi;
Nie umiał się kto obrać—sieroteczkę ograć.
Obrał ci sie, obrał—sam Pan Jezus z nieba,
I sierotkę ograł—kawaleczkiem chleba...”

I stała się rzecz niezwykła. Ten kamienny człowiek, który nigdy nie marzył, w tej chwili uległ przywidzeniu. Znikły mu w oczach koszary i rekruci, a na ich miejsce rozciągnęła się łąka, oświe-

tlona majowem słońcem. Poznaje krętą rzeczułkę i las na wzgórzu i bydło szczypiące trawę. Oto krowa jego matki, biała w kasztanowate łaty. Oto gromada wiejskich pastuszków, a między nimi... on sam!... Nie myli się, to on, w szarym, słomianym kapeluszu i granatowej kamizeli. Jeden z chłopców, dziesięcioletni Tomek, gra na fujarce, inni śpiewają, a on wyraźnie słyszy żaloseńską nutę i powtarza wyrazy:

„Idź, moja dziecino, do cudzej macierze,
Niechże ona tobie koszulkę wypierze.
Oj, jak mi ją pierze—leca z niej paździerz,
A jak mnie obłoczy, po ziemi mnie włóczy...”

Teraz ode wsi idzie jego siostra i niesie mu obiad w dwuniaczkach. Te same włosy płowe, różowa spódnica i niebieski fartuch. Wpatrzywszy się lepiej, widzi jej owiazaną w szmatę nogę, którą sobie skaleczyła, zbierając chrust w lesie.

Feldfebel otrząsnął się, mocno przetarł oczy i marzenie znikło. Widzi znowu kosarzy i słyszy śpiew rekrutów, nad którym górują dźwięki skrzypców za oknem.

— Co za czort—szepnął—czym ja pijany? Nie. Nie miałem dziś wódki w ustach. Czym chory?...

Istotnie przypomniał sobie, że już raz ukazywały mu się podobne widma, gdy miał tyfus. Wówczas jednak robiło mu to przykrość, a dziś przeciwnie —

serce jego napełniała dziwna mieszanina radości i żalu.

Skrzypce znowu rzewniej zapłakały w rękach grajka i żołnierz znowu im uległ.

„W zielonym gaiku ptaszkanie śpiewają,
A mego Jasieńka na wojnę wołają.
Już nie roczek, nie dwa, jak się wojna toczy,
Moja maluteńka wyplakała oczy...”

Tak, to ta sama pieśń, którą go odprowadzili w rekruty! Oto siedzi na wasagu a na pierwszym wozie jadą grajkowie i grają co sił starczy. Słyszy krzyk i widzi matkę obok drogi...

Feldfebel upadł na krzesło.

— Boże, mój Boże!... — szeptał, ciężko dysząc.

Łzy cisnęły mu się do oczu, westchnienia rozsadzały piersi, ale tylko dławił się niemi, bo nie mógł zapłakać.

Skrzypce na chwilę umilkły i żołnierz oprzytomniał. Spojrzał przez okno. Na parkanie wciąż siedział grajek, brzydki, z kudłatą głową i nawiązywał stronę do skrzypców, z komina w sali padał na niego czerwony blask ognia, nadając mu jakieś nadludzkie kształty.

Teraz spostrzegł feldfebla skrzypek.

— Panie wojaku! — krzyknął, pochylając się do okna jego izby—a puście baby do rekrutów... bo chłopcy tęsknią!...

Usłyszawszy to, rekruci umilkli i niespokojnie patrzyli w twarz swojego dozorca.

Feldfelbel zawahał się, lecz po chwili zawołał policyanta i nie patrząc mu w oczy, rzekł:

— Przyrowadź baby do tych okien. Niech się nacieszą rekruty.

Potem mruknał do siebie:


— On czort, ten skrzypek, on umie zaklinać duchy... On mnie matkę moję rodzoną pokazał i naszą Wólkę... Boże, zmiłuj się—dodał, żegnając się.

W kilka minut później, przez kraty okien mieszczanin ścisnął swoją żonę, wiejska kobiecina swego Walka, a stary Bizmut szeptał do Moszka.


— Ty, Moszek, zaraz idź do szpitala... Ty będziesz wolny...

Grajka już na parkanie nie było, lecz feldfelbel, ile razy wyjrzał przez okno, żegnał się i szeptał:

— Czort!... on umie wywoływać duchy...

 PAN DUDKOWSKI I JEGO
FOLWARK.

Pan Dudkowski i jego folwark.

ociąg miał ruszać. Nizkie taczki tragarzy biegały z podwójną szybkością, spóźnieni podróżni niespokojnie wypytywali się o miejsca w wagonach, roznosiciele pism kręcili się między przedziałami, dokuczliwi jak komary. Zawia-dowca co chwila podnosił do ust świstawkę, ażeby wydać ostatnie hasło, a zniecierpliwiona lokomotywa parskała kłębami pary.

Pan Dudkowski już miał miejsce w drugiej klasie. Walizkę i torbę położył w siatce, laskę i parasol oparł w kącie, a szal rozesał na siedzeniu. Potem, zdjawszy kapelusz, umieścił go obok walizki, a na głowę włożył czarną, jedwabną czapeczkę z miękkim daszkiem. Wydobył ukradkiem lusterko z kieszeni i przekonawszy się, że szpakowata broda

i płócienny kitel nadają mu powierzchowność ziemianina z krwi i kości, uśmiechnął się i stanął w oknie.

Na platformie jego małżonka, Hermancya, prowadziła ożywioną rozmowę z młodzieńcem o bladłej twarzy i niebieskich oczach, a kilkunasto-letnia córeczka, ziewając, zapytywała guwernantki: kiedy narreszcie ruszy pociąg? gdyż ją bolą nogi od stania.

Pan Dudkowski wychylił się z wagonu.

— No, do widzenia, Minciu! — rzekł do pani.

— Do widzenia, do widzenia! — odparła dama, nie patrząc na niego. Zdawała się być silnie zajęta wybladłym młodzieńcem.

— Uważasz, Minciu! mówił pan. Przyślij mi na wieś ten duży kosz zamykany, to będziesz miała co tydzień świeże jarzynki... Trzeba także wydobyć ze strychu kojec, bo chciałbym wam przysyłać kureczęta.

— Na co się to wszystko zdało — odparła pani z odcieniem niewiary.

— Jak to na co? — oburzył się pan Dudkowski. — Po to przecie kupiłem folwark, ażeby mieć pożytek.

— Kwaśne mleko i świeże powietrze — dodała pani.

— Kwaśne mleko, świeże powietrze i owoce dla siebie, a jarzyny, masło i kureczęta dla was.

Rozległ się ostatni dzwonek. W wagonach trzeciej klasy zaszumiało jak w ulu, pociąg ruszył a z nim przez kilkanaście kroków biegła gromada żyd-

ków, którym widać zabrakło czasu do ukończenia interesów z odjeżdżającymi współwyznawcami.

Pan Dudkowski wychylił się jeszcze mocniej z okna.

— A nie tęsknijcie za mną!.. — wołał, machając jedwabną czapeczką.

Blady młodzieniec zdjął kapelusz, córka przesłała mu kilka pocałunków, guwernantka zawołała: *atie!... atie!...* i tylko pani Hermancya skinęła nie-dbale głową i ręką, zabierając się do powrotu z bladym towarzyszem.

Do przedziału wszedł konduktor i zażądał biletów.

— Pan dobrodziej na wieś, na letnie mieszkanie? rzekł do Dudkowskiego.

— A tak, do mego folwarku — odparł pan Dudkowski, nieco ociągając się ze znalezieniem biletu. Gdzie ja go podziałem?... — pytał i szukał po kieszeniach. — Człowiek aż się zapomina, tyle ma kłopotów... W Warszawie kamienica, a jeszcze do tego kupiłem folwark z pysznym ogrodem... Oto bilet — ciągnął, wydobywając kartę z kieszeni od kamizelki. Ciekawym, jak mi się też powiedzie gospodarka na wsi.

Konduktor zwrócił się do drugiego podróżnego, a ostęplowawszy bilety, dotknął ręką daszka i wszedł z przedziału.

Przez chwilę słychać było tylko dudnienie i tur-

kot wagonów. Drugi podróżny z zachmurzoną twarzą, wcisnął się w najdalszy kąt siedzenia, a pan Dudkowski kręcił się i chrząkał, chcąc zacząć z nim rozmowę. Wreszcie zapytał:

— Pan dobrodziej daleko jedzie?

— W Brześć.

— Ja na czwartą stację... W tych czasach kupiłem tam folwarczek... Pyszna miejscowość!... Domek wygodny, ogród owocowy, pięć morgów gruntu... Posłałem tam onegdaj kucharkę, ażeby mi urządziła mieszkanie, a dziś jadę sam, na całe lato i jesień... Pan dobrodziej, zdaje mi się, jest obywatelem ziemskim?

— Nie—mruknął niedbale podróżny.

— Aha!... to pewnie pan dobrodziej ma kamienicę w Warszawie?...

— Nie.

— Ja—mówił pan Dudkowski—mam także kamienicę w Warszawie. Dwadzieścia pięć okien frontu, cztery piętra i trzy oficyny, tuż obok przystanku tramwajów. Dałem za nią przed dwudziestu laty trzydzieści tysięcy rubli, a dziś warta sto dwadzieścia tysięcy. No, ałem się też napracowałem przy niej!.. Co dzień byłem sam na każdym piętrze, co miesiąc sam odbierałem komorne od lokatorów... Bo u mnie, panie dobrodziej, niema wielkich mieszkań, tylko małe, po dwa i po trzy pokoiki. Te dają najlepszy dochód, osobliwie, jeżeli wynajmować na miesiące...

— Pan nie gra w karty?... — spytał nagle podróżny.

— Nie — odparł z pośpiechem pan Dudkowski i pomyślał:

Do licha! czy to nie jest jeden z tych karciarzy, co ogrywiają pasażerów na kolejach?...

— Pan może niema przy sobie kart? — rzekł podróżny.

— Nigdy nie jeżdżę z kartami — odparł pan Dudkowski.

Podróżny zamyslił się.

— Pan nie umie grać, czy pan nie chce grać?... — spytał znowu.

— Nie, nie, nie... Nie umiem!...

— Szkoda! No, ale kiedy tak, to trzeba spać — zakonkludował podróżny, sięgając ręką pod siedzenie. Wydobyl stamtąd pękata butelkę, wychylił część jej zawartości, mruknął: sławna! i wyciągnąwszy się na wązkiej kanapce, zaczął chrapać jak astmatyk.

Tak niezwykle postępowanie zaniepokoiło trochę pana Dudkowskiego, który zaczął przypuszczać, że nieznajomy, nie mogąc ograć go w karty, może zechce go uspić i zrabować. Przytulił się do swego rogu i udając, że drzemie, ślubował, że za pierwszym podejrzanym ruchem nieznajomego, schwyci alarmową linkę, zwieszającą się nad oknem wagonu i wstrzyma pociąg.

— Po com ja u licha mówił mu o kamienicy i folwarku?... — myślał pan Dudkowski, obserwując podróżnego z pod daszka.

Ale podróżny spał tak szczerze, iż trwoga pana Dudkowskiego uspokoiła się, a miejsce jój zastąpił sen, co prawda bardzo czujny.

Jednocześnie z zatrzymaniem się pociągu podróżny gwałtownie obudził się.

— Co to?...—zawołał.

— Pociąg stanął na stacyi — odparł słodko pan Dudkowski.

Podróżny popatrzył na niego zaczerwienionemi oczyma, jakby usiłując coś sobie przypomnieć, a po chwili zapytał niewyraźnie:

— Pan gra w karty?

— Nie—odparł pan Dudkowski.

— Szkoda, będzie nudno jechać!—mruknął. Następnie wy dobył z pod siedzenia flaszkę, przez chwilę pił tak, aż mu oczy łzami zaszczyły i ułożywszy się powtórnie na kanapce, rzekł:

— Spać się chce. W Warszawie całe dwie noce nie spałem.

— Pan komisarz bawił się zapewne z przyjaciółmi—zapytał pan Dudkowski, nie wiedząc, skąd przyszedł mu do głowy ten tytuł.

— Trochę z przyjaciółmi, trochę z damami... Damy najwięcej zabierają czasu... Tfu!...—splunął podróżny i w téj chwili zasnął.

Pan Dudkowski uczuł pogardliwą litość dla człowieka, któremu damy czas zabierają i—znowu zaczął drzemać. Potem przypomniał sobie, że i w jego życiu kobieta odegrała wielką rolę. Ożenił się, będąc już w pewnym wieku, z osobą młodą i przystojną, która nigdy nie okazywała mu nadmiaru przywiązania, a zaś od pięciu lat traktowała go z lodowatą obojętnością. Pomimo, że pan Dudkowski i teraz jak dawniej regularnie co miesiąc odbierał od lokatorów komorne, co roku podnosił cenę mieszkań, a w ostatnich czasach wybudował w kamienicy parę sklepów, żona coraz mniej dbała o niego. Skończyło się wreszcie na tem, że nietylko zagarnęła wszystkie dochody, ale nawet odmawiała mężowi drobnej pensyjki na cygara i czarną kawę po obiedzie, nie żałując jednak wydatków na teatry, koncerty i stroje dla siebie.

Pan Dudkowski czuł swoje upokarzające stanowisko, ale do wyemancypowania się nie miał siły ani, co gorsza, odwagi. Dopiero wdali się w to starzy przyjaciele, a jeden z nich, wysłuchawszy spowiedzi zawojowanego męża, powiedział mu, że nie-naturalna jego rola w domu i coraz trudniejsza pozycja wobec żony, pochodzi—z żołądka.

— Wylecz się—mówił przyjaciel—nabierz sił, a wszystko wróci do porządku.

Ponieważ pan Dudkowski szczerze pragnął, już nie przewagi, ale choćby równouprawnienia wobec

swojej małżonki, więc —zwołał konsylium. Doktorzy obejrżeli go, opukali, nakiwali się głowami, a w końcu zdecydowali, że, jeżeli może co przywrócić w domu powagę pana Dudkowskiego, to chyba świeże powietrze, mleko, szczególnież kwaśne i owoce, słowem—wieś i odpoczynek.

Teraz—wieś, odpoczynek i odzyskanie sił, stały się zmorami nieszczęśliwego właściciela kamienicy. Nie dawały mu spać, chodziły za nim po wszystkich piętach domu, przeszkadzały w zapisywaniu meldunków, myliły mu preferansa. W końcu tak zatrwały mu życie, że przeczytawszy na wiosnę ogłoszenie o „posiadłości ziemskiej w pięknem położeniu z ogrodem i budowlami, w sąsiedztwie drogi żelaznej“ zaciągnął 3,000 rs. pożyczki na 8 proc. i bez targu—kupił folwarczek.

W parę tygodni wysłał tam kucharkę Małgorzatę, we dwie doby po niej wyjechał sam, nie spotkawszy ze strony małżonki najmniejszego oporu. Owszem, zrobiła nawet uwagę, że już od pięciu lat powinien był zacząć kurację, co, mówiąc nawiasem, zasepiło mu ostatnie godziny pobytu w Warszawie.

Oparty w kącie wagonu i pogrążony we wspomnieniach, ani spostrzegł pan Dudkowski, że pociąg przejechał już dwie stacye. Dopiero głos konduktora, zwiastującego zbliżanie się do celu podróży, obudził go.

Jednocześnie zerwał się z kanapki i jego towarzysz.

— Co to?.. — zawołał, z trudnością podnosząc obrzmiałe powieki.

— Dojeżdżamy do mego folwarczku — objaśnił uprzejmie pan Dudkowski. — Ciekawym, czy też Małgorzata spodziewa się mnie? — mówił jakby do siebie, zdejmując walizkę i torbę. Żegnam pana komisarza dobrodzieja!..

Obaj panowie ukłonili się sobie, a zostający w wagonie podróżny mruknął:

— Bardzo szkoda, że pan nie gra w karty!..

Potem wydobył z pod siedzenia swoją butelkę i nie pierwój odjął ją od ust, aż pan Dudkowski wysiadł z wagonu.

— Szczęśliwój podróży!.. — zawołał nowy ziemianin, uchylając mięciutkięj czapeczki.

Podróżny smutnie kiwnął głową i jeszcze energiczniej wyciągnął się na kanapce.

Stanąwszy przed dworcem pan Dudkowski uznał, że się pod nim nogi chwieją, co mu przypomniało opowiadania o żeglarzach, którzy, po kilkumiesięcznym pobycie na statku, wysiadłszy na ląd, zataczają się jak pijani. Pochlebiało mu, że jest tak zmęczony podróżą i z przyjemnością myślał, że w tej chwili znajduje się przeszło o sześć mil od Warszawy. Co też tam mówią o nim przyjaciele, rodowici warszawiacy, z których żaden nie zdobył się na tak

śmiałą wycieczkę i nie chwiał się na nogach ze zmęczenia!..

Tymczasem pociąg odjechał, urzędnicy stacyjni rozeszli się, a na platformie został tylko pan Dudkowski i stróż, apatycznie zabierający się do nałożenia fajki.

Pan Dudkowski zwrócił się do niego.

— A niéma tu, mój bracie—rzekł—jakich koni do wynajęcia?..

Stróż, powoli, napychając tytuń w fajkę, obejrzał pana Dudkowskiego od stóp do głów i odparł:

— Jest tu para żydków na stacyi, co odwożą gości.

Istotnie, jakby z pod ziemi, ukazało się trzech żydków, kłóących się widocznie o pasażera. Jeden z nich bez pytania schwycił torbę pana Dudkowskiego, drugi wziął go za szal i rękaw płóciennego kitla, a trzeci odepchnął obu, wrzeszcząc:

— Idźcie do dyabła, to mój gość!.. Mnie tu przecie gospodyni nakazała, cobym wielmożnego pana przywiózł!..

— Co ty masz za brykę?..—odparł drugi. Tobie cieleta wozić, nie państwo!..

— On ma tylko jeduego konia, wielmożny panie!—wołał trzeci, zastępując drogę panu Dudkowskiemu.

Ale żydek przysłany przez gospodynię okazał najwięcej energii.

Wyrwał wahającemu się panu Dudkowskiemu z rąk parasol i laskę, zarzucił sobie na plecy walizę i torbę i, odepchnawszy wymyślających mu współzawodników, szybko pobiegł na dziedziniec.

Pan Dudkowski machinalnie poszedł za nim.

Bryczka, którą miał jechać, nie obudziła w nim ufności. Miała wydarte boki i mały pęczek grochowin w siedzeniu, a ciągnął ją jeden wysoki i chudy koń na nogach dziwnie pokrzywionych. Ponieważ jednak furman naglił do wsiadania, a dwaj inni już i panu Dudkowskiemu zaczęli wymyślać, siadł więc prędko, polecając się Bogu. W téj chwili po raz pierwszy uczuł tęsknotę za Warszawą.

Żydek zaciął konia i popędził po nierównej drodze, ścigany przez dwie inne bryczki, z których dolatywały szydercze śmiechy i złorzeczenia. Nie dość na tem, żydkowie bowiem wyprzedzili jego ekwipaż i, jadąc naprzód, wzniecali ogromne tumany kurzu, który wnet zasypał odzież pana Dudkowskiego i począł mu wlać w oczy, uszy, w nos i usta.

Ale podróżny nie zważał na to, zajęty utrzymaniem równowagi. Siedzenie co chwilę wymykało się z pod niego, a wreszcie grochowiny rozlały się tak, że pan Dudkowski musiał klęknąć w bryczce, trzymając się obu rękami krawędzi. Do kurzu, trzęsienia, podrzucania i tym podobnych dolegliwości fizycznych, dołączyły się jeszcze moralne. Najprzód koń, idąc po jednej stronie dyszla, wciąż spy-

chał bryczkę na rów przydrożny, gdzie według przewidywań pana Dudkowskiego, można było utonąć. Powtóre, należało przejechać sosnowy laszek, w którym nowy ziemianin obawiał się rozbójniczej napaści ze strony niechętnych mu furmanów. To też zdarzały się w ciągu téj krótkiej zresztą podróży chwile, podczas których pan Dudkowski tracił wszelką nadzieję odzyskania sił na świeżem powietrzu i czuł niedającą się opowiedzieć tęsknotę do Warszawy. Parę razy chciał krzyknąć: zawracaj! ale powstrzymała go od tego reszta ambicyi, jaką wywiózł z domu w charakterze właściciela folwarku. Gdy zaś skutkiem gwałtownego nachylenia się bryczki na skręcie, zupełnie już stracił ambicyę i krzyknął: stój!... w blaskach zachodzącego słońca ujrzał szczyt dachu i wierzchołki topoli, które otaczały jego folwark.

Niebawem zajechali przed dom, a w sieni ukazała się Małgorzata śmiejąca się i płacząca naprzemian. Zdziwiło to pana Dudkowskiego. Gdy więc żydek znosił mu rzeczy do pokoju, zapytał służącą—co to znaczy?

— Ach, panie! — mówiła kobieta — cóż to za przeklęta wieś... Ledwie tu wysiadła, zaraz przyszedł jakiś obdartus na egzekucyę od wójta gminy i takie wyrabiał brewerye, żem musiała mu dać dwa złote. Potem, krowa wyszła mi w pole i zabrali ją do dworu, stąd o dwie wiorsty. Potem, kiedym po-

szła kupić dla pana mięsa, to mi dali taką pieczeń cielecą jak z trupa, że jój w domu utrzymać nie można było i jeszcze wzięli po złotemu za funt. Ale najgorsze, panie, te dzieciiska chłopskie. Włóżą do ogrodu po kilkoro i rwą maliny, porzeczeki, agrest jak u siebie. A kiedy na nich zaczęły krzyczeć, to, gałgany rzucają kamieniami!..

Panie!... — kończyła wierna sługa, szlochając — przez dziesięć lat w Warszawie tylem złego nie doznała, co tu przez dwa dni... A jakie stare masło nam sprzedali!..

Pan Dudkowski uspokajał Małgorzatę i zapewniał, że wszystko będzie dobrze, choć sam czuł wielki niepokój.

W tej chwili zbliżył się furman z czapką w rękę.

— Cóż ci się należy? — zapytał pan Dudkowski.

— Rubelka — odparł żydek niedbale. Ale ja tu mam jeszcze do wielmożnego pana interes...

— Jakto, rubla za ten kawałeczek drogi, taką taradajką i takim koniem?...

— To stała cena — odparł żydek — i nawet nikt się nie targuje.

Mówił z taką niezachwianą pewnością, że pan Dudkowski wypobył woreczek i z bólem serca dał furmanowi rubla.

— A ile tyś zapłaciła od stacy?... — spytał machinalnie kucharki.

— Czterdzieści groszy!...

— Oszukałeś mnie, żydzie! — krzyknął pan Dudkowski.

— Niech Bóg zabronił... Ale przecie co innego sługa, a co innego wielmożny pan. Jabym się wstydział powiedzieć czterdzieści groszy takiemu panu, co ma kamienicę w Warszawie i grunta u nas..

Pan Dudkowski umilknął.

— Chciałem jeszcze prosić wielmożnego pana — ciągnął żydek — żeby pan swój ogród wypuścił w arendę jednemu tutaj żydkowi...

— Ja nie wypuszczę ogrodu w arendę... — odparł zimno pan Dudkowski.

— Dla czego pan nie wypuści? — zdziwił się żydek. — Przecie ten ogród był co roku w arendzie...

— Nie wypuszczę.

— Nu, to co pan z niego będzie miał? Tu wszystko rozkradną.

— Nie bój się, gdzie ja jestem, tam będzie dozór — odparł pan Dudkowski wyniosłym tonem i wszedł do pokoju.

Ledwie zdjął podróżny kitel, już żydek ukazał się w oknie i mówił przez otwarty lufcik:

— Proszę pana, niech pan takie głupstwo nie robi i biednym żydkom chleba nie odbiera. Coż to, pan sam będzie pilnował ogród?..

— Wynoś się.

Żyd jeszcze powstał, wreszcie odszedł, mrużąc:

— Oni tu i pana ukradną...

Pan Dudkowski chciał się umyć. W tym celu udał się do kuchni i—tam znowu zobaczył furmana, który, stojąc w sieni, rzekł:

— Niech wielmożny pan nie upiera się. Ten żydek da panu zaraz jutro dwadzieścia pięć rubli...

— Ale idź do dyabła!... — krzyknął, już rozgniewany pan Dudkowski i wypchnął furmana za drzwi.

Potem umył się i orzeźwiony kazał sobie podać talerz kwaśnego mleka z razowym chlebem, wedle przepisu lekarzy. Lecz, gdy wszedł do jadalnego pokoju, zastał przy drzwiach furmana, który mówił:

— Bo może wielmożny pan nie chce temu żydkowi wypuścić w arendę, to ja znam drugiego, który także chce wziąć ogród. On by nawet dał wielmożnemu panu trzydzieści rubli...

Pan Dudkowski uniósł się.

— Małgorzato!—krzyknął nadludzkim głosem — sprowadź mi tu policyę...

Furman stropił się.

— Na co policyę? — rzekł spokojnie — ja i tak pójdę... Chciałem panu wygodzić, nu, ale kiedy pan woli sam pilnować ogrodu, to co ja zrobię?... Dobranoc panu.

I odszedł, tym razem na dobre, gdyż wiedział, że

o kilkadziesiąt kroków stąd, mieszka wachmistrz straży ziemskiej, do którego czuł antypatyę.

Zawziętość nie leżała w naturze pana Dudkowskiego. Jak wszystkie dusze szlchetne, umiał on nagle wybuchnąć i szybko uspokajać się. Przeszedłszy się więc parę razy po jadalni, której umeblowanie składało się ze stołu, dwu krzeseł i wielkiego kufra, zasiadł do kolacyi.

Chleb razowy był trochę ościsty i może zanadto kwaśny, a mleko podeszło serwatką i miało smak zdradzający długie przebywanie w wilgotnej piwnicy. Mimowoli przyszły na myśl panu Dudkowskiemu wesołe kolacye w Warszawie, gdzie o téj porze mógł wypić doskonałej herbaty, zjeść parę gatunków zimnego mięsa, przysłuchiwać się dowcipnym rozmowom młodzieży, otaczającej jego żonę—i westchnął. Trwało to jednak bardzo krótko. Przypominał sobie bowiem, że dziś właśnie zaczyna się dla niego epoka odpoczynku i kuracyi mleczno-owocowej, po której odmłodzony, wzmocniony na duszy i ciele, wróci do Warszawy objąć napowrót stanowisko pana domu.

Małgorzata weszła zebrać naczynie.

— No i cóż — spytał pan Dudkowski, wykałając zęby po mleku. Pyszna miejscowość, nieprawda?.. Czegóż się tak krzywisz?..

Kucharka, zrobiwszy kilka wysileń w celu opanowania się, wybuchła głośnym płaczem.

— Czyś zwaryowała? — rzekł pan Dudkowski, powstając z krzesła.

— Ach, paniel — jęknęła — jak mi tu smutno, jak mi tu tęskno... Niéma do kogo gęby otworzyć, wszyscy tacy ordynarni... A najwięcej żal mi tego Feliksa, co na pierwszym piętrze froterował podłogę, bo mi dziś akurat śniło się, że spadał z jakiegś wieży i że go złapała nasza sklepikarka.

Pan Dudkowski włożył ręce w kieszenie.

— I ty myślisz, głupia, że on się z tobą ożeni?..

— Powinien się ożenić, ale się nie ożeni, jeżeli ja uschnę z płaczu w téj zapadłej dziurze, gdzie nawet porządne mięsa nie kupi.

Panu Dudkowskiemu przemknęło przez głowę że nim tu odzyska siły i małżeńską powagę, może pierwój stracić wierną sługę. Unikając zatem dalszych objaśnień wyszedł do ogrodu.

Był to najcenniejszy klejnot jego majątku. Wieczór nie pozwalał przypatrzeć się wszystkim pięknościom ogrodu, ale za to oblewał go jakimś tajemniczym urokiem. Panu Dudkowskiemu zdawało się, że miejsce to niéma granic, że drzewa są wyższe, a maliny i porzeczki gęstsze niż były w rzeczywistości. Pierwszy raz od bardzo dawna odetchnął pełną pierśią, ciekawie słuchał dalekiego szczekania psów i grzechotania żab. Duszę jego owładnęły nieznanne dotychczas pragnienia. O, jakżeby chciał zobaczyć tu żonę, córkę, wszystkich swoich lokatorów!.. Z jaką

przyjemnością, wsłuchany w wiejskie odgłosy, wycinałby z księgi sznurowej kwity, na opłacony pobyt w jego folwarku!.. To nie podobna, ażeby w tak czarującym miejscu nie dało się wznieść kilku domków na letnie mieszkania...

W tem o parę kroków od siebie usłyszał szmer. Jakieś cienie wynurzyły się z pomiędzy agrestu i poczęły uciekać w głąb ogrodu.

— Złodzieje!.. — krzyknął pan Dudkowski. — Łapaj!..

Pobiegł naprzód, lecz tylko zobaczył, że cienie przeskakują na drugą stronę płotu.

— Dam ja wam, łotry!..

W tej chwili odezwał się jakiś głos, niby odległe echo. Wymówił on przeciągłym, śpiewającym tonem trzy wyrazy, z których pan Dudkowski pierwszego wprawdzie nie dosłyszał, lecz odgadnął go po dwu innych.

— Gałganie jakiś!..—krzyknął pan Dudkowski, nie posiadając się ze wściekłości.

Chwila milczenia i... Powiew ciepłego wiatru znowu przyniósł panu Dudkowskiemu te same trzy słowa, wymówione czysto i wyraźnie..

Właściciel folwarku nie czekał na nową edycję wykrzykników, lecz prędko zawrócił do domu. Wszedł do kuchni, gdzie pod sufit sięgające łóżko słała sobie Małgorzata i kazał jój iść po wachmi-strza straży.

Kucharkę zdziwił ten nadzwyczajny objaw energii. Nie pytając się jednak o powód, wzięła czemprędzej okrywkę od pani, pasterkę od panny i parasolkę od guwernantki i znikła na ciemnym dziedzińcu.

Wkrótce wróciła, donosząc, że wachmistrz zaraz przyjdzie. Zaś w pół godziny później ukazał się przedstawiciel siły zbrojnej, otyły, spotniały, z szablą zaplątaną między rzemienie, z rewolwerem w olstrze, pytając co się stało?

Pan Dudkowski otworzył i zamknął szufladę stolika, a potem długo i życzliwie uścisnął dłoń przybyłego, mówiąc:

— Mój panie drogi, co ja tu mam zgryzot...

— No, to się załatwi. Cóż takiego?

— Z gminy nasłali mi jakąś egzekucję...

— Jedną?... No, to pan zapłać co się należy.

— Krowę mi aresztowali...

— Była w szkodzie. No, ale to nic. Pan ich wynagrodzi za straty i oddadzą.

— A najgorsza rzecz, że jakieś łotry okradają mi ogród...

— Tak, tu nie brakuje złodziei. Ja sam po całych dniach biegam za nimi, ale cóż... Ja pójdę za tymi, co włamują się do domów, a inni tymczasem okradają stajnię...

— Ten ogród—mówił pan Dudkowski—to cała moja przyjemność, to moje zdrowie...

— Bieda!...—westchnął strażnik.

— No, i co tu robić?..

Wachmistrz zamyslił się.

— Najpierw trzeba go dobrze ogrodzić. Potem, ja im surowo zakazę, żeby tu nie wchodzili. No, a potem — jak pan złapie którego, to niech go pan skarci domowym sposobem, tak we cztery oczy...

— A może by zapozwać łotra do sądu?... — zapytał pan Dudkowski, z miną człowieka, który zrobił wielki wynalazek.

Wachmistrz pokiwał głową.

— Widzi pan—rzekł—ja zaraz poznałem, że pan jest człowiek rozumny i umie z ludźmi rozmówić się po ludzku. Więc radzę, niech pan da pokój z procesami. Do policyi owszem. Policya, to jak rodzona matka, ona pana wysłucha, tamtemu da odrazu w zęby i on się uspokoi. Ale jak pan wystąpi z procesem, a jeszcze dostanie się w ręce tutejszym adwokatom, no—to bądź zdrów!

Pan Dudkowski postanowił usłuchać rady i pożegnał poczciwego wachmistrza, który rzekł na odchodne:

— Ot, pan kładzie się spać, a ja muszę zaraz jechać w jedno miejsce, gdzie podejrzewam, że będą dziś kradli. Taka nasza służba i cóż robić. Dobranoc panu!

Wysłuchawszy tych objaśnień, pan Dudkowski istotnie położył się spać. Doświadczył w ciągu dnia

tylu wzruszeń, że niebawem zasnął jak kamień. Ale podróż i świeże powietrze orzeźwiły go i miał sny bardzo przyjemne. Śniło mu się, że odmłodził, że może biegać, skakać, wdrapywać się na latarnie, jak to robił, mając lat dwadzieścia. Złudzenie było tak wielkie, że, gdy się ocknął, począł szukać zapalek, a nie mogąc ich znaleźć, zaczął bić pięścią w ścianę do kuchni i wołać Małgorzaty.

Formalnie był odurzony swoim przywidzeniem; ręce mu się trzęsły z radości.

Czujna służąca niebawem weszła ze świecą, wstydliwie zasłaniając włóczkową chustką braki swojej garderoby. Zdawała się być zdziwiona i zaniepokojona, choć trwogi nie było w jej głosie.

— A co panu?.. — zapytała łagodnie, zasłaniając ręką świecę.

Pan Dudkowski siedział na łóżku.

— Co?... co?... — mówił, nagle przebudzony. Coś mi się zdawało, ale... już nic... Możesz iść spać Małgorzato.

— Także dyabli nadali! — mruknęła kucharka, mocno zamykając drzwi za sobą.

W kilka minut później pan Dudkowski usłyszał, że Margorzata szlocha i szepece:

— Biednaż moja dola, po com ja tu przyjechała!..

Potem pan Dudkowski usłyszał pianie jedyne

koguta na folwarku i — znowu zasnął, tym razem aż do rana.

Pierwszą rzeczą, którą pan Dudkowski usłyszał zrana, był lament Małgorzaty. Kucharka już nie płakała, ale wprost krzyczała w niebogłosey. Chcąc ją zgromić, pan Dudkowski ubrał się śpiesznie i jak nawałnica gniewu wybiegł na podwórze. To jednak o czem dowiedział się wywarło kojący wpływ na jego wzruszenie. Okazało się bowiem, że téj nocy ukradziono pień do rąbania drzewa z pod szopy, stółek z sieni, balię z zamkniętej sionki przy kuchni, a wreszcie—koguta, tego koguta, którego pan Dudkowski wprawdzie nie widział, lecz pianie słyszał o północy.

Wobec tylu katastrof właściciel folwarku domyślił się, że czujny wachmistrz przez całą noc musiał ścigać złodziei w innej wsi, skoro tu, prawie pod jego boki, dokonano takiej rozpusty.

Bardzo zgnębiony wyszedł pan Dudkowski na ogród, lecz i tu nic pocieszającego nie znalazł. Krzaki agrestu, malin i porzeczek były powyrywane z korzeniami; śliwy, okryte gęstym, lecz niedojrzałym owocem — połamane, a to samo powiedzieć można o gałęziach grusz i jabłoni.

Wobec tylu klęsk pan Dudkowski nie upadł na duchu; owszem jak wszyscy ludzie wielkiego serca uczuł, że budzą się w nim drzemiące dotychczas zapasy energii. Mileżąc, wrócił do kuchni i spoj-

rzawszy na Małgorzatę wzrokiem, w którym malowało się nieugięte postanowienie, rzekł grobowym głosem:

— Przygotuj mi garnczek rozrobionego wapna i nieduży pędzel. Niech nareszcie dowiedzą się te lotry, że jestem w domu.

Nic dziwnego, że w téj chwili, zahukany posiadacz kamienicy w Warszawie wydał się kucharee wspaniałym. Szybko rozrabiając wapno, łamała sobie głowę nad tem, że gdzieś już widziała w życiu podobnie groźną postać. Nagle przyszło jój na myśl, że takim był Królikowski w roli zdradzonego męża, w chwili kiedy chce zerwać z rodziną swój żony, zabić ją i jój kochanka, przekląć dziecko, co do pochodzenia, którego nie miał pewności i sam udać się na tułaczkę.

Wapno już było gotowe. Pan Dudkowski zabrał garnczek i pędzel — i, dramatycznym krokiem, wyszedł na zewnątrz swego ogrodu, gdzie stał chyłący się do upadku parkan. W tem miejscu cała wieś mogła widzieć nowego właściciela folwarku i zrozumieć jego intencye.

Plan pana Dudkowskiego odznaczał się genialną prostotą. Nieszczęsny ziemianin chciał zabezpieczyć się od kradzieży i dać pierwszy znak swojej czujności za pomocą stosownego napisu. Wziął więc do ręki pędzel z wapnem i na ciemno-szarych deskach parkanu ogromnemi literami zaczął malować słowa:

„Zabrania się wchodzić do ogrodu pod karą...”

W téj chwili od strony wsi zbliżył się do niego jakiś człowiek, ogromnej budowy, z twarzą czerwoną i trędowną. Ubrany był w surdut czarny, świecący ze starości i mocno wyszarzane spodnie, których kolor mógł stanowić przedmiot poważnego sporu przynajmniej dla trzech istniejących w kraju stronictw.

— Dzień dobry szanownemu panu! — rzekł z afektacją przybysz, do pana Dudkowskiego, zdaleka zdejmując kapelusz, którego powierzchowność stanowczo ubezpieczała od kradzieży.

Szanowny pan, widzę—mówił nieznajomy powoli, gardłowym głosem — jako dobry gospodarz troszczy się o zabezpieczenie swojej własności. Niestety! biedny nasz lud jest tak zdemoralizowany ostatnimi wypadkami, że tylko to szanuje, nad czem władza i sąd bezpośrednio roztoczą opiekę...

— Co to za dyabeł? — pomyślał pan Dudkowski, przysłuchując się napuszonej mowie, jaką dotąd można było słyszeć tylko na odczytach.

— „Zabrania się wchodzić do ogrodu pod karą,” ciągnął nieznajomy, czytając napis na parkanie. Piękna myśl, szkoda tylko, że nie powiedziano: pod jaką karą i z jakiego paragrafu?

— Rozumie się, że pod karą bata—odezwał się pan Dudkowski, cieniując swój napis.

Nieznajomy pokiwał głową.

— Chce pan wskrzesić — rzekł — nasze piękne tradycje. Niestety! ostatnie wypadki zadały im cios śmiertelny, a dziś, rodzaj i wysokość kary nie zależą od strony pokrzywdzonej, lecz od wyroku sądowego. Zresztą, gdyby nawet ten napis oznaczał jakąś domową karę, wymierzoną poufnie, bez świadków, co zwykle wymyka się z pod kontroli sądu, to jeszcze i wtedy pożytek z napisu będzie mały, ponieważ ci, do których jest wystosowany, odeztać go nie potrafią.

Pan Dudkowski z zajęciem przypatrywał się nieznajomemu, którego logiczna wymowa dziwnie kojarzyła się z zapachem wódki. Istotnie, jak tu pisać ostrzeżenia do osób, które nawet liter nie znają?...

— Nie zastanowiłem się! — mruknął. — Cała robota na nic.

— Owszem—odparł nieznajomy—robota przyda się, jeżeli ją podeprze pan zrozumiałym symbolem. Dla tego radziłbym z obu stron ogłoszenia wymalować ręce, które trzymają dyscypliny. Nasz chłopiec pojmie to, a przykrości mieć pan nie będzie, ponieważ każdy ma prawo na swym parkanie, malować co mu się podoba, byle obraz był legalny i przyzwoity.

Zachwycony pan Dudkowski już malował olbrzymią rękę, a w niej jeszcze większą dyscyplinę.

— Nie wiedziałem, że pan tak dobrze radzi — rzekł do nieznajomego.

Ten uśmiechnął się.

— Niestety! — odparł — obawiam się, że pan nie-raz będzie tu musiał korzystać z moich usług. Byłem niegdyś komornikiem w Warszawie, lecz po ostatnich wypadkach straciłem posadę i musiałem przenieść się na prowincję między lud, gdzie jestem adwokatem przy sądach gminnych.

O ile zaś znam sytuację tego folwarczku, myślę, że będzie pan miał z nim dużo kłopotów.

— Co pan mówisz?... — wykrzyknął pan Dudkowski i na chwilę zaprzestał malować.

— Niestety!... Już dziś ma pan w gminie sprawy — za brak narzędzi ogniowych, za niedostarczenie szarwarku i stójki, za nienaprawienie mostka. Oprócz tego będzie pan miał proces za krowę, która weszła w szkodę, a pańska służąca za obelgi wyrządzone sołtysowi, który przyniósł palet egzekucyjny. Dalej, był pan dzisiejszej nocy okradziony, co z konieczności pociągnie za sobą stosunki z sędzią śledczym. Wszystkie te kwestye wymagają biegłego doradcy, lecz nie śmiem się panu narzucać. W każdym razie dowiedzieć się pan o mnie może u arendarza, który, choć żyd, jest jednak, jak tego dowiodły ostatnie wypadki, człowiekiem szlachetnym.

Na chwilę zamilkł, a następnie uchylając obszarpanego kapelusza, rzekł:

— A teraz żegnam i polecam się pańskiej pamięci.

Odszedł w stronę karczmy, a pan Dudkowski machinalnie rysował drugą rękę z dyscypliną, zdziwiony i zamysłony. Wymowa adwokata i jego pełne taktu zachowanie, imponowało mu, choć był rodzonym warszawiakiem. Przypomniawszy sobie jednak, co wachmistrz mówił o tutejszych adwokatach i dziękował niebu, że nieznajomy już go opuścił.

— Wymowny bo wymowny—myślał pan Dudkowski—ale wódkę od niego czuć i musi być hultaj.

Już ty mnie nie weźmiesz!—dokończył w duchu, postanawiając wszystkie interesy załatwić osobiście albo przez wachmistrza. Pan Dudkowski bowiem, miał do niego zaufanie, dzięki ciągłym stosunkom z rewirowym i milicyantami w Warszawie.

— Z tymi przynajmniej wiem jak gadać — mruknął.

Tymczasem na drodze, kilkadziesiąt kroków od ogrodu, zaczęli się gromadzić widzowie, ciekawi, co nowy właściciel folwarku maluje na swym parkanie. Większą część zebranych stanowiły dzieci; nie brakło jednak i kobiet, a i chłopcy od czasu do czasu zatrzymywali się w gromadzie, nie tyle po to, ażeby się czegoś dowiedzieć, ile, ażeby pogapić się.

Między tłumem kolorowych fartuchów, słomianych kapeluszy, brunatnych sukman i szarych koszul, uwijał się człowiek w sztywniej czapce z dasz-

kiem w długim paltocie, z rzadkim zarostem na twarzy, któremu, jakby dla kompensaty, towarzyszyły bujne i nieuczesane włosy na głowie. Mężczyzna coś tłumaczył zebranym, przeplatając rzecz swoją wykrzyknikami, między którymi, zdawało się panu Dudkowskiemu, że słyszy wyrazy: „prawdziwy szlacheć,” bo dobrze nie rozumiał.

Gdy wizerunek drugiej ręki z dysejpliną był już ukończony, a pan Dudkowski, kontent ze swego dzieła, zabierał się do powrotu z pustym garnkiem i przemoczoną pędzlem, człowiek w długim paltocie zbliżył się do niego i rzekł, bez żadnych wstępów:

— Jak to zaraz widać, co pan szlacheć. Ledwie pan przyjechał, a już pan maluje baty...

— A cóż to, nie wolno? — spytał dumnie pan Dudkowski, nie pewny jednak, czy wolno.

— To nie do mnie należy, co wolno, a czego nie wolno — odparł nieznajomy. — Ja tylko dziwię się, że państwo, ile razy mają rzecz z chłopem, zaraz muszą mi przypominać bat. Ja jestem pięć lat nauczycielem i jeszcze palca nie skrzywiłem na żadne dziecko, a pan, choć dopiero wczoraj przyjechał, już dziś wymalował sobie baty na płocie... Znać szlacheć...

Panu Dudkowskiemu tak pochlebił tytuł szlachećca, że, zamiast wracać do domu, wdał się w gawędę z liberalnym człowiekiem, mówiąc:

— Tere... ferel... Cóż za związek ma bat ze szlachectwem.

Gość brzydko uśmiechnął się.

— Ja raz widziałem — mówił ożywiony — herb waszej wystawy rolniczej. No i patrzę, a tam, między grabiami i łopatami, jest bat...

— Cepy!... cepy!... — oburzył się pan Dudkowski.

— No, bo nie wypadało w dziewiętnastym wieku tak otwarcie malować bata...

Potem — ciągnął nieznajomy — znalazłem raz na ulicy spinkę od mankietu jakiegoś hrabiego i na niej znowu patrzę — jest taka hrabska czapeczka okrągła, z daszkiem i — znowu bat.

— Ależ to dzokiejska czapka i bat na konie!... — zawołał pan Dudkowski.

— Niech i tak będzie — mówił gość, śmiejąc się. Ale przecie Mickiewicz dlatego został mianowany największym poetą, że chwalił i rekomendował bicie batami...

— Bajki! — ofuknął pan Dudkowski, wahając się jednak w duszy. Gospodarowanie kamienicą tyle mu zabierało czasu, że nie bardzo wiedział o tem, co Mickiewicz zachwalał i rekomendował.

— Zawsze bat i bat! — dodał nieznajomy — i dla tego kto zechce chłopca usunąć z pod bata, ten musi usunąć szlacheca...

— Ehe! — daj mi pan spokój ze swemi dowodze-

niami—oburzył się pan Dudkowski. Przyszło mu na myśl, że nieznajomy chce go wciągnąć do jakiegoś antyspołecznej propagandy, której się bardzo lękał.

Rozeszli się bez pożegnania. Mężczyzna w palatocie śmiejąc się ironicznie, a pan Dudkowski postanawiając bronić swego ogrodu przeciw wszelkim napasćiom.

— Nie podobało im się to—mruzczał—że z dniem dzisiejszym położyłem koniec ich gospodarce. Gdybym się o tydzień spóźnił, nie zostałyby ani krzaczka w moim ogrodzie!...

Była już blisko dziesiąta i pan Dudkowski z wielką przyjemnością dowiedział się od Małgorzaty, że śniadanie gotowe. Ruch na świeżem powietrzu, obok innych szlachetnych skłonności, obudził w nim apetyt. Wypił dwie szklanki kawy i zjadł dwie ogromne *chały* z masłem, dziwiąc się mimochodem, że na wsi, w ojczyźnie nabiału, śmietanka przypomina zwarzone mleko, a masło trąci łojem.

Przy ostatnich kąskach uczuł znowu tęsknotę za ludźmi. Było mu ciężko, może dlatego, że nie widział swoich lokatorów, a może dlatego, że nie wymyślał stróżowi i sam nie został zbureczony przez małżonkę, która zawsze zrana miała kwaśny humor i skarżyła się na ból głowy. Wspomnienia tak wyczerpały duchowe siły pana Dudkowskiego, że zataczył się na łóżko i przespał do dwunastój.

O tej porze uczuł znowu głód i wyszedł do ogro-

du rozpocząć kurację owocową. Miał ochotę na maliny ze śmietanką i z cukrem.

Ledwie jednak postąpił parę kroków między zielonym gąszczem, usłyszał szmer i tętent i ujrzał na prawo i na lewo, przed sobą i za sobą, w malinach i w porzeczkach wielką liczbę główek z lnianymi włosami, słomianych kapeluszy i dziecięcych twarzy, poplamionych, szczególnie w okolicy ust, sokiem jagód.

Gniew opanował pana Dudkowskiego, tembardziej, że nietylko ci szkodnicy, którzy go najpierw spostrzegli, uciekali sami, ale jeszcze nawoływali innych, mniej uważnych, czy też bardziej zatopionych w malinach. W dodatku przypomniawszy sobie szpetne propozycje, jakie robili mu wczoraj wieczór.

Spłoszone dzieci pędziły jak stado wróbli, a za nimi pan Dudkowski, jak rozjuszony byk, wrzeszcząc: „stójcie łajdaki, bo strzele!..“ Groźba ta zamiast pohamować, przyspieszała ich bieg i już ścigający myślał, że nie pochwyci ani jednego jeńca, gdy nagle o parę kroków od siebie ujrzał chłopaka.

Dzieciak nie mógł uciekać, bo był kulawy, upadł więc twarzą między zagony i zamknął oczy, przekonany, że ponieważ sam nie widzi pana Dudkowskiego, zatem pan Dudkowski i jego nie powinien zobaczyć.

Prawie w tem samym miejscu leżał świeży pręt, który właścicielowi ogrodu wydał się narzędziem

Opatrzności. Schwycił go szybko i rzucił się na chłopca.

Biedny szkodnik na seryo pomyślał o ucieczce, ale było zapóźno. Czuł już na swym karku kościste palce, a o parę stóp niżej karku—giętkie, lecz twarde dowody oburzenia pana Dudkowskiego. Nowy ziemianin z początku wywijał opatrznościowym prętem niezbyt energicznie, jakby wahając się. Im jednak głośniej krzyczał chłopak, tem pan Dudkowski machał kijem wprawniej, a nawet zadziwiająco biegle. Doszło do tego, że stracił wszelką miarę i liczbę. Zdawało mu się, że w potężnej lewicy trzyma wszystkich szkodników, którzy mu rabowali ogród i że swoim prętem wydobędzie z nich każdą zjedzoną malinę i porzeczkę, tak potrzebne dla jego zdrowia.

— Tak u nas w Warszawie całują, zbrodniarzu!... wykrzykiwał zasapany pan Dudkowski.

Nagle spostrzegł, że oprócz krzyku chłopca i uderzeń pręta, słyszy jeszcze inne głosy. Odwrócił głowę i z drugiej strony niskiego płotu, zobaczył gromadę dzieci i ludzi dorosłych, którzy przemawiali do niego niezwykle podniesionym tonem. Była tam jakaś uboga kobiecina płacząca w niebogłose, jakiś żydek w marynarce, który zwoływał innych, a nawet olbrzymi adwokat z trędowatą twarzą, który machając rękoma jak kolejowy sygnał, krzyczał:

— Na Boga! co pan robi?... Ależ to straszna odpowiedzialność!... To grozi zesłaniem!...

W dobrem sercu pana Dudkowskiego zbudziła się litość. Już miał puścić chłopca; uczuł nawet potrzebę pogłaskania go, a nawet ofiarowania mu kilku groszy na bułkę, gdy w tem — ktoś z tyłu rzucał się na niego samego i wyrwał mu z rąk chłopca i pręt.

Był to nauczyciel.

— Ot, prawdziwy szlachcie! — mówił napastnik z szyderczym śmiechem. Niedarmo pan dziś zrana malował batogil...

No będziesz-że pan miał teraz batóg... Zaraz pojedę z chłopcem i świadkami do śledczego...

Hej! ludzie — zawołał do gromady — widzieliście jak bił tego nieszczęśliwego kalekę?...

— Jakże... widzieliśmy...

— I zaświadczycie o tem przed sądem?

— Zaświadczymy! — wrzasnął żydek w marynarce, reszcie bowiem nie uśmiechała się rola świadków.

— Pan adwokat także wszystko widziałeś?

— pytał dalej nauczyciel, przenosząc chłopca przez płot.

— Niestety! — odparł adwokat — mam krótki wzrok...

— Przecie sam pan wołałeś, ażeby dał spokój? oburzył się nauczyciel.

— Boże uchwaj! — odparł adwokat. — Ja, widząc, że pan chcesz się rzucić na tego obywatela, ostrzegałem pana...

Nauczyciel już z drugiey strony płotu, zwrócił się do pana Dudkowskiego.

— Dowidzenia! u sędziego śledczego!... Zaraz tam jadę...

Obity chłopiec nie wylał z pewnością tylu łez, ile w téj chwili wylało się potu z czoła pana Dudkowskiego. Popędliwy obrońca ogrodu patrzył oniemiały na oddalającego się nauczyciela z gromadą i uczuł trwogę. Słyszał on coś, że sądy surowo karzą za pobicie i rozumiał, że żaden jeszcze akt samowoli nie spełnił się w tak sprzyjających dla sprawiedliwości warunkach, jak niniejszy. W biały dzień, przy kilkunastu świadkach, obił chłopca, w dodatku kulawego, a co gorsza — tak silnie protegowanego...

Patrząc nieruchomemi oczyma na gromadę, spostrzegł, że oddzielili się od niej adwokat i nauczyciel i żywo rozprawiali na stronie. W téj chwili pan Dudkowski uczuł gorącą życzliwość dla adwokata; domyślił się bowiem, że rozprawa toczy się o niego — może o jego wolność i życie...

Bardzo przygnębiony wrócił do domu, gdzie zastąpiła mu drogę Małgorzata.

— Co pan najlepszego zrobił z tym chłopcem?.. mówiła poczciwa kobieta. — A toż oni pana zgubią,

zaaresztują... Trzeba zaraz telegrafować do Warszawy po panią...

O nieszczęście!..

Nim pan Dudkowski zdążył sformułować odpowiedź uspakajającą, wbiegł olbrzymi adwokat i szepnął:

— Słóveczko mam do szanownego pana, na stronie.

Po skórze pana Dudkowskiego zaczęły biegać niewidzialne mrówki. Spełnił jednak życzenie adwokata i zaprowadził go na drugą stronę domu.

Tam gość, rzuciwszy w koło okiem, zaczął:

— Panie, trzeba działać. Sędzia śledczy jest człowiekiem nadzwyczajnej zacności, ale, niestety! ma jedno uprzedzenie. Ze szczególną usilnością ściga tych, którzy znęcają się nad dziećmi...

Tu adwokat westchnął.

— Trzeba mu przyznać — ciągnął dalej — że w tym kierunku ma szczęśliwą rękę. W Kałudze, z jego starań dwu ojców, jeden wuj i jeden opiekun zostali zesłani za udręczenia. U nas — to samo spotkało obywatela, za pobicie dziewczyny folwarcznej...

Pan Dudkowski napróżno usiłował zapanować nad mimowolnymi ruchami szczęki. Drżącym więc głosem przerwał adwokatowi:

— Jakto, panie, więc ja niemam prawa bronić mojej własności?

— Owszem, ma szanowny pan prawo skarżyć przestępców do sądu.

— Ależ nim wypadnie wyrok, to oni mi tymczasem wszystko rozkradną!..

Advokat wzruszył ramionami.

— Tak chce prawo, szanowny panie—rzekł.—
Tą drogą pójdą nasi przeciwnicy.

— Więc oni naprawdę podają skargę?..

Advokat mocno ścisnął go za rękę.

— Boleję—rzekł—nad szanownym panem, ale popełniłbym występki, ukrywając prawdę. Nauczyciel — dodał ciszej — już zamówił dwie furmanki... Najwyżej za dwie godziny pojedą do sędziego: on z chłopcem i felczer z matką... Jutro zaś..

— Co... co jutro?..

— Jutro może pan być aresztowany.

Pan Dudkowski zakręcił się na miejscu, jak postrzelony gołąb.

— Natychmiast jadę do Warszawy!—jękął.

— Na Bogal.. — zawołał advokat — to może przyspieszyć katastrofę.

— Cóż więc robić?..

Advokat rozłożył ręce i milezał.

— Cóż robić, panie!.. — błagał go zrozpaczony pan Dudkowski.

Advokat nachylił mu się do ucha i rzekł:

— Natychmiast pogodzić się...

— Ale jak?

— Wynagrodzić...

W pana Dudkowskiego duch wstąpił.

— Ależ z największą chęcią—zawołał, ściskając obie ręce mecenasa. Może pan zechcesz być pośrednikiem?..

— Jeżeli mi szanowny pan ufa!..—odparł adwokat i skromnie spuścił oczy,

— Więc ileż to, ile?... — pytał gorączkowo pan Dudkowski.

— Starąłem się już wyrozumieć głównego powoda i nawet — udało mi się wytargować najniższą cyfrę...

— Więc ileż to?.. — nalegał pan Dudkowski, sięgając do portmonetki.

— Dwieście rubli.

— Jakto?..—zapytał, cofając się pan Dudkowski. Ja sądziłem, że za parę leciutkich uderzeń, takim przecikiem, będzie dosyć parę... no—kilka rubli...

Adwokat machnął ręką z miną oznaczającą rezygnację.

— Niestety! — rzekł — szanowny pan nie zdaje sobie sprawy z położenia. Za parę godzin będzie już szło nie o pieniądze, ale o pańską wolność, a więc o zdrowie, życie...

— Ależ ja nié mam przy sobie dwustu rubli...

— Szanowny pan może ich dostać od arendarza, czas — ucieka... Nim przyjadą furmanki, mógłbym już mieć stosowny dokumencik...

— Drogi panie!— mówił pan Dudkowski, trzęsąc go za rękę, czy podobna, ażebym ja, na taką prostą babę i takiego małego... takiego malutkiego chłopca, który mnie okradł, wydawał dwieście rubli?...

— Za własną spokojność wyda szanowny pan tę sumkę. Trzeba zaś pamiętać, że oprócz baby i chłopca jest tam felezer i — nauczyciel, nie licząc innych świadków...

Pan Dudkowski upadł na krzesło. Istotnie nauczyciel wydawał mu się złym duchem, którego wypadało odżegnać za wszelką cenę.

— Drogi panie adwokacie, czy nie możnaby zniżyć sumy... To majątek!...

— Szanowny panie — odparł adwokat, kłaniając się — nié mam prawa do pańskiego zaufania, ale... radzę pośpiech...

— A może jabym sam pogadał z nimi?...

— Nie śmiem odradzać, ale boję się, ażeby ten krok nie zepsuł całych układów...

Od gościńca zaleciał turkot wozu. Adwokat spojrział w okno i z oznakami wzruszenia zawołał:

— Panie... bodaj czy już nie zapóźno...

— Co pan mówisz?...

— Jedna fura pojechała...

— Kiedy nie mam pieniędzy...

— Przyszłę panu arendarza... Aby tylko nie wyszedł gdzie...

— Dam sto rubli!..— mówił pan Dudkowski.

— Na nic paniel.. Żałuję, że się do tego wmięszal.

— Sto pięćdziesiąt...

— Oho! jedzie druga furą.

Istotnie, otoczony obłokami kurzu, przemknął na gościńcu drugi wóz.

— Ha! więc idź pan po arendarza—mruknął pan Dudkowski stłumionym głosem.

Adwokat wybiegł, a we drzwiach ukazała się Małgorzata.

— Ach, panie!.. ach, panie!... — zawołała — jak oni pała obdzierają!.. A co na to pani powie?..

— Głupia jesteś! — krzyknął pan Dudkowski — więc lepiej żeby mnie wywieźli?... Podśłuchujesz mnie!...—dodał z gniewem.

Zacna kobieta zalała się łzami.

— Oto zapłata za wierną służbę!—mówiła, łkając. Ja jestem głupia, dlatego, że pan traci pieniądze... O, Boże! teraz żyć nie warto, ani służyć... Ale kiedy się już tak uprzykrzyła panu, więc dobrze... Dziękuję za służbę i zaraz dziś pójdę, gdzie mnie oczy poniosą, a żeby już nie patrzeć na takie gospodarstwo.

— A leć na złamanie karku! — mruknął pan, który czuł w sercu dwieście obosiecznych sztyletów.

Bolesć dotrój sługi, jój szlochanie i trzaskanie drzwiami nie dadzą się opisać.

Do pokoju wszedł arendarz. Był to stary żyd

z brodą siwą, rozdzieloną na dwoje, z długimi pejsami, w pończochach, w dymowym żupanie i aksamitnej krymce. Poważnie kiwnął głową panu Dudkowskiemu i rzekł z flegmą:

— Pan dziedzic ma wielkie zmartwienie z temi gałganami.

— Więc już i pan wiesz o wszystkim?...

— Cała wieś wie. Teraz właśnie kłóci się tam z nimi adwokat, że strach... Musiał nauczyciela ściągać z fury i za kark prowadzić do mego mieszkania. Mało się nie pobili...

— O cóż im chodzi?

— Rozumię się, że o łajdactwo. Nauczyciel chce już trzysta rubli...

Panu Dudkowskiemu zrobiło się bardzo niedobrze. Wskazał arendarzowi krzesło i zapytał:

— Masz pan dwieście rubli?

— Dla pana dziedzica muszę mieć, choć będę miał wielki kłopot z propinatorem, bo to jego pieniądze.

Dziedzic gorączkowo schwycił pióro i papier, zabierając się do pisania rewersu.

— Ileż pan chcesz procentu za tydzień?

Arendarz potrząsnął głową.

— Ja na tydzień nie mogę pożyczać — odparł. — U nas obywatele i nawet chłopcy biorą, co najmniej, na trzy miesiące.

— Ale ja na taki czas nie potrzebuję!...

— To pan dziedzic dla swojej spokojności może oddać za tydzień, ale procent porachuje się za trzy miesiące.

Arendarz mówił tak spokojnie, że pan Dudkowski stracił wszelką energię odporu. Zresztą nie było rady.

— Więc ile chcesz?... — spytał, ściskając zęby.

— Za trzy miesiące po pięć od sta, trzydzieści rubli i żydkowi pięć rubli, razem — trzydzieści i pięć rubli.

— Tyś oszalał! — krzyknął pan Dudkowski. W Warszawie najgorszy lichwiarz za trzy miesiące wziąłby odemnie sześć rubli.

— To niech pan dziedzic posyła do Warszawy — odparł arendarz tonem przyjacielskiej porady.

— Trzydzieści pięć rubli procentu!... — jęknął pan Dudkowski, zaczynając pisać.

— Procentu tylko trzydzieści rubli, a pięć rubli dla żydka...

— Dla jakiego żydka?...

— Dla tego co wczoraj prosił pana dziedzica o arendę ogrodu...

— Co to znaczy?...

— On mój krewny i bardzo wiele stracił przez to, że pan dziedzic nie wypuszcza ogrodu.

— To ten łotr, co mnie przywiózł od kolei za rubla?...

— On bardzo biedny, ma siedmioro dzieci,

swego ojca i matkę żony, a tylko jednego konia — odparł arendarz.

Pan Dudkowski o mało nie zapłakał, nie tyle nad biedą furmana, ile nad własną niemocą.

— Rozbijacie w biały dzień!... Pijawki!.. Wyzyskiwacze!... — mrucał, pisząc rewers na 235 rubli.

— Pan dziedzie gniewa się niepotrzebnie — mówił powoli arendarz. Co ja na panu zarobię, to pan już z góry odbił w Warszawie na jednym moim krewnym, co najał sklep w kamienicy pana dziedzi-
ca. Sklep szedł zawsze po trzysta rubli, a jemu pan dziedzie kazał płacić 600 rubli, drugie tyle..

— Bo pod moim domem jeżdżą w tym roku tramwaye—odparł pan Dudkowski, gryząc wargi.

— Dla mnie pan dziedzie lepszy niż tramway..

— Co innego mieszkanie, a co innego pieniądze... Taki procent to gorzej niż lichwa.

— Dla mnie dwieście rubli, to samo co dla pana dziedzi-
ca sklep. Każdy musi zarobić, a ja przecie nie zarabiam drugie tyle.. — odpowiedział arendarz, wydobywając z kieszeni pakę brudnych bankocetli.

Rewers już był napisany i pieniądze odliczone, gdy ukazał się adwokat, ocierając pot z czoła.

— Napracowałem się!—zawołał — no, ale dzięki Najwyższemu, możemy zakończyć sprawę.

— Padam do nóg panu dziedzicowi—rzekł arendarz, lekko kiwając głową.

— Więc skończone?—zwrócił się pan Dudkowski do adwokata.

— W połowie... — odparł uprzejmie zapytany. Miałem z nimi nie lada kłopot, chcieli już trzysta rubli, a nawet zupełnie zrywali układy. Ale udało mi się uspokoić ich...

— A cóż teraz?

— Teraz szanowny pan złoży pieniądze na ręce wachmistrza, oni złożyli mu już dokumenciek i...

Pan Dudkowski natychmiast wybrał się do wachmistrza. Zbliżając się do jego mieszkania, usłyszał wielki hałas. Jakiś wysoki głos kobiecy wymyślał, a niski bas od czasu do czasu odpowiadał.

— Ty pijaczyno, obżartuchu, niedołego!... — wołała dama. Nikifor już kupił grunta i zebrał dwa tysiące rubli, a ty próżniaku nic... A teraz przy takiej okazji, dają ci ledwie dziesięć rubli...

— No, cicho, cicho... — mówił bas. — Dziękuj Bogu i za to...

— Ja ci dam cicho!.. Każdy grosz przepijasz na stacyi, albo przegrywasz w karty... Mógłbyś choć teraz zarobić z pięćdziesiąt rubli...

— Tobie mówią cicho!...

— Łżesz przedemną, że jedziesz na służbę,

a tymczasem wysypiasz się w karczmach albo u chłopów...

— Milcz, ty!...—krzyknął bas i tupnął nogą.

Po tupnięciu nogą, rozległo się niby parę klasnąć ręką i jednocześnie z sieni domu wybiegł naprzeciw pana Dudkowskiego poczciwy wachmistrz, jakby pchnięty niewidzialną siłą. Miał potargane włosy i niezwykle czerwone oblicze.

— Ach, ty podła baba! .. — krzyknął, ale zobaczywszy gościa, skłonił mu się i dodał nieco zaafektowany:

— Moje uszanowanie panu!... Ot, z babami zgryzota...

W tej chwili między panem Dudkowskim i wachmistrzem warknęło lecące z sieni polano. Wachmistrz obejrzał się niespokojnie.

— Zajdźmy do ogródka — rzekł, pchając gościa za węgiel domu. Ot, prędka kobieta! Dobra, że choć ją do rany przyłoż, ale jak wpadnie w złość, to nie daj Boże...

Pan Dudkowski miał minę człowieka, który nie widzi i nie słyszy.

Weszli do ogródka. Wachmistrz uspokoił się i tylko od czasu do czasu spoglądał w okno, jakby podejrzewając, że stamtąd może wylecieć garnezek.

— No, — mówił wachmistrz — pan także miał kłopot. Szkoda, że mnie tu nie było, ale musiał wyjechać za jednym koniokradem...

— Żebyś pan wiedział, jak mnie zdarli! — żalił się pan Dudkowski. Dwieście rubli!...

— Chłopca trzeba wynagrodzić — odparł wachmistrz — on kaleka. I matka jego biedna wyrobnica...

— Ale ten nauczyciel... — wtrącił pan Dudkowski.

Wachmistrz machnął ręką.

— Uhl panie—westchnął—to taki padlec, że on sam wart więcej niż dwieście rubli. On tu zostawił u mnie dokument od téj kobiety i świadków, że nie mają pretensyi. No i adwokat padlec...

— Adwokat?—zdziwił się pan Dudkowski.

— Bez mała taki, jak tamten, ale strach jaki uczony człowiek... Pan widzi tę figurę kamienną świętego Jana?.. Adwokat z nauczycielem i z felczerelem, od tego świętego wydobyliby pieniądze, gdyby ludzi zabrakło. Już takie padlecy, że — moje uszanowanie!

Pan Dudkowski wziął dokument, wręczył pieniądze i odetchnął spokojniej.

— Ale, ale — przypomniał sobie wachmistrz. — Pańska krowa, co ją w szkodzie zajęli, zdechła na księgosusz i podobno jeszcze inne bydło zaraziła temu obywatelowi. Będzie pan miał nieprzyjemność.

— Niech ich dyabli wezmą! — mruknął pan Dudkowski.

— Chciałem też pana ostrzedz, tylko niech się

pan nie lęka, że na pana nasadzają się dwie bandy: jedna chce dwór okraść, a druga podpalić. Ale już ja będę czuwał...

— Okraść i podpalić?..

— Tak, ale niech pan będzie spokojny. Ja mam na nich oko.

Panu Dudkowskiemu poźółkło, poczerwieniało i poczerniało w oczach. Nagle ogarnął go taki strach, jak gdyby śmierć zobaczył. Blady, pożegnał zdziwionego wachmistrza i szybko pobiegł do domu.

Wpadłszy do kuchni, zawołał do Małgorzaty:

— Zamów konie i zbierz najpotrzebniejsze rzeczy. Dziś jedziemy do Warszawy. Chcą nas tu okraść i spalić...

Tym razem Małgorzata nie okazała najmniejszej wątpliwości i nie uroniła ani jednéj łzy. Zaczęła się pakować.

Nad wieczorem, oddawszy wachmistrzowi klucze domu, pan Dudkowski z wierną służką jechał do kolei.

Na gościńcu zastąpiła mu drogę matka obitego chłopca, mówiąc:

— Może wielmożny pan choć z parę groszy zostawi memu chłopcu za takie bicie...

— Dwieście rubli wam dałem!... — krzyknął zaczepiony.

Kobieta pokiwała głową.

— Oj! oj! — mówiła — żeby mi się choć grosiszek

z tego dostał. A jak ich prosiłam, żeby mnie wsparły, to mi jeszcze dały w zęby...

Pan Dudkowski zamyślił się i — wręczył jój złotówkę, za co obsypała go tysiącem błogosławieństw.

I wrócił do swój kamienicy, po dwudniowym pobycie na wsi. W kilka zaś dni później można było czytać w pismach ogłoszenie:

„Z powodu wyjazdu, sprzedaje się z wolnej ręki folwarczek, z budynkami gospodarskimi w dobrym stanie i pięknym ogrodem, w malowniczym położeniu, w bliskości drogi żelaznej, posiadający wszelkie warunki na letnie mieszkanie...”

RZECHY DZIECIŃSTWA.

Grzechy dzieciństwa.



Urodziłem się w epoce, kiedy każdy człowiek musiał mieć przydomek, choćby niekoniecznie słuszny.

Z tego powodu naszą dziedziczkę nazywali hrabiną, mego ojca jój plenipotentem, a mnie bardzo rzadko Kaziem albo Leśniewskim, ale dość często urwisem, dopóki byłem w domu, albo osłem, kiedym już poszedł do szkół.

Ponieważ napróżno szukałby kto nazwiska naszej dziedziczki w słowniku rodzin arystokratycznych, zdaje mi się więc, że blask jój hrabiowskiej korony nie sięgał dalej, niż plenipotencya mego ś. p. ojca. Przypominam sobie nawet, że tytuł hrabiny był rodzajem pomnika, którym ś. p. mój ojciec uczył radosny wypadek podwyższenia mu pensyi rocznie o 100 złotych. Nasza pani w milezeniu przyjęła

ofiarowaną jej godność, a w kilka dni później ojciec mój awansował z rządcy na plenipotentą i otrzymał, zamiast dyplomu, niesłychanej wielkości wieprzka, po sprzedaniu którego kupiono mi pierwsze buty.

Ojciec, ja i moja siostra Zosia (bom już nie miał matki) mieszkaliśmy w murowanej oficynie, o kilkadziesiąt kroków od pałacu. Pałac zaś zajmowała pani hrabina z córeczką Lonią, moją rówieśnicą, z jej guwernantką, ze starą gospodynią Salusią, tudzież z wielką liczbą garderobianych i panien służących. Dziewczeta te po całych dniach szyły, z czego wyprowadziłem wnioszek, że wielkie panie są od tego, ażeby darły odzież, a dziewczeta — ażeby ją naprawiały. O innych przeznaczeniach wielkich dam i ubogich dziewcząt nie miałem pojęcia, co, w oczach ojca, stanowiło jedyną moją zaletę.

Pani hrabina była młodą wdową, którą mąż dość wczesnie pogrążył w nieutulonym smutku. O ile mi wiadomo z tradycyi, nieboszczyka nikt nie tytułował hrabią, ani on nikogo plenipotentem. Natomiast sąsiedzi z dziwną w naszym kraju jednomyślnością nazywali go półgłówkiem. W każdym razie był to człowiek niepospolity. Zajeżdżał wierzchowe konie, tratował na polowaniach chłopskie zasiewy, a z sąsiadami pojedynkował się o psy i zające. W domu męczył żonę zazdrością, a służbie zatruiwał życie długim, pieprzowym cybuchem. Po śmierci oryginała jego wierzchowce poszły do woże-

nia gnoju, a psy rozdarowano. Świat zaś otrzymał po nim w spadku małą córeczkę i młodą wdowę. Ach! przepraszam, bo został jeszcze olejny portret nieboszczyka, z herbowym sygnetem na palcu i—ów pieprzowy cybuch, który, skutkiem niewłaściwego użycia, wygiął się jak turecka szabla.

Pałacu prawie nie znałem. Raz dlatego, żem wołał biegać po polach, niż wywracać się na ślizgięj posadzce, a powtóre że mnie tam nie wpuszczała służba, bo przy pierwszych odwiedzinach miałem nieszczęście stłuc duży wazon saski.

Z hrabianką, przed mojem wejściem do szkół, bawiliśmy się tylko jeden raz, mając oboje niespełna po dziesięć lat. Przy sposobności chciałem ją nauczyć sztuki łażenia po drzewach i usadowiłem ją na żerdziowym płocie w taki sposób, że dziewczynka poczęła w niebogłoso krzyczeć, za co jęj guwernantka wybiła mnie niebieskim parasolem, mówiąc, że mogłem Lonię zrobić na całe życie nieszczęśliwą.

Od téj pory zbudził się we mnie wstręt do małych dziewcząt, z których żadna nie była w stanie ani łażyć po drzewach, ani kąpać się ze mną w stawie, ani jeździć konno, ani strzelać z łuku, albo rzucać kamienie z procy. W razie zaś bitwy, bez której—cóż znaczy zabawa! prawie każda zaczynała mazać się i biegała do kogoś na skargę.

Ponieważ z folwarcznymi chłopcami ojciec znowu nie pozwalał mi się wdawać, a siostra prawie

całe dni przepędzała w pałacu, więc roslęm i hodo-
dowałem się sam, jak drapieżne pisklę, które po-
rzucili rodzice. Kąpałem się pode młynem albo
w dziurawem czółnie pływałem po stawie. W par-
ku ze zwinnością kota, goniłem po gałęziach wie-
wiórki. Raz, wywróciło mi się czółno i pół dnia
przesiedziałem na pływającej kępie, nie większej od
balii. Raz, przez dymnik wdrapałem się na dach pa-
łacu, tak nieszczęśliwie, że musiano związać dwie
drabiny dla sprowadzenia mnie stamtąd. Innego
dnia całą dobę błąkałem się po lesie, a jeszcze inne-
go stary wierchowiec nieboszczyka dziedzica,
przypomniawszy sobie lepsze czasy, z godzinę pono-
sił mnie przez pola i w końcu — zapewne niechęcący
— przyprawił o złamanie nogi, która zresztą zrosła
mi się dość prędko.

Nie mając z kim żyć, żyłem z naturą. Znałem
w parku każde mrowisko, w polu każdą jamę cho-
mików, w ogrodzie każdą ścieżkę kretów. Wiedzia-
łem o ptasich gniazdach i o dziuplach, gdzie hodo-
wały się młode wiewiórki. Odróżniałem szmer ka-
żdój lipy około domu i umiałem wyśpiewać to, co
wiatr wygrywa na drzewach. Nieraz słyszałem ja-
kieś wiekuiste chodzenie po lesie, choć niewiedzia-
łem, czyje ono? Wpatrywałem się w migotanie
gwiazd, rozmawiałem z nocną ciszą, a nie mając ko-
go całować, całowałem psy podwórzowe. Matka mo-
ja dawno odpoczywała w ziemi. Już nawet pod przy-

ciskającym ją kamieniem zrobił się otwór sięgający pewnie aż do wnętrza grobu. Raz, kiedy mnie za coś obito, poszedłem tam, wzywałem jęj, nadstawiałem ucha, czy nie odpowie... Ale nie odpowiedziała nic. Widać naprawdę umarła.

W owym czasie tworzyłem sobie pierwsze pojęcia o ludziach i o ich stosunkach. W mojej naprzykład wyobraźni plenipotent musiał koniecznie być trochę otyły, mieć rumianą twarz, wąs zwieszony, duże brwi nad siwemi oczami, basowy głos i przynajmniej taką zdolność do krzyczenia — jak mój ojciec. Osoby, zwanęj hrabiną, nie mogłem wyobrazić sobie inaczej, tylko jako wysoką damę, z piękną twarzą i smutnemi oczyma, chodzącą w milczeniu po parku, w białej powłóczystej sukni.

Za to o człowieku, noszącym tytuł hrabiego, nie miałem pojęcia. Podobny człowiek, gdyby nawet istniał, wydawał mi się rzeczą mniej znaczącą od hrabiny, a nawet całkiem nieużyteczną i nieprzyzwoitą. Według moich poglądów, tylko w obszernęj sukni z długim ogonem mógł przemieszkiwać majestat jasnie wielmożności; wszelkie zaś odzienia krótkie, obcisłe, a tembardziej złożone z dwu części, mogły służyć tylko pisarzom prowentowym, gorzelnikom, a w najlepszym razie plenipotentom.

Takim był mój legitymizm oparty na przykazaniach ojca, który nieustannie zalecał mi — kochać i czcić panię hrabinę. Zresztą, gdybym kiedy zapo-

mniał o tych przepisach, dość mi było spojrzeć na czerwoną szafę w kancelaryi ojca, gdzie, obok kwitów i notatek, wisiała na gwoździu pięciopalczata dyscyplina, wcielenie zasad społecznego porządku. Stanowiła ona dla mnie pewien rodzaj encyklopedyi, na którą patrząc, przypominałem sobie, że nie należy drzeć butów, ciągnąć źrebiąt za ogony, że wszelka władza pochodzi od Boga i t. d.

Ojciec mój był człowiek niezmeńczony w pracy, nieskazitelnie uczciwy, a nawet bardzo łagodny. Z chłopów i służby nikogo nie tknął palcem, tylko strasznie krzyczał. Jeżeli zaś był nieco surowy dla mnie, to zapewne nie bez słusznych powodów. Nasz organista, któremu raz wsypałem do tabaki odrobinę ciemniźcy, skutkiem czego przez całą mszę świętą kichał, zamiast śpiewać i wciąż mylił się w graniu, często mawiał, że gdyby miał takiego jak ja syna, toby mu strzelił w łeb.

Dobrze pamiętam to zdanie.

Panię hrabinę nazywał ojciec aniołem dobroci. Istotnie, w jej wsi nie było ludzi ani głodnych, ani obdartych, ani krzywdzonych. Komu zrobiono źle, szedł do niej na skargę; kto był chory, brał ze dworu lekarstwo; komu urodziło się dziecko prosił dziedziczkę w kumy. Moja siostra uczyła się razem z hrabianką, a ja sam, choć unikałem arystokratycznych stosunków, miałem jednak sposobność przekonania się o nadzwyczajnej łagodności hrabiny.

Ojciec mój posiadał kilka sztuk broni, z której każda była przeznaczona do innego celu. Ogromna dubeltówka miała służyć do zabijania wilków, które dusiły cielecia naszój dziedziczki; skałkowy pistolet miał być użyty na obronę wszelkiej innój własności hrabiny, a wojskowy pałasz na obronę jój honoru. Swojój własności i honoru ojciec broniłby zapewne cywilnym kijem, bo cały ów bojowy rynsztunek, co kilka miesięcy pomazany tłustością, leżał gdzieś w takim kącie na strychu, że nawet ja nie mogłem go znaleźć.

Swoją drogą wiedziałem o téj broni i bardzom do niój tęsknił. Nieraz, marzyło mi się, że spełnię taki szlachetny czyn, za który ojciec pozwoli mi strzelić z ogromnego pistoletu, a tymczasem — wymykałem się do gajowych i uczyłem się „wygarniać“ z ich długich pojedynków, które posiadały tę własność, że przy wystrzale wyrządzały bezpośrednią szkodę tylko moim szczękom, nie tykając żadnego stworzenia.

Pewnego dnia, podczas naoliwiania dubeltówki przeznaczonej na wilki, pistoletu na obronę własności i pałasza na obronę honoru hrabiny, udało mi się ukraść ojcu garść prochu, który, o ile wiem, nie miał jeszcze specjalnego przeznaczenia. Gdy ojciec wyjechał w pole, schwyciłem olbrzymi klucz od śpichrza, który posiadał otwór podobny do lufy, tudzież dziurkę z boku i poszedłem na polowanie.

Wielki klucz do połowy nabitem prochem, wspaniałym szczyptę połamanych guzików od niedającej się wymienić części ubrania, przybiłem jak należy pakułami, a na wywołanie eksplozyi wziąłem pudło hubczanych zapalek...

Ledwiem wyszedł za dom, ujrzałem kilka wron polujących na dworskie kaczęta. Prawie w moich oczach jedna ze szkodnic porwała kaczę, a nie mogąc go dość łatwo unieść, przysiadła na obórze.

Na ten widok zagrała we mnie krew przodków z pod Wiednia. Podkradłem się pod obórkę, zatliłem hubkę, wymierzyłem klucz w lewe oko wrony, dmuchnąłem, podpaliłem... Huknęło — jakby piorun uderzył. Ze szczytu obórki stoczyło się już zaduszone kaczętko na ziemię, wrona dotknięta śmiertelną obawą uciekła na najwyższą lipę, ja zaś ze zdumieniem przekonałem się, że w moich rękach z wielkiego klucza zostało tylko ucho, ale za to ze słomianego dachu obory zaczyna wydobywać się niewielki kłębek dymu, jakby kto palił fajkę.

W kilka minut później obórkę, wartująca około pięćdziesięciu złotych, stanęła w ogniu.

Zbiegli się ludzie, przygalopował na koniu mój ojciec, poczem, w asystencyi tych wszystkich dzielnych i uczciwych osób, nieruchomość „wypaliła się — do środka ziemi“ — jak powiedział pan gorzelany.

Przez ten czas ze mną działy się nieopisane rzeczy. Naprzód — pobiegłem do mieszkania i powiesi-

łem na właściwem miejscu — ucho od rozerwanego klucza. Potem — uciekłem do parku z zamiarem utopienia się w sadzawce. W sekundę później — zasadniczo zmieniłem projekt, postanowiłem kłamać jak prowontowy pisarz i wyprzeć się klucza, strzelania i obórki. Gdy mnie zaś schytano — odrazu przyznałem się do wszystkiego.

Zaprowadzono mnie do pałacu. Na tarasie zobaczyłem mego ojca, panię hrabinę w powłóczystej sukni, hrabiankę ubraną dość kuso i moją siostrę, obie płaczące. Potem — klucznicę Salusię, kamerdynera, lokaja, chłopca z kredensu, kucharza, kuchcika i cały rój pokojówek, garderobianych i dziewcząt. Gdym odwrócił oczy w przeciwną stronę, ujrzałem za budynkami — zielone wierzchołki lip, a nieco dalej żółtawo-brunatny słup dymu, który, jakby umyślnie, unosił się nad pogorzelskiem.

W téj chwili przypomniałem sobie słowa organisty, który mówił o konieczności strzelania mi w łeb i wywnioskowałem, że jeżeli kiedy, to chyba dzisiaj spotka mnie śmierć gwałtowna. Spaliłem oborę, zepsułem klucz od śpichrza; siostra płacze, cała służba stoi w komplecie przed pałacem, cóż to więc znaczy?... Patrzyłem tylko: czy kucharz ma swoje fuzyę? do jego bowiem obowiązków należało strzelanie zajęcy, tudzież śmiertelnie chorych zwierząt omowych.

Przyprowadzono mnie do samój pani hrabiny.

Ona spojrzała na mnie smutnemi oczyma, a ja, założywszy ręce w tył (jak to zwykłem był machinalnie czynić w obecności ojca), zadarłem głowę do góry, bo pani była wysoka.

W taki sposób przez kilka chwil przyglądaliśmy się sobie. Służba milczała, a w powietrzu czuć było spaleniznę.

— Zdaje mi się, panie Leśniewski, że ten chłopczyk jest bardzo żywego usposobienia? — rzekła melodyjnym głosem pani hrabina do mego ojca.

— Łajdak!... podpalacz!... zepsuł mi klucz od śpichrza! — odparł ojciec, a potem prędko dodał:

— Upadnij do nóg pani hrabinie, ty łotrze!...

I lekko popchnął mnie naprzód.

— Macie mnie zabić, to zabijcie, ale ja tam ni komu nie będę padał do nóg! — odpowiedziałem, nie spuszczając oka z pani, która zrobiła na mnie dziwne wrażenie.

— Chy!... Jezu... — jęknęła zgorszona Salusia, składając ręce.

— Uspokój się, mój chłopczyku, bo tu nikt nie zrobi ci krzywdy — rzekła pani.

— Aha! nikt... — Niby ja nie wiem, że mi strzelicie w łeb... Przecie mi to obiecał organista! — odparłem.

— Chy!... Jezu... — zawołała po raz drugi klucznica.

— Hańbi moją starość! — odezwał się ojciec. —

Trzy skóry bym z tego gałgana zdarł i posolił żeby go pod swoją obronę nie wzięła pani hrabina.

W rogu tarasu stojący kucharz zasłonił usta ręką i śmiał się, aż zsiniał. Nie mogłem wytrzymać i—pokazałem mu język.

Służba zaszemrała ze zdziwienia, a ojciec, chwytając mnie za ramię, krzyknął:

— A ty znowu co?... Wobec pani hrabiny pokazujesz język?..

— Ja pokazałem język kucharzowi, bo on myślał, że mnie tak zastrzeli, jak starego bułanka...

Pani hrabina zrobiła się jeszcze smutniejsza. Odgarnęła mi włosy z czoła, spojrzała głęboko w oczy i rzekła do ojca:

— Kto wie, panie Leśniewski, co jeszcze będzie z tego dziecka?..

— Szubienicznik! — krótko odpowiedział stroškany ojciec.

— Niewiadomo—odparła pani, gładząc mi najeżone włosy. — Trzebaby go do szkół oddać, bo tu zdziczeje.

A potem, odchodząc do salonu, rzekła półgłosem:

— Jest materyał na człowieka, panie Leśniewski!... Trzeba go tylko uczyć.

— Stanie się według woli pani hrabiny!—odpowiedział ojciec, dając mi pięścią w kark.

Z tarasu odeszli wszyscy, ale ja zostałem, nieru-

ehomy jak kamień, zapatrzony we drzwi, w których znikła nasza dziedziczka. Teraz dopiero pomyślałem z żalem: dlaczego nie upadł jój do nóg? i uczułem jakieś dławienie w piersiach. Gdyby kazała, chętnie położyłbym się na zgliszczach obórki i tak dałbym się powoli upiec na niój. Nie za to, że mnie nie kazała zastrzelić kucharzowi, ani zbić, ale za to, że miała taki słodki głos i takie smutne spojrzenie.

Od tego dnia byłem już mniej swobodny. Pani hrabina nie życzyła sobie tracić w ogniu reszty zabudowań, ojcu było przykro, że nie mógł uregulować ze mną rachunku za spaloną oborę a ja sam musiałem przygotowywać się do szkół. Uczyli mnie organista i gorzelany naprzemian. Mówiono nawet, że jakichś przedmiotów będzie mi wykladała guwernantka z pałacu. Ale, gdy dama ta, przy zapoznaniu się ze mną, zobaczyła, że mam pełne kieszenie nożów, kamieni, śrutu i kapiszonów, zlekła się tak, że już nie chciała widzieć mnie po raz drugi.

— Ja takim bandytom nie daję lekcyj — powiedziała do mojej siostry.

Ja jednak w tych czasach już bardzo spoważniałem. Tylko raz chciałem się, na próbę, powiesić. Ale później wypadło mi jakieś inne zajęcie, więc nie zrobiłem sobie nic złego.

Nareszcie w początkach sierpnia odwieziono mnie do szkół.

Egzamin zdałem wcale dobrze, dzięki polecają-

cym listom pani hrabiny. Poczem ojciec umieścił mnie na stancyi z korepetycyą, rodzicielską opieką i wszelkimi wygodami za 200 złotych i pięć korcy ordynaryi na rok — i — sprawił mi szkolny uniform.

Nowy strój tak mnie zajął, że nie mogąc nacieszyć się nim w ciągu dnia, wstałem cichutko w nocy, ubrałem się pociemku w surdut z czerwonym kołnierzem, włożyłem na głowę czapkę z czerwonym lampasem i miałem zamiar posiedzieć tak kilka minut. Ponieważ jednak noc była dżdżysta, odedrzwii trochę ciągnęło, a ja poza obrębem munduru i czapki byłem w negliżu, więc trochę zdrzemnąłem się i przespałem w uniformie do rana.

Taki sposób nocowania bardzo rozweselił moich kolegów, ale w gospodarzu naszej stancyi obudził podejrzenie, że ma w domu nadzwyczajnego urwisa. Pobiegł czempredzją do zajazdu, gdzie stał mój ojciec i powiedział mu, iż za żadne w świecie skarby nie chce mnie trzymać na stancyi, chyba — że mu ojciec dołoży jeszcze pięć korcy kartofli na rok. Po długich targach stanęło na trzech korcach, ale swoją drogą ojciec pożegnał się ze mną w tak demonstracyjny sposób, że ani żałowałem go kiedy wyjeżdżał, ani tęskniłem za domem, gdzie częściej mogły mnie spotykać podobne owacye.

Przebieg mojej edukacyi w klasie pierwszej nie przedstawia żadnych wybitniejszych momentów. Dziś, patrząc na owe czasy z historycznej odległo-

ści, koniecznej, jak wiadomo, dla sformowania obiektywnego sądu, wyznaję, że w ogólnych zarysach życie moje zmieniło się niewiele. W szkole trochę dłużej przesiadywałem w zamkniętej sali, w domu—trochę więcej biegałem po otwartej przestrzeni. Zmieniłem suknie cywilne na mundur, a osoby pracujące nad harmonijnem rozwinięciem moich fizycznych i duchowych uzdolnień, zamiast dyscypliny—używały różgi.

I oto wszystko.

Szkoła, jak wiadomo, dzięki swemu zbiorowemu charakterowi, przygotowuje chłopców do życia w społeczeństwie i daje im takie umiejętności, jakichby nie nabyli, chowając się pojedynczo. O tej prawdzie przekonałem się w tydzień po przybyciu do szkoły, gdzie nauczyłem się sztuki dawania *sé-rów*, która wymaga współdziałania najmniej trzech osób, a więc nie może istnieć poza obrębem społeczeństwa.

Teraz dopiero odkryłem w sobie ten rzeczywisty talent, którego natura chroniła mnie od teoretycznych zaciekań a popychała w kierunku działalności zbiorowej. Należałem do pierwszorzędnych—graczy w palanta, bywałem *matką* w bitwach, organizowałem pozaklasowe wycieczki zwane *wagusami*, dyrygowałem w klasie ogólnem tupaniem lub beczaniem, cośmy sobie dla wytechnienia urządzali niekiedy w sześćdziesięciu. Natomiast znalazłszy się

samotnym wobec gramatycznych prawideł, wyjątków, deklinacyj i konjugacyj, tworzących, jak wiadomo, podstawę filozoficznego myślenia, wnet uczuwałem w duszy jakąś pustkę, z której głębi wynurzała się—senność.

Jeżeli przy takim talencie do nieuczenia się wypowiadałem lekcye stosunkowo dość płynnie, to tylko dzięki silnemu wzrokowi, który pozwalał mi czytać z książki odległej o dwie lub trzy ławki. Zdarzało się niekiedy, żem wydawał zupełnie co innego, niż było zadane, lecz wówczas uciekałem się do modelowego w takich wypadkach usprawiedliwienia. Mówiłem mianowicie, żem niedosłyszał pytania, albo że „się załąłem“.

Wogóle byłem uczniem — przyszłości, nietylko dlatego, żem budził niezadowolenie w starych rutylistach, a posiadałem sympatyę młodych, ale i dlatego, że dobre stopnie z różnych przedmiotów, a wraz z nimi nadzieję promocyi widziałem tylko w marzeniach, wybiegających daleko po za teraźniejszość.

Moje stosunki z nauczycielami były rozmaite.

Profesor łaciny pisał mi nie najgorsze stopnie, za to, że pilnie uczyłem się gimnastyki, którą także on wykładał. Ksiądz prefekt wcale mi nie dawał stopni, ponieważ zasypywałem go kłopotliwemi pytaniami, na które jedyną odpowiedzią z jego strony było: „Leśniewski idź klęczeć!“ Nauczyciel rysun-

ków i kaligrafii protegował mnie jako rysownik, ale potępiał jako kaligraf; lecz ponieważ w jego umyśle sztuka pisania była najważniejszym szkolnym przedmiotem, więc, przy głosowaniu z sobą samym, przeważał na stronę kaligrafii i dawał mi jednostki, niekiedy dwójki.

Arytmetykę rozumiałem wcale dobrze, ten bowiem wykład oparty był na metodzie poglądowej, to jest „na biciu łap“ za nieuwagę. Nauczyciel języka polskiego wróżył mi świetną karierę, ponieważ raz udało mi się napisać mu na imieniny wiersz, obejmujący pochwałę jego surowości. Nareszcie, stopnie z innych przedmiotów zależały od tego, czy moi sąsiedzi dobrze mi podpowiadali, albo, czy leżąca na poprzedniej ławce książka, była otwarta we właściwym miejscu.

Najpoufalsze jednak stosunki łączyły mnie z inspektorem. Człowiek ten tak przyzwyczał się do *wypukiwania* mnie z klasy w czasie lekcyj i do widywania się ze mną po lekcjach, że był szczerze zaniepokojony, gdy w którym tygodniu nie przypominałem się jego pamięci.

— Leśniewski! — zawołał pewnego dnia, spostrzegłszy, że już idę z klasy do domu. — Leśniewski!... a dlaczego ty nie zostajesz?..

— Przecież nie nie zrobił—odpowiadam mu.

— Jakto, więc nie jesteś zapisany do dziennika?

— Jak ojca kocham, tak nie!

— I umiałaś lekcyę?..

— Kiedy mnie dziś wcale nie *wyrwali!*..

Inspektor zamyślił się.

— Coś w tem jest!—szepnął.—Wiesz, Leśniewski, zostań ty tu na chwilę.

— Mój złocisty panie inspektorze przeciem ja nie nie winien!.. jak ojca kocham!.. jak Bozię kocham!..

— Aha!... przysięgasz się, ośle?... Chodźże mi tu zaraz!... A jeżeliś naprawdę nie nie zmalował, to — policzy ci się na drugi raz!..

Wogóle miałem u pana inspektora kredyt otwarty, co mi w szkole zrobiło pewną popularność, tem istotniejszą, że nikogo nie pobudzała do konkurencyi.

Między kilkudziesięcioma pierwszoklasistami, z których jeden golił już wąsy prawdziwą brzytwą, trzech po całych dniach grali w karty pod ławką a inni byli zdrowi jak kantonieści, znajdował się kaleka — Józio. Był to chłopczyk garbaty, karzeł na swój wiek, mizerny, z małym noskiem sinym, blademi oczyma i gładkimi włosami. Był tak wątły, że musiał odpoczywać idąc z domu do szkoły, a tak bojaźliwy, że, gdy go wyrwano do lekcyi, tracił mowę ze strachu. Nigdy nie bił się z nikim, tylko prosił innych, ażeby jego nie bili. Gdy mu raz „dano szczupaka“, po suchój, jak patyk, ręczynie—zemdłał, ale otrzeźwiony—nie poskarżył się.

Miał on oboje rodziców, ale ojciec wyгнаł matkę z domu, a Józia zatrzymał przy sobie, pragnąc sam kierować jego edukacją. Sam chciał odprowadzać syna do szkoły, chodzić z nim na spacer, dawać mu korepetycję, ale nie robił tego z powodu braku czasu, który mu dziwnie prędko ginał w handlu trunków i owsianego piwa, u Moszka Lipy.

Tym sposobem Józio nie miał żadnej opieki a mnie się niekiedy wydawało, że na takiego malca nawet Bóg niechętnie patrzy z nieba.

Swoją drogą Józio miewał pieniądze, po sześć i po dziesięć groszy na dzień. Za to miał sobie kupować w czasie pauzy po dwie bułki i po serdelku. Ale, że go wszyscy prześladowali, więc on, chcąc się choć jako tako zabezpieczyć, kupował po pięć bułek i rozdawał je najsilniejszym kolegom, ażeby mieli dla niego łaskawe serca.

Podatek ten nie na wiele mu się przydał, bo poza pięcioma zjednanymi stało trzy razy tylu nieprzeje-dnanych. Dokuczali mu więc bezustanku. Ten go uszczypnął, tamten pociągnął za włosy, inny ukłuł, czwarty dał byka w ucho, a najmnień odważny nazywał go przynajmnień—garbusem.

Józio tylko uśmiechał się na te koleżeńskie żarty, czasami prosił: dajcie już spokój!... a czasami i nic nie mówił, tylko opierał twarz na chudych rękach i szlochał.

Koledzy wołali wtedy: patrzcie! jak mu się garb trzęsie!... i dokuczali mu jeszcze zawzięciój.

Ja z początku mało zwracałem uwagi na garbuska, który wydał mi się niemrawym. Ale raz, ten duży kolega, który golił wąsy brzytwą, usiadł za Józiem i począł mu palić byki w oba uszy. Garbus zanosił się od płaczu, a klasa trzęsa się od śmiechu. Wtedy coś mnie ukłuło w serce. Schwyciłem otworzony seyzoryk i dragała, który dawał garbusowi byki, pchnąłem w rękę do kości, wołając, że: tak zrobię każdemu, kto Józia dotknie palcem!...

Dragalowi trysnęła krew, zbladł jak ściana i zdawało się, że zemdleje. Cała klasa nagle przestała się śmiać, a potem zaczęła krzyczeć: dobrze mu tak, niech nie dokucza kalece!... W tej chwili wszedł profesor, a dowiedziawszy się, że mianem ranił nożem kolegę, chciał sprowadzić inspektora z *diadkiem* i z różgą. Ale wszyscy zaczęli za mną prosić, nawet sam raniony dragal; więc pocałowaliśmy się na przód ja z dragalem, potem on z Józiem, potem Józio ze mną i—tak mi się upiekło.

Uważałem, że przez całą lekcję garbusek odwracał głowę w moją stronę i uśmiechał się, zapewne dlatego, że przez ten czas nie dostał ani jednego byka. Na pauzie także mu nikt nie dokuczał, a kilku oświadczyło, że będą go bronili. On dziękował im, ale—przybiegł do mnie i chciał mi dać bułkę z ma-

słem. Nie wziąłem, więc trochę zawstydził się, a potem rzekł cicho:

— Wiesz co, Leśniewski, powiem ci sekret.

— Gadaj!—odparłem—ale prędko...

Garbusek stropił się, a potem zapytał:

— Czy ty już masz przyjaciela?...

— A mnie co potem?...

— Bo widzisz, gdybyś chciał, to ja mógłbym być twoim przyjacielem.

Spojrzałem na niego z góry. On zmięszał się jeszcze bardziej i znowu zapytał cieniem i stłumionym głosem:

— Dlaczegoż ty nie chcesz, żebym był twoim przyjacielem?

— Bo ja nie wdaję się z takimi trutniami jak ty!.. odpowiedziałem.

Garbuskowi bardziej niż zwykle posiniał nos. Już chciał odejść, ale zwrócił się jeszcze raz do mnie, mówiąc:

— To może chcesz, żebym przy tobie siedział?... Widzisz, ja uważam co belfry zadają, robiłbym za ciebie przykłady... Umiem dobrze podpowiadać...

Ta argumentacja wydała mi się poważną. Po namyśle przyjąłem garbusa do ławki, a mój sąsiad zgodził się, za pięć bułek, odstąpić mu swego miejsca.

Już po południu Józio przeniósł się do mnie. Był to mój najszczerszy pomocnik, powiernik i chwalec.

On wybierał słówka i robił wszelkie tłumaczenia, on notował zadawane przykłady, nosił kałamarz, pióra i ołówki dla nas obu. A jak podpowiadał!... Przez czas pobytu w szkołach wielu mi podpowiadało, niektórzy nawet klęczeli za to, ale żaden w tej sztuce ani się umywał do Józia. W podpowiadaniu garbusek był mistrzem, bo umiał mówić z zaciśniętymi zębami i robił przytem tak niewinną minę, że żaden z profesorów nawet nie podejrzewał!...

Ile razy osadzono mnie w kozie, garbusek przynosił ukradkiem chleb i mięso ze swego obiadu. A gdy mnie spotkała jaka większa nieprzyjemność ze łzami w oczach zapewniał kolegów, że ja nie dam sobie zrobić krzywdy.

— Ho! ho!—mówił—Kazio jest mocny. On jak złapie *diadkę* za ramiona, to nim ciśnie o ziemię jak piórkiem. Nie bójcie się!...

Istotnie koledzy moi nie bali się, tylko on, biedak bał się za nas obu.

Jeżeli garbusek nie potrzebował na jakiej lekcji uważać, wówczas prawił mi komplementy:

— Mój Boże!... żebym ja był taki jak ty mocny!... Mój Boże!... żebym ja był taki zdolny... Wiesz, że gdybyś chciał to za miesiąc zostałbyś prymusem...

Pewnego dnia całkiem niespodzianie, nauczyciel języka niemieckiego wyrwał mnie na środek. Przerażony Józio ledwie miał czas podpowiedzieć mi, że: do czwartej deklinacyi należą wszystkie rzeczoz-

wniki rodzaju żeńskiego, naprzykład: *die Frau* — pani...

Ostro wyszedłem i z wielką pewnością zawiadomiłem nauczyciela, że do czwartej deklinacyi należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, naprzykład: *die Frau* — pani... Ale na tem skończyła się moja wiedza.

Profesor spojrział mi w oczy, pokiwał głową i kazał tłumaczyć. Przeczytałem po niemiecku płynnie i głośno raz, potem jeszcze płynniej—drugi raz, ale gdy zacząłem czytać trzeci raz ten sam ustęp, nauczyciel kazał mi pójść na miejsce.

Wracając do ławki spostrzegłem, że Józio bardzo pilnie przypatruje się ołówkowi profesora i że ma bardzo zafrasowaną minę.

Machinalnie zapytałem garbuska:

— Nie wiesz, jaki mi dał stopień?

— Czy ja wiem?...—westchnął Józio.

— Ale jak ci się zdaje?

— Ja—rzekł garbusek—dałbym ci piątkę, no—zresztą czwórkę, ale on...

— A on ile mi dał?...—pytałem.

— Zdaje mi się, że—pałkę... Ale to osioł, co on tam wiel.. — odpowiedział Józio tonem głębokiego przekonania.

Pomimo wątlności, chłopczyzna ten był pracowity i bystry. Ja zwykle czytałem w klasie romanse, a on słuchał wykładu i później mi go powtarzał.

Raz zapytałem go: o czem mówił nasz nauczyciel zoologii?

— Widzisz o tem—odparł garbusek z tajemniczą miną—że rośliny są podobne do zwierząt.

— Głupi on jest—odpowiedziałem.

— Ale!—mówił garbusek—on ma rację. Ja już go trochę rozumiem

Zacząłem się śmiać i rzekłem:

— No, kiedyś taki mądry, to mi powiedz: z czego jest podobna wierzba do krowy?

Chłopiec zamyślił się i powoli zaczął:

— Widzisz — krowa rośnie, a wierzba także rośnie...

— A co dalej?...

— Widzisz—krowa się karmi i wierzba się karmi, sokami z ziemi...

— A co dalej?...

— Krowa jest rodzaju żeńskiego, no—i wierzba jest rodzaju żeńskiego—objaśniał Józio.

— Ale krowa macha ogonem!—rzekłem mu.

— A wierzba macha gałęźmi!—odparł.

Taka suma argumentów nadwreżyła moją wiarę w istnienie różnicy między zwierzętami i roślinami. Sam pogląd podobał mi się i od téj pory obudziło się we mnie zamiłowanie do zoologii, streszczonéj w książce Pisulewskiego. Dzięki wywodom garbuska, zacząłem z tego przedmiotu miewać piątki.

Pewnego dnia Józio nie przyszedł do szkoły,

a nazajutrz przed południem powiedziano, że ktoś mnie *wypukuje*. Wybiegłem na korytarz trochę niepokojny, jak zwykle w podobnych razach, lecz, zamiast inspektora, zobaczyłem tegoż mężczyznę, z pąsową twarzą, fioletowym nosem i czerwonymi oczyma.

Nieznajomy odezwał się głosem nieco chrapliwym:

— To ty, chłopcze, jesteś Leśniewski?

— Ja.

Przestąpił z nogi na nogę, jakby chwiejąc się i dodał:

— Zajdź tam do mego syna Józia, do tego garbatego, wiesz? On jest chory, bo onegdaj trochę go przejechali...

Znowu zachwiał się, spojrzał na mnie błędnym wzrokiem i odszedł, głośno tupiąc o podłogę. Mnie jakby kto oblał gorącą wodą. Zdawało mi się, że to ja raczej powinienem być przejechany, nie zaś biedny garbusek, on—taki dobry i wątlý...

Po południu wypadła rekreacya. Nie poszedłem już do domu na obiad, tylkom pobiegł do Józia.

Obaj z ojcem mieszkali na końcu miasta w dwu pokoikach parterowego domu. Gdym wszedł, zastałem garbuska leżącego w krótkim łóżeczku. Był zupełnie sam, sam jeden. Ciężko oddychał i drżał z zimna, bo w piecu nie napalono. Żrenice jego rozszerzyły się tak, że miał prawie czarne oczy.

W izdebce czuć było wilgoć, a z dachu padały krople topniejącego śniegu.

Pochyliłem się nad łóżkiem i spytałem:

— Co tobie, Józiu?...

On ożywił się, otworzył usta jakby do uśmiechu, ale — tylko jęknął. Wziął mnie za rękę wyschłemi rączkami i zaczął mówić:

— Ja pewnie umrę... Ale boję się tak... sam... więc prosiłem żebyś przyszedł... To... widzisz... niedługo, a mnie będzie trochę weselój...

Jeszcze nigdy Józio nie wydał mi się takim jak dziś. Zdawało mi się, że z kaleki wyrasta olbrzym.

Zaczął głucho jęczeć i kaszlać, aż na usta wystąpiła mu różowa piana. Potem zamknął oczy i ciężko oddychał, a czasami wcale nie oddychał. Gdybym nie czuł uścisku jego rozpalonych rączek, myślałbym, że umarł.

Tak siedzieliśmy godzinę, dwie, trzy — milcząc. Ja prawie straciłem władzę myślenia, Józio odzywał się rzadko i z wielkim wysiłkiem. Powiedział mi, że go z tyłu najechał jakiś wóz, że go strasznie zabolął krzyż, ale już go nie boli, że ojciec wczoraj wypędził sługę, a dziś poszedł szukać innéj...

Potem, nie uwalniając mi ręki, prosił, ażebym zmówił cały pacierz. Zmówiłem, a gdym zaczął: „Kiedy ranne wstają zorze,” przerwał mi:

— Mów jeszcze — rzekł — „Wszystkie nasze

dzienne sprawy“... Ja już się jutro pewnie nie obudzę...

Słońce zaszło, nadejgnęła jakaś szara noc, bo po za chmurami świecił księżyc. W domu nie było świecy, zresztą — nie myślałem nawet zapalać jój. Józio był coraz niespokojniejszy, bredził i tylko chwilami odzyskiwał przytomność.

Już było późno, kiedy od ulicy kołatnęła furka z wielkim hałasem. Przez podwórze przeszedł ktoś i gwizdząc, otworzył drzwi naszej izby.

— To tatko?—jęknął garbusek.

— Ja, mój synu! — odparł przybysz ochrypniętym głosem.— Jakże ci tam? Pewnie lepij!... Tak być powinno!... Zawsze uszy do góry, mój synu...

— Tatku... niéma światła...—mówił Józio.

— Głupstwo światło!... A to kto?... — zawołał, potykając się o mnie.

— To ja...—odparłem.

— Aha! Łukaszowa? dobrze!... Prześpij się dziś, a jutro—sprawię ci wnyki!... Ja gubernator!... Rum-jamajka!...

— Dobranoc, tatku!... dobranoc!... — szeptał Józio.

— Dobranoc, dobranoc, moje dziecko!...—odparł przybysz i—schyliwszy się nad łóżkiem — mnie pocałował w głowę. Uczułem, że pod pachą miał butelkę.

— Wyśpij się — dodał—a jutro marsz do szko-

ły!.. Krokiem maarsz!.. Rumjamajka!.. — wrzasnął i poszedł do drugiego pokoiku.

Tam ciężko usiadł, widocznie na kufrze, uderzył głową o ścianę, a po chwili — rozległo się miarowe bulgotanie, jakby ktoś pił.

— Kaziu!...—szepnął garbusek — jak już będę... tam... przyjdź do mnie czasem. Powiesz mi, co zadano na lekcye...

W drugim pokoju wrzasnął przybysz:

— Zdrowia życzymy panu gubernatorowi!.. Wiwat!.. Ja gubernator!.. Rumjamajka!..

Józio począł się trząść i mówić coraz niespokojniej.

— Tak mnie łamie!.. Czyś ty na mnie usiadł, Kaziu? Kaziu!.. O, nie bijcie mnie już!..

— Rum!.. Rumjamajka!.. — wołano w drugim pokoju. Znowu coś zabulgotało, a potem — butelka z przeraźliwym brzękiem uderzyła o podłogę.

Józio przyciągnął swoją rękę do ust, schwycił zębami za palce i—nagle puścił. Już nie oddychał.

— Panie!—zawołałem.—Panie! Józio umarł!..

— Co tam pleciesz? — mruknął głos z drugiego pokoju.

Zerwałem się z łóżka i stanąłem we drzwiach, patrząc w ciemność.

— Józio umarł!...—powtórzyłem cały drżący.

Człowiek rzucił się na kufrze i wykrzyknął:

— Wynos mi się stąd, błażnie!.. Ja jego ojciec,

lepiej wiem, czy on umarł!... Wiwat pan gubernator!... Rumjamajka!...

Uczulem trwogę i uciekłem.

Przez całą noc nie mogłem spać, miałem dreszcze, męczyły mnie jakieś straszne marzenia. Zrana obejrzał mnie gospodarz naszój stancyi, powiedział, że mam gorączkę, że pewnie zaraziłem się od przejechanego Józia i — kazał mi postawić na krzyżu dwanaście baniek ciętych. Po tem lekarstwie nastąpiło, jak mówił gospodarz, takie przesilenie, że m tydzień leżał w łóżku.

Nie byłem na pogrzebie Józia, którego odprowadziła cała nasza klasa z nauczycielami i księdzem prefektem. Mówiono mi, że miał czarną trumnę aksamitną, tak małą jak pudełko od skrzypców.

Ojciec jego strasznie płakał, a na cmentarzu złapał trumnę i chciał z nią uciekać. Ale pomimo to Józia pochowali, a jego ojca komisarz z policyan-tem wyprowadzili z cmentarza.

Gdy pierwszy raz poszedłem do szkoły, powiedziano mi, że ktoś co dzień wypytuje się o mnie. Ja-koż o jedenastój wypukano mnie.

Wyszedłem — za drzwiami stał ojciec zmarłego Józia. Miał twarz barwy bladofioletowój, a nos popielaty. Był zupełnie trzeźwy, tylko trzęsła mu się głowa i ręce.

Człowiek ten wziął mnie pod brodę i długo wpa-trywał mi się w oczy, a potem nagle rzekł:

— Ty obroniłeś Józia, kiedy mu w klasie dokuzali?...

— Czy zwaryował ten stary?—pomyślałem, ale mu nie odpowiedział.

On objął mnie rękoma za szyję i pocałował kilka razy w głowę, szepejąc:

— Niech cię Bóg błogosławi... Niech cię błogosławi!...

Puścił mi głowę i znowu spytał:

— Byłeś przy jego śmierci?... Powiedz mi prawdę, bardzo on się męczył?...

W tem cofnął się i rzekł prędko:

— Albo nie... nie mi już nie mów!... O, nikt nie wie, jakim ja nieszczęśliwy!...

Z oczu poczęły mu płynąć łzy. Schwycił się oburącz za głowę, odwrócił się odemnie i pobiegł ku schodom, krzycząc:

— Biedny ja!... biedny... biedny...

Wołał tak głośno, że na korytarz powychodzili profesorowie. Patrzyli za nim, pokiwali głowami i kazali mi wrócić do klasy.

Nad wieczorem jakiś faktor przyniósł na stancję spory kufer dla mnie i kartkę z tym tylko napisem: „Od biednego Józia—pamiątka.“

W kufrze było mnóstwo pięknych książek, po nieboszczyku Józiu, a między nimi: Księga świata, Historya Cezara Cantu, Don Quichot, Galerya Dreźnieńska i wiele innych. Książki te obudziły

we mnie namiętną chęć do poważniejszego czytania.

Dobrze już na wiosnę wybrałem się pierwszy raz na grób Józia. Był taki mały i zgarbiony, jak on sam. Spostrzegłem, że ktoś obsadził go zielonemi gałązkami. O parę kroków dalej, między trawą, znalazłem kilka butelek z napisem: *Rum-Jamajca*. Siedziałem z godzinę, ale nie powiedział Józiovi, co zadali na lekę, bo i sam nie wiedziałem i on się nie spytał.

W tydzień znowu przyszedłem na cmentarz. Znowu zobaczyłem gałązki świeżo zatknięte w grób Józia, a między trawą — znowu znalazłem kilka całych i nadtłuczonych butelek.

W początkach maja rozeszła się po mieście szczególna wiadomość. Oto zrana, przy grobie Józia, znaleziono martwe zwłoki jego ojca. Obok nich leżała wypróżniona do połowy butelka z napisem: *Rum-Jamajca*.

Mówili doktorzy, że człowiek ten umarł na aneuryzm.

Wypadki te oddziały na mnie w szczególny sposób. Od téj pory ciężyło mi towarzystwo kolegów i nudziły ich krzykliwe zabawy. Wówczas zatapiałem się w czytaniu książek, które mi zostawił Józio, albo wymykałem się za miasto, w jary zarosłe krzakami i włócząc się tam rozmyślałem—Bóg wie o czem. Nieraz zapytywałem się, dlaczego tak

nędznie zginął Józio i dlaczego ojciec był tak samotny, że aż musiał tulić się do grobu syna? Czułem, że największym nieszczęściem jest opuszczenie i zrozumiałem: dlaczego biedny garbusek szukał przyjaciela.

Mnie także potrzebny był teraz przyjaciel. Ale między kolegami jakoś żaden nie przypadła mi do smaku. Przypomniałem sobie siostrę. Nie!... siostra nie zastąpi przyjaciela.

Koledzy mówili o mnie, że mój dziadek, a gospodarz naszej stancyi nie miał już żadnej wątpliwości, że zostanę wielkim zbrodniarzem.

Nadszedł akt uroczysty, na którym inspektor doniósł całemu światu, że otrzymałem promocję do klasy drugiej. Wypadek ten napełnił mnie radosnym zdziwieniem. Nagle poczęło mi się zdawać, że jakkolwiek szkoła posiada wyższe klasy, żadna przecież nie jest tak doskonała jak—druga. Zapewniałem kolegów, że uczniowie pozostałych klas od trzeciej do siódmej włącznie, powtarzają tylko to, czego nauczyli się w drugiej, w duszy zaś lękałem się, ażeby profesorowie nie spostrzegli się po wakacyach, że dostałem promocję tylko przez omyłkę i nie cofnęli mnie do pierwszej klasy.

Następnego przecie dnia oswoiłem się poniekąd ze swoim szczęściem, a kiedy jechałem do domu na wakacje, to przez całą drogę tłumaczyłem furmanowi, że ja jeden w klasie dostałem zasłużoną promo-

cyę i że moja promocyja była najlepsza. Przytaczałem mu tak niezbite argumenty, że aż zaczął ziewać. Gdy jednak umilkł, przekonałem się ze strachem, że sam jestem pełen wątpliwości.

Drugiego dnia, dojeżdżając do domu, spotkałem w drodze siostrę Zosię, która wybiegła na przeciw mnie. Zaraz doniosłem jęj, że już jestem w drugiej klasie i że mój przyjaciel, Józio, umarł, bo go przejechali. Ona zaś powiedziała, że tęskniła za mną, że jęj kura ma dziesięć kurcząt, że do pani hrabiny po dwa razy na tydzień przyjeżdża z wizytą jakiś pan, że mają guwernantkę, która kocha pisarza i że nieboszczyk Józio nie ją — niby Zosię — nie obchodzi ponieważ był garbaty. Ale swoją drogą żałuje go.

Mówiąc to udawała dużą pannę.

Ojca zobaczyłem w południe. Przywitał się ze mną bardzo serdecznie i powiedział, że na wakacye da mi konia i pozwoli strzelać z wielkiego pistoletu A potem dodał:

— Pojdzże zaraz do pałacu i przywitaj się z panią hrabiną, chociaż...

W tem miejscu machnął ręką.

— Cóż się stało, proszę ojca?... — spytałem, jak dorosły człowiek i ażem się zląkł swojej odwagi.

Nadspodziewanie, ojciec odpowiedział bez gniewu, z odcieniem goryczy:

— Ona już teraz nie potrzebuje starego plenipo-

tenta. Niedługo będzie tu nowy pan, a ten i sam potrafi...

Przerwał, i odwróciwszy się, mruknął przez zęby:

— Przegrać w karty majątek...

Zacząłem domyślać się, że przez czas mojej nieobecności zaszły tu wielkie zmiany. Swoją drogą poszedłem na przywitanie do dziedziczki. Przyjęła mnie łaskawie, a ja dostrzegłem, że jej smutne oczy mają dziś całkiem inny wyraz.

Wracając, spotkałem na dziedzińcu ojca i powiedziałem, że pani hrabina jest taka wesoła jak nigdy. Kręci się, klaszcze w ręce, zupełnie jak jej pokojówki.

— Bah! każda baba przed weselem ma dobry humor...—odparł ojciec, jakby sam do siebie.

W téj chwili przed pałac zajechał lekki powozik, a z niego wyskoczył wysoki mężczyzna, z czarną brodą i oczyma jak płomienie. Zdaje się, że pani hrabina wybiegła na ganek, bom zobaczył jak przez drzwi wyciągnęła do niego obie ręce.

Ojciec szedł przedemną, śmiał się cicho i mruczał:

— Ha! ha!... Wszystkie baby powaryowały!... Pani wzdycha za elegantem, a guwernantka za pisarzem... Dla Salusi zostałem ja, albo proboszcz... Ha! ha!...

Miałem dwunasty rok i jużem wiele słyszał o miłości. Ten kolega, który golił wasy i siedział

trzy lata w pierwszej klasie, nieraz mówił nam o swych uczuciach dla pewnej panienci, którą po parę razy na dzień widywał na ulicy albo w lufceiku. Zresztą sam czytałem kilka bardzo pięknych romanśów i dobrze pamiętam, ile umartwienia kosztowali mnie ich bohaterowie.

Z tego powodu półśłówka ojca wywarły na mnie przykre wrażenie. Uczułem sympatyę dla naszej dziedziczki, a nawet dla guwernantki, obok niechęci do brodatego pana i do pisarza. Nigdybym tego głośno nie powiedział (nie śmiałybym nawet wyraźnie pomyśleć), lecz zdawało mi się, że i nasza pani i guwernantka zrobiłyby daleko stosowniej, gdyby wzdychały za mną.

W ciągu kilku następnych dni obiegłem wieś, park, stajnie, jeździłem konno, pływałem czółnem, lecz—wnet spostrzegłem, że mi zaczyna być nudno. Wprawdzie ojciec coraz częściej rozmawiał ze mną jak z dorosłym człowiekiem, pan gorzelany zapraszał mnie na starkę, a pisarz prowentowy narzucał mi się z przyjaźnią i nawet obiecywał opowiedzieć cierpienia, jakich doświadcza z powodu guwernantki, ale—mnie to nie bawiło. I starkę pana gorzelanego i zwierzienia pisarza oddałbym za jednego dobrego kolegę. Lecz gdym w myśli wybierał między tymi, którzy wraz ze mną ukończyli pierwszą klasę, przekonywałem się, że żaden nie przystałby do moich dzisiejszych usposobień.

Niekiedy z głębi mojej duszy wynurzał się smutny cień zmarłego Józia i opowiadał mi rzeczy nieznane, głosem cichszym aniżeli powiew letniego wiatru. Wtedy ogarniała mnie jakaś rzewność i tęskniłem, ale sam nie wiem do czego... Gdy raz, pod wpływem takich przywidzeń wałęsałem się po zarastających trawą ścieżkach parku, zabiegła mi niespodzianie drogę siostra Zosia i zapytała:

— Dlaczego ty się z nami nie bawisz?

Zrobiło mi się gorąco.

— Z kim?...

— A ze mną i z Lonią.

Pozostanie wieczną zagadką, dlaczego w tej chwili imię Loni pomięszało mi się z widziadłem Józia i dlaczego się zaczerwienił tak, że mnie twarz piekła i pot wystąpił na czoło.

— Cóż to—nie chcesz się z nami bawić? — pytała zdziwiona siostra.—Na Wielkanoc był tu jeden uczeń z trzeciej klasy i wcale się tak nie pysznił jak ty. Po całych dniach chodził z nami.

I znowu bez powodu uczułem nienawiść do owego trzecio-klasisty, którego nigdy nie widział. Wreszcie odpowiedziałem Zosi tonem opryskliwym, choć w sercu nie miałem do niej urazy:

— Ja nie znam tej Loni.

— Jakże nie znasz? Czy nie pamiętasz, jak za nią wybiła cię tamta guwernantka? A czyś zapomniał, jak Lonia płakała za tobą i prosiła, żeby ci

nic złego nie robili, kiedy spaliła się ta... obórka?...

Naturalnie żem wszystko pamiętał, a najlepiej samą Lonię; muszę jednak wyznać, że mnemoniczne zdolności siostry rozgniewały mnie. Wydało mi się rzeczą nieodpowiednią godności mego muuduru, że ludzie na wsi, a osobliwie podrastające dziewczynki, mają tak dobrą pamięć.

Pod wpływem tych uczuć odparłem jak brutal:

— Eh! daj mi spokój... i z sobą i z twoją Lonią...

I poszedłem w głąb parku, zarówno niekontent z niewczesnych wspomnień siostry, jak i z tego, że nie bawię się z dziewczynkami. Sam zresztą nie wiem czemu chciałem, ale byłem taki zły, że kiedyśmy się zeszli z Zosią w domu, nie chciałem z nią rozmawiać.

Zasmucona siostra starała się schodzić mi z oczu, ale wtedy ja jój szukałem, czując, że mi czegoś brak, że kwestyę wspólnej zabawy postawiłem zupełnie fałszywie. Więc dla poprawienia sytuacji, gdy strapiona Zosia wzięła się do cerowania, ja schwyciłem pierwszą z brzegu książkę i po kilkuminutowem przewracaniu kartek rzuciłem ją na stół, mówiąc, niby sam do siebie:

— Wszystkie dziewczęta są głupie!...

Zdawało mi się, że aforyzm ten będzie bardzo mądry. Ledwie go jednak skończyłem, uczułem, że jest w nim coś niesmacznego. Zrobiło mi się żal sio-

stry, wstyd... Nie mówiąc już nic, pocałowałem Zosię w oba policzki i poszedłem do lasu.

Boże! jakim był tego dnia nieszczęśliwy... Był to przecie dopiero początek moich cierpień.

Nie chcę nic ukrywać. Przez całą noc śniła mi się Lonia i odtąd zamiast biednego garbuska, jęj cień widywałem w przywidzeniach. Zdawało mi się, że ona jedna mogłaby być tym przyjacielem, którego mi od tak dawna potrzeba. W marzeniach przemawiałem do niej tak długo i tak pięknie, jak piszą w romansach, a byłem taki grzeczny, jak pewien margrabia. W rzeczywistości zaś nie umiałem zdobyć się nawet na to, ażeby pójść do parku, gdy w nim bawiły się dziewczynki, których wesołym śmiechem, przeplatany upomnieniami guwernantki, przysłuchiwałem się z za parkanu.

Dobrze pamiętam to miejsce, gdzie wyrzucano śmiecie z pałacu, a rosły wysokie pokrzywy i łopian. Wystawałem tam całe kwadransy po to, żeby uchwycić kilka niewyraźnych frazesów, łoskot bucików na ścieżce i zobaczyć migającą sukienkę Loni, gdy skakała przez sznur.

Za chwilę wszystko milkło w parku i wtędy czułem piekący żar słońca i słyszałem nieskończony brzęk much unoszących się nad śmietniskiem. Potem znowu dolatywały mnie odgłosy śmiechów i gonitwy, przed szczeliną w parkanie migały sukienki, a potem znowu górował szmer drzew, świergot pta-

ków, gorąco i natrętne muchy włożyły mi prawie w usta.

Nagle rozległ się głos od pałacu:

— Loniał... Zosia!... proszę do pokoju...

To guwernantka. Znięna widziałbym ją, gdyby mi nie było wiadomo, że jęj także smutno.

Podczas jednęj z wycieczek pod parkan przekonałem się, że nie jestem sam. Z pagórka zobaczyłem, między zielonym gąszczem łopianu, szary ze starości kapelusz słomiany, przez wierzch którego widać było jasno-płową czuprynę, bo kapelusz nie miał dna.

Gdym postąpił kilka kroków w tamtą stronę, czupryna i kapelusz podniosły się nad łopian i ukazał się siedmio a może ośmioletni chłopiec, w długiej ale brudnej koszuli, zaścięgniętej pod szyję na sznurek. Przemówiłem do niego, ale chłopiec zerwał się i uciekł, szybko jak zajac, w stronę pola. Czerwony kołnierz mego munduru i posrebrzane guziki robiły w ogóle silne wrażenie na wiejskich dzieciach.

Zwolna odszedłem w stronę folwarku, a w miarę tego chłopiec zbliżał się do parkanu. Gdym się ukrył za budynkiem, on wlażł na śmietnik i przyłożył oko do tej samej szczeliny, przez którą ja zaglądałem w ogród. Wątpię bardzo, ażeby co widział, ale wciąż patrzył.

Gdy na drugi dzień przyszedłem na stanowisko, ażeby śledzić zabawę pańienek, znowum spostrzegł między łopianem szary kapelusz, nad nim jasno-

płową czuprynę, a pod oberwanem skrzydłem parę wlepionych we mnie oczu. Słońce bardzo piekło, więc chłopak po cichu urywał duży liść i zastonił się nim jak parasolką. Wtedy już nie widział ani jego kapelusza ani czupryny, tylko szarą koszulę nieco rozchyloną na piersiach.

Gdy odszedł, chłopiec znowu wbiegł na śmietnik i znowu, jak wczoraj, przyłożył oko do szczeliny, myśląc zapewne, że choć tym razem nie wypatrzyłem z parku wszystkich ciekawości, jakie tam były.

W tej chwili zrozumiałem śmieszność swoich postępków. Dopierożbym miał, gdyby tak ojciec, albo pan gorzelany, albo nawet— sama Lonia zobaczyła, że ja, uczeń drugiej klasy, w mundurze, wystaję pod parkanem na śmieciach, luzując się z jakimś kandydatem na pastucha, który nie wiem, czy nosił kiedy wypraną koszulę.

Wstyd mnie ogarnął. Alboż ja nie mam prawa wchodzić jawnie do ogrodu, nie kryjąc się po kątach, jak ten w oberwanym kapeluszu?...

Śmietnik i szczelina w parkanie obmierzły mi, ale zarazem obudziła się ciekawość: co za jeden jest ten chłopiec? Dzieci w jego wieku już pasą gęsi, a on najpiękniejszą młodość marnuje, wałęsając się za folwarkiem, podgląda cudze interesy, a spytany, zamiast przyzwoicie odpowiadać, ucieka jak królik przed obcym.

— Czekaj—pomyślałem—już mnie tu nie zobaczysz, ale za to ja wysledzę, coś ty za jeden.

Pamiętałem, że w romansach, obok bohaterów i bohaterek, bywają tacy zagadkowi nieznajomi, przed którymi trzeba się mieć na baczności i w porę ubezwładniać ich intrygi.

W parę dni nie zapytując nikogo, dowiedziałem się wszystkiego o tajemniczym nieznajomym. To nie był intrygant. To był Walek, syn dworskiej pomywaczki, którego wszyscy znali, lecz nikt się nim nie zajmował. Dlatego chłopiec miał dużo swobodnego czasu i, jakem sam doświadczył, używał go w sposób niekoniecznie przyjemny dla innych.

Walek nigdy nie miał ojca, za co wszyscy dokuczali jego matce, kobiecie nieco popędliwej. Na przykładki służby pomywaczka odpowiadała krzykiem i wymysłami, a że jój to widać nie wystarczało, więc resztę— odbijała na Walku.

Jeszcze chłopiec pełzał na czworakach i miał koszulę zebraną w węzeł na karku (co robiło taki efekt jakby jój wcale nie posiadał) a już nazywano go znajdą.

— Tyś go znalazł?...—zapytywała wtedy matka i krzyczała dalej:

— Ażeby was Bóg skarał za moją krzywdę!... Ażeby wam ręce i nogi!... Ażebyś ty zczeczł psia wiaro!...

Ostatnie życzenie odnosiło się do Walka, który, bezpośrednio potem, otrzymywał kopnięcie nogą po-

niżej owego węzła z koszuli. Dzieciak, dopóki był głupi, odpowiadał na taki poczęstunek rzewnym płaczem. Ale gdy nabrał rozumu, co nastąpiło dość prędko, wówczas mileżał jak trusia i włożył pod tapczan, za wielki szaflik w którym świniom jeść dawano. Widocznie nie chciał być oblany ukropem, jak mu się to raz zdarzyło.

Bywało i tak, że Walek przesiadywał pod tapczanem całe godziny, dopóki nie zeszedli się ludzie na obiad, albo na wieczerzę. Czasem, widząc głowę dziecka wytkniętą z pod tapczanu i jego oczy, w których błyszczały łzy niedawnego bólu i — ciekawość do klusków, pytali parobcy matki:

— A temu nie dacie, coście go zdybali w kartoflach?...

— Bodaj on z tobą gryzł ziemię! — odpowiadała rozdrażniona kobieta i choć poprzednio miała zamiar nakarmić Walka, teraz nie dała mu jeść.

— Przecież tak nie można, żeby chłopak, choć znajda, zdychał z głodu — reflektowały ją inne baby.

— Właśnie, że zdechnie na przekor wam, kiedy tak wydziwiacie!...

A ponieważ siedziała trochę tyłem do tapczanu na konewce, więc Walek dostał piętą w zęby.

Wtedy parobcy na złość matce wydobywali go z ukrycia i karmili.

— No, Walek — mówił jeden — pocałuj Burka w ogon, to dostaniesz klusków.

Chłopiec punktualnie spełniał rozkaz, a za to łykał wielkie kluski nawet ich nie gryząc.

— No, a teraz daj matce w łeb to dostaniesz mleka...

— O, bodajże wam ręce pokrzywiło! — wołała pomywaczka, a chłopiec — umykał za swój szaflik.

Czasem zziajany, strwożony, biegł pędem na dziedziniec i krył się w gęstych krzakach naprzeciw pałacu. A gdy mu łyzy obeschły, widział na ganku piękny stoliczek, przy nim dwa krzeselka, a na nich Lonię i moją siostrę, którym pokojówka wiązała serwetki pod brodą, Salusia nalewała zupę, a pani hrabina mówiła:

— Dmuchaście dzieci, nie poparzcie się, nie powalajcie... A może nie słodkie?...

Skoro parobcy odeszli do roboty i w kuchni nie było nikogo, pomywaczka wychodziła na podwórze i wołała:

— Walek!... Walek... Chodź ino tu...

Ze sposobu wołania chłopiec poznawał, że może wyjść i biegł w stronę kuchni. Tam dostawał od matki kawał chleba, drewnianą łyżkę i trochę barszczu w ogromnej donicy, z której jadło sześć osób. Siadał na ziemi, matka stawiała mu donicę między nogi, i poprawiwszy koszulę na plecach, rzekła:

— A jak kiedy pocałujesz psa w ogon, to ci wszystkie gnaty porachuję. Pamiętaj se!

Potem odchodziła zmywać statki.

Wnet jak z pod ziemi wyłaził skądś pies podwórzowy i siadał naprzeciw chłopca. Z początku kłapał zębami na muchy, ziewał, oblizywał się. Potem powąchał barszczu raz i drugi i—ostrożnie zanurzył w nim język. Walek go pęc! łyżką w łeb. Pies cofnął się, znowu ziewnął i — znowu chlapanął parę łyków, trochę śmielój. Potem już mógł go chłopiec opukiwać po łbie łyżką, jak chciał, bo pies nabrawszy apetytu, za żadne skarby nie wyjąłby pyska z donicy. Lecz i Walek zmiarkował, że ten będzie lepszy, kto pierwój zje i jadł aż się zadyszał, z jednego brzegu, a pies chlapał sobie z drugiego.

Jeżeli matka miała dobry humor, a Walek był pod ręką, wówczas dostawały mu się przysmaki z dworskiego stołu.

— Naści, pobaw się — mówiła pomywaczka, dając mu okruchy ciastek, talerz powalany sosem, rybi łeb, nieogryzione skrzydełko, albo szklankę, na dnie której znajdowała się odrobina kawy i reszta nierozpuszczonego cukru. Gdy wszystko wyszał ze szklanki, albo do czysta wylizał talerz, zapytywała go matka:

— A co—dobre?...

Walek brał się pod boki, jak to robili parobcy

po obiedzie, głęboko oddychał i, przesunawszy na bakier swój stary kapelusz, odpowiedział:

— Podjadł se człowiek Bogu dziękować! .. Trza iść do roboty...

Opuszczał kuchnię i szedł gdzieś na całe pół dnia.

Swoje zabawy stosował do tego, co robili starsi. W czasie orki wydobywał z za koryta batożek, ujmował w rękę pierwszy lepszy kołek w płocie, albo korzeń wywróconego drzewa i — orał całemi godzinami, naturalnie, kiwając się w miejscu i wołając:

— Byś ksy! ksy!...

Jeśli łapano ryby, wyszukiwał między śmiecia-
mi dziurawego sitka i z niezmordowaną cierpliwością
zanurzał je w wodę. To znów siadał na kiju i jechał
poić konie do studni. Raz, znalazłszy koło owczarni
stare łapcie z lipowego łyka, rzucił je na wodę
i niby to pływał czółnem—naturalnie w myśli.

Słowem — bawił się doskonale, tylko nigdy się
nie śmiał. Do jego dziecińnej twarzy przypił się
wyraz niewzruszonej powagi, którą czasami tylko
strach luzował. W dużych oczach siedziało wieczne
zdumienie, jak u ludzi, którzy przez długie lata
patrzyli na niesłychane rzeczy.

Walek umiał zręcznie wymykać się z domu na
całe dni. I nie dziwiło to parobków, jeżeli jakiego
ranka znajdowali go w stogu, albo w lesie pod drze-

wem. Umiał też na środku pola wystawać długie chwile bez ruchu, jak szary słupek i z otwartymi ustami patrzeć nie wiadomo na co. Wyśledziłem go raz w takiej pozycyi, a będąc dość blisko, słyszałem jak westchnął. Nie wiem dlaczego, westchnienie tak małej figurki przeraziło mnie. Uczułem jakiś żal, niewiadomo do kogo i w tej chwili polubiłem Wal-ka. Ale, gdym postąpił ku niemu parę kroków nieco śmieliej, chłopiec ocknął się i uciekł w krzaki z niepojętą zwinnością.

Wtedy zrodziła mi się w głowie myśl szczególna, że Bóg, który wciąż patrzy na takie dziecko, musi mieć duszę smutną. Zrozumiałem też, dlaczego na świętych obrazach jest zawsze poważny i dlaczego w kościele trzeba cicho rozmawiać i chodzić na palcach.

Taki to niepozorny człowieczek sprawił, że, zamiast kryć się za parkansami, postanowiłem wybrać się do parku, oświadczywszy pierwój Zosi, że odtąd będę się bawił — z nią i z Lonią.

Naturalnie siostrę zachwycił ten projekt.

— Bądźże w parku wtedy — mówiła — kiedy obie wyjdziemy na spacer. Przywitaj się także z guwernantką, która zawsze czyta książki w altanie; ale nie rozmawiaj z nią długo, bo ona nie lubi, ażeby jój przeszkadzać. A potem — zobaczysz jak nam będzie wesoło.

Tego samego dnia, przy obiedzie, rzekła do mnie z miną tajemniczą:

— Przyjdź o trzeciej, powiedziałam już Loni, że będziesz. Jak wyjdziemy z pałacu—zakaszlę...

Siostra wzięła się do jakiejś roboty, a ja, naturalnie, wyszedłem, bo co prawda nigdy nie lubił zabierać miejsca w pokoju. Już byłem na dziedzińcu kiedy wybiegła za mną Zosia:

— Kaziu! Kaziu!...

— Cóż tam?...

— Kiedy zakaszlę, będziesz wiedział co to znaczy?... rzekła uroczyście.

— Rozumie się.

Wróciła do pokoju, lecz jeszcze zawołała do mnie przez okno!

— Ja zakaszlę... Pamiętaj!

I gdzieżem miał pójść, jeżeli nie do parku, choć do umówionej chwili brakowało tęgie półtoręj godziny. Byłem tak zamysłony, że nie wiem czy tego dnia śpiewał jaki ptak w ogrodzie, zazwyczaj bardzo ożywionym. Obiegnę go parę razy w koło, a następnie siadłem w czółno przywiązane do brzegu i, nie mogąc pływać, przynajmniej kołysałem się w niem z nudów.

Układałem sobie plan odświeżenia znajomości z Lonią. Miało się to odbyć w następujący sposób. Gdy Zosia zakaszle, ja z bocznej ścieżki wyjdę ze

spuszczoną głową w główną aleję. Wtedy Zosia powie:

„Patrz, Loniu, to mój brat, pan Kazimierz Leśniewski, uczeń klasy drugiej, przyjaciel tego nieszczęśliwego Józia, o którym ci tyle mówiłam“.

Lonia wtedy zrobi dyg, a ja, zdjawszy czapkę, powiem:

„Dawno już miałem zamiar“... Nie, tak źle!... „Dawno już pragnąłem odnowić z panią“... O, nie!... Lepiej będzie tak: „Dawno już pragnąłem złożyć pani moje uszanowanie“.

Wtedy Lonia spyta się:

„Pan dawno bawi w naszych stronach?...“ Nie, ona nie powie tak, ale tak: „Przyjemnie mi poznać pana, o którym tyle słyszałam od Zosi.“ A potem co?... Potem—to: „Czy nie przykrzy się panu w naszej okolicy, pan przywykł do wielkiego miasta.“ A ja odpowiem: „Przykrzyło mi się, dopókim nie miał towarzystwa pani“...

W téj chwili pod powierzchnią wody mignął szczupak, mający z pół łokcia... Wobec podobnej rzeczywistości pierzchnęły marzenia. Tu, w sadzawce są takie ryby, a ja—nie mam wędkil...

Zerwałem się z czółna, chcąc zobaczyć czy w domu są haczyki i—o mały włos—nie potraściłem Loni, która właśnie zabierała się do skakania przez czerwony sznurek.

Ryby, haczyki, plan zawarcia uroczystej znajo-

mości—wszystko od razu pomieściło mi się w głowie. Oto—szczupak!... Nawet zapomniałem uklonąć się Loni, gorzej jeszcze—bom zapomniał mówić. Ale co za szczupak...

Lonia, śliczna szatyneczka z wyraźnie zarysowanymi ustami, które co chwila układały się w inny sposób, spojrzała na mnie z góry i odrzuciwszy w tył bujne loki, zapytała bez wstępu:

— Czy to prawda, że kawaler przedziurawił nam czółno?

— Ja?...

— Tak mi powiedział ogrodnik, a teraz mama nie pozwala nam pływać i kazała czółno przywiązać do brzegu, a wiosła pochować.

— Ależ jak ojca kocham, tak nie przedziurawiłem czółna! — tłumaczyłem się jak przed inspektorem.

— Czy tylko z pewnością?—pytała Lonia, szybko patrząc mi w oczy. Bo to do kawalera bardzo podobne...

Ton panienki nie podobał mi się. Do licha! najmocniejszy kolega nie przemówiłby do mnie w taki sposób.

— Kiedy ja mówię, że *nie*, to już jest z *pewnością*!...— odpowiedziałem, silnie akcentując odpowiednio wyrazy.

— W takim razie ogrodnik powiedział nieprawdę — rzekła Lonia, marszcząc brwi.

— Dobrze zrobił — odparłem — bo młode panny nie umieją pływać czółnem.

— A kawaler umie pływać?

— Ja umiem i czółnem i rękami, a także na wznak i stojący.

— A kawaler będzie nas woził?

— Jeżeli mama pani pozwoli, to będę.

— Więc niech kawaler zobaczy, czy czółno nie jest dziurawe.

— Nie jest.

— A skądże się tam wzięła woda?

— Z deszczu.

— Z deszczu?

Rozmowa urwała się. Tylem jednak zyskał, że śmiało patrzył na Lonię, a ona, o ile dziś mi się ta rzecz przedstawia, nic sobie ze mnie nie robiła. Owszem, nie ruszając się z miejsca, zaczęła podskakiwać przez sznur, w odstępach rozmawiając ze mną.

— Dla czego kawaler nie bawił się z nami?

— Bom był zajęty.

— Cóż kawaler robi?

— Uczę się.

— Przecież na wakacjach nikt się nie uczy.

— W naszej klasie trzeba się uczyć nawet przez wakacje.

Lonia przeskoczyła sznur dwa razy i rzekła:

— Adaś jest w czwartéj klasie, a jednak przez

święta nie uczył się. Ach, prawda!... kawaler nie zna Adasia...

— Któż to pani powiedział, że nie znam? — zapytałem z dumą.

— Bo kawaler był w pierwszej klasie, a on w trzeciej...

Znowu dwa skoki przez sznur... Myślałem, że mi się stanie coś dziwnego.

— Ze mną wdawała się nawet czwarta klasa — odparłem podrażniony.

— Wszystko jedno, bo Adaś chodzi do szkół w Warszawie, a kawaler... Gdzie to kawaler chodzi do szkół?... Gdzie?...

— Siedlcach — ledwiem odrzekł zdławionym głosem.

— A ja pojedę także do Warszawy — objaśniła Lonia i dodała:

Może kawaler powie Zosi, że już tu jestem...

I nie czekając na moją zgodę lub odmowę, pobiegła ku altance, wciąż skacząc.

Byłem odurzony, nie mogło mi się w głowie pomieścić, jak mnie ta dziewczyna traktuje.

— A dajcie mi spokój z waszą zabawą — pomyślałem naprawdę rozgniewany. Lonia to niegrzeczna, niedelikatna, to — smarkacz!...

Powyższe jednak uwagi nie przeszkodziły mi spełnić natychmiast jój rozkazu. Poszedłem do do-

mu bardzo prędko, może nawet zaprędko, zapewne skutkiem wewnętrznego wzburzenia.

Zosia brała już parasolkę, aby iść do ogrodu.

— No, wiesz—rzekłem, rzucając czapkę w ką—
poznałem się z Lonią.

— I cóż?...—spytała siostra ciekawie.

— Nic... tak sobie!... — odparłem, nie patrząc
jój w oczy.

— Prawda, jaka ona dobra, jaka ładna?...

— Ach! nie mnie to nie obchodzi. Właśnie prosi
cię, żebyś tam przysłała.

— A ty nie pójdziesz?

— Nie.

— Dlaczego? — spytała Zosia, zaglądając mi
w oczy.

— Dajże mi spokój!...—oburknąłem. Nie pójdę,
bo mi się nie podoba...

Musiało być coś bardzo stanowczego w moim
głosie, skoro siostra, już nie zadając mi dalszych py-
tań—wyszła. Widząc, że prawie biegnie, zawołałem
ją przez okno.

— Zosiu, tylko proszę cię — nie tam nie mów..
Powiedz, zem... że trochę boli mnie głowa.

— No, no, nie bój się. Ja ci nie zaszkodzę.

— Pamiętaj, Zosiu, jeżeli mnie choć trochę
kochasz.

Naturalnie, żeśmy się bardzo serdecznie uca-
łowali.

Trudno dziś odgrzebać w pamięci uczucia, jakie mnie szarpały po odejściu Zosi. Jak ta Lonia śmiała rozmawiać ze mną w podobny sposób?... Wprawdzie nauczyciele, a szczególnie inspektor, traktowali mnie dość familiarnie, no—ale to starzy ludzie. Lecz między kolegami w pierwszej, (obecnie już w drugiej klasie), cieszyłem się poważaniem. A tu na wsi—proszę posłuchać, jak rozmawiał ze mną ojciec, jak mi się kłaniali parobcy, ile razy mówił pisarz: „panie Kazimierzu, może pozwoli pan do mnie na fajeczkę?“ Ja mu na to: „dziękuję panu, nie chcę się przyzwyczajać“. A on: „jaki pan szczęśliwy, że pan ma taką moc nad sobą... Pan nie dałby się i guwernantce“...

Odpowiednio do postępowania starszych ja także byłem poważny. Przecie sam ksiądz proboszcz mówił do ojca: „patrzaj, mości dobrodzieju, panie Leśniewski, co to szkoła robi z chłopaka; ten Kazio, rok temu był wisus i pędziwiatr, a dziś, mości dobrodzieju, to statysta, to Meternich“...

Tak mnie sądzili ludzie... I trzeba wypadku, żeby jakaś koza, która ani jednej klasy nie widziała, ażeby ona śmiała mi powiedzieć, że—„to do kawalera bardzo podobne“... Kawaler?... co mi za dorosła panna! Że zna jakiegoś Adasia, to już zadziera głowę. Cóż ten Adaś? skończył trzecią klasę, a ja idę do drugiej. Wielka różnica! Jak będzie osioł, to go dogonię, a nawet przegonię. Jeszcze, w dodatku do

wszystkiego, każe mi iść po Zosię, jakbym ja był jej lokajczukiem. Zobaczymy, czy cię na drugi raz usłucham. Słowo daję, że, jeżeli kiedy odezwie się z czemś podobnem, to poprostu—włożę ręce w kieszenie i odpowiem: „Tylko proszę sobie tak nie pozwalać!“ A nawet lepij: „Moja Loniu, widzę, że nie nauczyłaś się grzeczności“... Albo nawet tak: „Moja Loniu, jeżeli chcesz, ażebym się z tobą wdawał“...

Czułem, że mi nie przychodzi dobra odpowiedź i to mnie coraz więcej drażniło. Musiałem się nawet zmienić na twarzy, bo nasza gospodyni, stara Wojciechowa, dwa razy wchodziła do pokoju, patrząc na mnie z pod oka, aż nareszcie odezwała się:

— O, dla Boga, a czego to Kazio taki markotny?... Czy co Kazio zwojował, czy może z panem co?...

— Nic mi nie jest.

— Już ja widzę, że nie, nic przedemną się nie zataisz. Jakieś co zmalował, to od razu idź do ojca i przyznaj się.

— Ale nic nie zrobiłem. Trochem się zmęczył i tyle.

— Jakieś się zmęczył, to se odpodocznij i podjedz. Zaraz dam ci chleba z miodem.

Wyszła i za chwilę powróciła z ogromnym kawałem chleba, z którego miód aż kapał.

— Ale ja nie będę jadł, dajcie mi spokój!...

— Co nie masz jeść? Bierz ino prędko, bo mi

miód po palcach ucieka. Podjesz se to, się zaraz rozweselisz. Człowieka zawsze trapi kiedy głodny, ale jak se podje, zaraz mu się w głowie przetrze... No, ino weź do garści.

Musiałem wziąć, bojąc się, ażeby mi nie okapała miodem włosów albo munduru. Machinalnie zjadłem i naprawdę zrobiło mi się trochę lżej w sercu. Pomyślałem, że jakoś dam sobie radę z Lonią i że wartoby także biednego Walka poczęstować, bo on pewnie miód rzadko jadał, a zresztą — już go lubiłem.

Na moje żądanie, Wojciechowa, widząc tak błogi skutek lekarstwa, ukroiła mi jeszcze większy kawałek chleba, nie żałując miodu. Ostrożnie zabrałem prowiant i wyszedłem szukać chłopca.

Znalazłem go nieopodal od kuchni. Rozmawiali z nim, śmiejąc się, dwaj parobcy, którzy przywieźli drzewo z lasu.

— Jak cię jeszcze raz matka zbije — mówił jeden — to zabierz się i idź w świat. Co, pójdiesz?..

— Kiej nie wiem jak — odparł Walek.

— Weź buty na kij i aby za las. Tam światu dosyć.

— Kiej butów niémam.

— To weź sam kij. Z kijem i bez butów znajdziesz...

Zobaczywszy mnie, chłopiec uciekał w stronę łośpianu.

— Co wy mu tak mówicie? — zapytałem parobków.

— Nic—kpinujemy se z niego. Zwyczajnie, jak z głupiego.

Czując, że miód zaczyna mi walać palce, nie wdawałem się z nimi w dalszą rozmowę, lecz poszedłem za Walkiem. Stał między zielskiem i patrzył na mnie.

— Walku — zawołałem — masz tu chleb z miodem.

Nie ruszył się.

— No chodźże...—i postąpiłem parę kroków.

Chłopiec zaczął uciekać.

— Och! jakiś ty głupi... No masz chleb, kładę ci go, ot tu...

Położyłem na kamieniu i odszedłem. Ale dopiero gdy się skrył za węglem kuchni, chłopiec zbliżył się do kamienia, począł ostrożnie chleb oglądać i nareszcie — zjadł go, o ile mi się zdaje z apetytem.

W godzinę później, idąc w stronę lasu spostrzegłem, że chłopiec drepcze za mną w pewnej odległości. Zatrzymałem się i on stanął. Gdym zawróciłem do domu, on skoczył na bok i skrył się w krzakach. Ale po małej chwili znowu biegł za mną.

Tego dnia dałem mu drugi raz chleba. Wziął go z ręki, lecz jeszcze z obawą i zaraz uciekł. Wszela-

ko od téj pory począł chodzić za mną, zawsze w pewnej odległości.

Od rana krążył pod naszymi oknami, jak ptak, któremu przyjacielska ręka sypie ziarno. Wieczorem siadał pod kuchnią i patrzył na naszą oficynę. Dopiero gdy światło zgasło, szedł spać na płachtę za piec, gdzie mu świerkały nad głową świerszcze.

W kilka dni po pierwszym spotkaniu z Lonią, ulegając namowom Zosi, poszedłem z nią do parku

— Wiesz — zapewniała mnie siostra — że Lonia bardzo tobą zajęta. Ciągłe mówi o tobie, gniewa się, żeś wtedy nie wrócił i wypytuje, kiedy przyjdiesz.

Cóż dziwnego, żeś uległ, tembardziej, że mnie samego coś ciągnęło do Loni. Zdawało mi się, iż wtedy dopiero skończą się moje tęsknoty, wywołane śmiercią Józia, gdy zacznę chodzić z Lonią pod rękę i prowadzić z nią jakieś poważne rozmowy. O czem mianowicie? nie wiem do dziś dnia. Czułem tylko, że chcę pięknie mówić, dużo mówić i — mieć jedynego słuchacza w Loni.

Na myśl o przechadzkach we dwoje, coś grało mi w piersiach jak arfy, migotało jak słońce w kroplach rosy. Ale rzeczywistość nie zawsze odpowiada marzeniom. To też, gdy prowadzony przez siostrę, spotkałem znowu Lonię, odezwałem się do niej z zamiarem rozpoczęcia owych idealnych rozmów:

— Czy pani lubi łapać ryby?

W téj chwili dziewczęta wzięły się pod ręce, za-

częły szeptać, biegać po alei i śmiać się jak szalone. Osłupiałem, obracając w palcach wędkę, dla zrobienia której małom nie dostał kopytem od siwego konia za to, że mu wrywał z ogona włosień.

Już zabierałem się do odejścia obrażony, gdy wróciły dziewczęta, a Zosia rzekła:

— Lonia prosi cię, żebyście mówili sobie po imieniu.

Ukłoniłem się, milcząc z zakłopotania, a one znowu w śmiech i pobiegły w stronę sadzawki.

— Wie kawaler... — zaczęła Lonia, lecz wnet poprawiła się.

— Wiesz, Zosiu, że mama stanowczo nie pozwala nam pływać czółnem. Powiedziałam, że nas będzie woził twój brat, ale mama...

Wyszeptala Zosi jakiś długi frazes do ucha; ja jednak odrazu zgadłem o co chodzi. Pewnie mama boi się, ażebym nie potopił dziewcząt, ja, taki pływak i uczeń drugiej klasy!..

Byłem zawstydzony. Spostrzegła to Lonia i nagle rzekła:

— Niech kawaler...

Znowu poprawiła się.

— Poproś, Zosiu, brata, ażeby nam urwał lilij wodnych. One takie ładne, a ja ich nigdy nie miałam w ręku.

Duch we mnie wstąpił. Przynajmniej teraz pokażę, co umiem.

Dużo lilij rośło na sadzawce, ale nie przy brzegu, tylko trochę dalej. Ułamałem pręt i wszedłem na huśtające się czółno.

Lilje mają jakby sprężyste łodygi. Zaczepione prętem zbliżały się, lecz wnet odpływały. Ułamałem kij dłuższy, zakończony rodzajem haczyka. Tym razem udało mi się lepij. Moeno pochwycona lilia przypłynęła tuż, tuż... Wyciągam lewą rękę, jeszcze zadaleko. Klękam na dziobie łódki, wychylam się i już mam zerwać kwiat, gdy nagle—padam na wodę jak długi, pręt wymyka mi się z ręki, a lilia znowu odpływa.

Panny w krzyk... Ja wołam: to nie! to nie! tu płytko! . Wylewam wodę z czapki, kładę ją na głowę i brodząc po pas w sadzawce a po kolana w błocie zrywam jedną lilię, drugą, trzecią, czwartą...

— Kaziu! na miłość boską, wracaj... — woła z płaczem siostra.

— Dosyć, już dosyć!...—wtóruje jej Lonia.

Ja nie słucham. Rwę piątą, szóstą i dziesiątą lilię, a potem liście.

Wszedłem z sadzawki, zmoczony od stóp do głów, zabłocony powyżej kolan i na rękawach. Na brzegu Zosia płacze, Lonia nie chce brać kwiatów, a za nimi kryje się żółty ze strachu—Walek...

Widzę, że Lonia ma także łzy w oczach, lecz nagle zaczyna się śmiać:

— Patrz, Zosiu, jak on wygląda!...

— Boże! co powie tatko?...— woła Zosia. — Mój Kaziu, umyj-że sobie przynajmniej twarz, boś cały zamazany.

Machinalnie dotykam nosa zabłoconą ręką. Lonia ze śmiechu aż siada na murawie, Zosia także śmieje się, ocierając oczy, a nawet Walek otwiera usta i wydaje głos popobny do beczenia.

Teraz jego spostrzegają dziewczynki.

— Co to jest? — pyta Zosia — skąd on się tu wziął?

— On tu przyszedł za twoim bratem—odpowiada Lonia. — Widziałam go jak się skradał między krzakami.

— Boże! jaki on ma kapelusz!... Czego on chce od ciebie, Kaziu?...—mówi siostra.

— Chodzi za mną od kilku dni.

— Aha! to pewnie Kazio z nim się bawił, kiedy od nas uciekał... — odzywa się ironicznie Lonia. — Patrz, Zosiu, jak oni obaj wyglądają — jeden zalany wodą, a drugi nieumyty... Oj, zaśmieję się!...

To zestawienie z Walkiem wcale mi się nie podobalo.

— No, mój Kaziu, umyj-że się i idź do domu przebrać się, a my pójdziemy tymczasem do altanki — rzekła Zosia, podnosząc Lonię, która z nadmiaru uciechy była blizką spazmów.

Odeszły. Zostałem ja, Walek i —pek lilij na trawie, których nikt nie podniósł.

— Taką to nagrodą za moje poświęcenie?—pomyślałem z goryczą, czując błoto w ustach. Zdjąłem czapkę. Strach co się z nią zrobiło!... Podobna do ścierki, a daszek w jednym miejscu odłazi. Z munduru, z kamizelki, z koszuli strugami płynie woda. Pełno jej w butach, aż skwierczy, gdy się ruszę. Czuję, że z płótna robi się na mnie sukno, z sukna skóra, a ze skóry drewno. A tam, w stronie altanki, słyszę jeszcze śmiech Loni, która moją przygodę opowiada guwernantce.

Za chwilę przyjdą tu. Chce się umyć, lecz, niedokończywszy, uciekam, bo już idą!... Już w alei widzę ich suknie, słyszę wydziwiania guwernantki. Przecięły mi drogę do domu, zawracam w inną stronę ku płotowi.

— Gdzież on jest?— zapytuje krzykliwie guwernantka.

— O, tam, tam!... uciekają obaj — odpowiada Lonia.

Teraz widzę, że Walek krok w krok biegnie za mną. Dopadam płotu, on za mną. Włazę na żerdzie, on także. I kiedy obaj, zwrócenii twarzami do siebie siedzimy na płocie, jak na koniu, w krzakach ukazują się Lonia, Zosia i guwernantka.

— Ach! i ten przyjaciel!... — krzyczy Lonia ze śmiechem.

Zeskoczyłem z płotu i pędzę przez pole w stronę naszej oficyny, a Walek wciąż dostrzymuje mi towa-

rzystwa. Widocznie bawi go ta obława, bo otwiera usta i wydaje głos beczący, który ma oznaczać zadowolenie.

Stałem—wściekły z gniewu.

— Mój kochany, czego ty chcesz odemnie?... Czego się za mną włóczysz?...—rzekłem do chłopca.

Walek zdumiał się.

— Idź sobie odemnie, idź sobie precz!... — mówiłem, zaciskając pięści. — Narobiłeś mi wstydu, wszyscy śmieją się ze mnie... Jeżeli mi jeszcze kiedy wleziesz w drogę, zbiję cię...

Powiedziawszy to, odszedłem, a chłopiec został. Gdy oddalił się o kilkanaście kroków i odwrócił głowę, zobaczyłem go w tem samem miejscu. Patrzył na mnie i głośno płakał.

Wpadłem do naszej kuchni jak upiór, a gdziekolwiek stąpiłem, zostawała struga wody. Na mój widok spłoszone kury z gdakaniem i rozpuszczonemi skrzydłami rzuciły się do okien, dziewczuchy zaczęły się śmiać, a Wojciechowa uderzyła w rękę.

— Słowo stało się ciałem!... A tobie co?... — krzyknęła babina.

— Nie widzicie?... Wpadłem w sadzawkę i ba-sta!... Niech mi Wojciechowa da płócienne ubranie, bóty, koszulę... Tylko prędzój.

— Zgryzota moja z tym Kaziem! — odpowiedziała Wojciechowa. Do kitła pewno guziki nie przszyte... Kaśka, rusz ino się, poszukaj butów.

Zaczęła mi rozpinąć i zdejmować mundur, przy pomocy drugiej dziewczuchy. Poszło jako tako, ale z butami był ambaras. Ani w prawo, ani w lewo. Wreszcie zawołały do pomocy fornała. Musiałem położyć się na tapczanie, Wojciechowa z dziewczuchami trzymały mnie pod ramiona, a fornał ściągał buty. Myślałem, że mi nogi powykręca. Za to w pół godziny byłem już jak lalka — wytarty, przebrany i uczesany. Nadbiegła Zosia i przyszyła mi guziki do płóciennego uniformu, Wojciechowa zmoczoną odzież wykręciła, wyniosła na strych i—cicho.

Ojciec jednak, wróciwszy do domu, wiedział już o wszystkim. Popatrzył na mnie drwiąco, pokiwał głową i rzekł:

— Oj, ty ośle, ośle!... Pójdź teraz do Loni, żeby ci sprawiła nowe majtki.

Wnet ukazał się pan gorzelany. I ten mnie obejrzał, naśmiał się, ale podsłuchałem, jak mówił do ojca w kancelaryi:

— Żwawy chłopak! za dziewczuchami wlezie w ogień... Tak, jak my, za młodych lat, panie Leśniewski.

Domyślałem się, że cały folwark wiedział o mojej uprzejmości dla Loni i byłem bardzo zawstydzony.

Nad wieczorem, przyszła dziewczeczka, Lonia i guwernantka, a każda z nich, o dziwo! miała przy sukni—lilię wodną... Chciałem schować się pod zie-

mię, uciec, ale — zawołano mnie i stanąłem przed obliczem pań.

Uważałem, że guwernantka przypatruje mi się bardzo życzliwie. Zaś pani hrabina pogłaskała mnie po czerwonej twarzy i dała mi kilka cukierków.

— Mój chłopczyku — rzekła — bardzo pięknie, żeś taki grzeczny, ale, proszę cię — nie woź nigdy panienek czółnem. Dobrze?..

Pocałowałem ją w rękę i coś mruknąłem.

— Ale i sam także nie pływaj. Przyrzekasz mi?.

— Nie będę pływał.

Potem zwróciła się do guwernantki i coś pogadała po francusku. Usłyszałem kilka razy powtórzony wyraz: *hero*. Na nieszczęście usłyszał go i ojciec i odezwał się:

— Oj, ma pani hrabina rację. Heród, prawdziwy Heród!.

Panie uśmiechnęły się, a po ich odejściu Zosia, usiłowała wytłumaczyć ojcu, że *hero*, pisze się *héros* a po francusku nie znaczy heroda tylko bohatera.

— Bohater?—powtórzył ojciec.— On taki bohater, że zamoczył mundur i podarł majtki, a ja beknę Szulimowi ze dwadzieścia złotych. Niech dyabli wezmą bohaterstwo, za które inni muszą płacić.

Prozaiczne poglądy ojca dużo mi sprawiły przykrości. Dziękowałem jednak Bogu, że się tylko na nich skończyło.

Odtąd widywałem się z Lonią nietylko w parku

ale i w pałacu. Jadłem tam parę razy obiad, co napędziło mi dużo kłopotu i prawie codziennie podwieczorek, na który dawano kawę albo poziomki, albo maliny z cukrem i ze śmietanką.

Często rozmawiałem ze starszemi paniami. Hrabina dziwiła się memu odczytaniu, które zawdzięczałem bibliotece garbuska, a guwernantka, panna Klementyna, poprostu zachwycała się mną. Tę ostatnią sympatyę zawdzięczałem nie tyle mojej erudycji, ile rozmowom o pisarzu, o którym wiedziałem, gdzie pilnuje roboty i co myśli o panie Klementynie. W końcu, światła ta osoba zwierzyła mi się, iż wcale nie myśli wyjść za mąż za pisarza, lecz pragnęłaby tylko podnieść go — moralnie. Oświadczyła mi, że, według jej pojęć, rola kobiet w świecie polega na podnoszeniu mężczyzn i że ja sam, gdy urosnę, muszę spotkać w życiu taką kobietę, która mnie podniesie.

Wykłady te bardzo mi się podobały. Coraz też gorliwiej znosiłem panie Klementynie wiadomości o pisarzu, a jemu o panie Klementynie, za co pozyskałem życzliwość obojga.

O ile dziś sobie przypominam, w pałacu życie było osobliwe. Do hrabiny co kilka dni przyjeżdżał jej narzeczony, a panna Klementyna po parę razy na dzień odwiedzała te zakątki parku, z których mogła zobaczyć pisarza, a przynajmniej—jak mówiła — usłyszeć dźwięk jego głosu, zapewne wówczas,

~~~~~

kiedy wymyślał parobkom. Ze swój strony panna służąca płakiwała kolejno w rozmaitych oknach za tymże pisarzem, a reszta fraucymeru, naśladowując zwierzchność, dzieliła swe uczucia między lokaja, chłopca kredensowego, kucharza, kucyka i stan-greta. Nawet serce starój Salusi nie było wolne. Panowały w niem indyki, gąsiory, kaczory, koguty i kapłony, tudzież ich różnopióre i różnoksztaltne towarzyski, w gronie których gospodyni całe dni przepędzała.

Rzecz prosta, że w tak zajętem otoczeniu nam dzieciom schodził czas swobodnie. Bawiliśmy się od rana do wieczora i tylko wówczas widywaliśmy osoby starsze, gdy wołano nas na obiad, na podwieczorek, albo na spoczynek.

Dzięki téj wolności, moje stosunki z Lonią ułożyły się w sposób dość oryginalny. Ona mi mówiła przez parę dni „Kaziu,“ później „ty“ — posługiwała się mną, nawet krzyczała na mnie, a ja—wciąż nazywałem ją „panią“, coraz rzadziej mówiłem, ale coraz częściej słuchałem. Niekiedy budziła się we mnie duma człowieka, który za rok może pójść do trzeciej klasy. Wtedy przeklinałem owę chwilę, kiedy to Lonię po raz pierwszy usłuchał, idąc na jój rozkaz po siostrę. Mówiłem sobie:

— Cóż to ona myśli, że ja u niej jestem w służbie, jak mój ojciec u jój matki?..

Tym sposobem buntowałem samego siebie, posta-



nawiałem, że się to musi zmienić. Lecz na widok Loni całkiem opuszczała mnie odwaga, a jeżeliby nawet i zdołał zatrzymać jakąś resztkę, to znowu Lonia wypowiadała swoje rozkazy z taką niecierpliwą prośbą, tak tupała nóżką, że musiał wszystko zrobić. A kiedy raz, złapawszy wróbla, nie oddałem jęgo natychmiast, zawołała.

— Nie chcesz, to nie!... Obejdę się bez twego wróbla...

Była tak obrażona i taka ciekawa, że ją zaczął zaklinać, ażeby wzięła wróbla. Ona nie i nie!... Ledwie ją przebłagał, naturalnie przy pomocy Zosi i jeszcze mimo to przez kilka dni musiałem słuchać żalów:

— Jaby ci takiej przykrości nigdy w życiu nie zrobiła. Wiem teraz jakis ty stały. Pierwszego dnia skoczyłeś w wodę, ażeby mi lili narwać, a już wczoraj nie chciałeś mi nawet pozwolić, żebym trochę pobawiła się z ptaszkiem. Wiem już wszystko. O! żaden inny chłopiec nie postąpiłby ze mną w taki sposób.

A kiedy po wszelkich możliwych wyjaśnieniach, prosiłem ją w końcu, ażeby się choć nie gniewała, odparła:

— Czy ja się gniewam?... Ty najlepszą wiesz, że się na ciebie nie gniewam. Mnie tylko było przykro. Ale jak mi było przykro, tego sobie nikt nie wyobrazi... Niech ci powie Zosia, jak mi było przykro.

Wtedy Zosia z uroczystą miną, wytłumaczyła mi, że Loni było bardzo, ale to bardzo przykro.

— Zresztą niech ci powie sama Lonia, jak jój było przykro — zakończyła moja kochana siostrzyczka.

Odsyłany od Anasza do Kajfasza po bliższe określenie stopnia owój przykrości, zupełnie straciłem głowę.

Stałem się maszyną, z którą panienki robiły, co im się tylko podobało, bo lada cień samodzielności z mojej strony, wyrządzał przykrość albo Loni, albo Zosi, którą obie te panie odczuwały do spółki.

Gdyby biedny Józio wstał z grobu, nie poznałby mnie w tym cichym, posłusznym, zahukanym kawalerze, który wiecznie po coś chodził, coś nosił, czegoś szukał, o czymś nie wiedział, na czymś nie znał się i co kilka minut był strofowany. A gdyby to widzieli moi koledzy!...

Pewnego dnia panna Klementyna była bardziej zajęta niż zwykle. Pisarz bowiem miał jakiś dozór przy stajniach, o kilkanaście kroków od jój ulubionej altanki. Korzystając z tego wymknęliśmy się we troje za park, do tych krzaków—gdzie rosły jeżyny.

Strach ile ich tam było! Co krok kępa, a na każdej gąszcz jeżyn czarnych i wielkich jak śliwki. Z początku zbieraliśmy je razem, zamieniając między sobą wykrzykniki podziwu i zadowolenia. Wkrótce jednak zamilkliśmy i rozeszliśmy się każde w swoją

stronę. Nie wiem jak tam dziewczęta, ale ja, utonąwszy wśród najgęstszych kęp, zapomniałem o świecie. Co to były za jeżyny!... Dziś niema nawet takich ananasów.

Zmęczony stanem — usiadłem, zmęczony siedzeniem — położyłem się na krzakach, jak na sprężynowym fotelu. Było tu tak ciepło, tak miękko i obficie, że nie wiem skąd pomyślałem, iż właśnie tak musiało być Adamowi w raju. Boże! Boże! dlaczego ja nie byłem Adamem? Do dziś dnia na przekłętym drzewie rosłyby jabłka, bo dla zerwania ich nie chciałoby mi się nawet ręki podnieść nad głowę...

Rozciągając się jak wąż pod ciepłym słońcem, na giętych krzakach, czułem nieopisane szczęście, głównie z tego powodu, że mogłem zupełnie nie myśleć. Czasem przewracałem się nawznak, głową niżej niż reszta ciała. Poruszone wiatrem liście głaskały mnie po twarzy, a ja patrzyłem w ogromne niebo i z niezgłębionym zadowoleniem wyobrażałem sobie, że mnie — wcale niema. Lonia, Zosia, park, obiad, wreszcie szkoły i pan inspektor, wydawały mi się snem, który niegdyś był, ale już przeszedł, może sto lat temu, a może i tysiąc. Biedny Józio w niebie wciąż zapewne doświadcza tych uczuć. Jaki on szczęśliwy!...

W końcu już mi się i jeżyn odechciało. Czułem jak łagodnie unoszą mnie krzaki, widziałem każdą



chmurkę zwolna sunącą się po błękiecie, słyssałem szelest każdego liścia, alem sam nie nie myślał.

Nagle, coś szarpnęło mnie. Zerwałem się na równe nogi, nie pojmując, co się dzieje. Przez mgnienie było cicho jak i pierwój, lecz w tejsze chwili usłyssałem płacz i krzyk Loni:

— Zosiul... Panno Klementyno!... na pomoc!...

Jest coś strasznego w krzyku dziecka: na pomoc!... Przemknęły mi przez głowę wyrazy: żmija! Tarnina chwytala mnie za odzież, oplatywała nogi, szarpała, odpychała, nie!... ona mocowała się ze mną biła się ze mną jak żywy potwór, a tymczasem Lonia wołała: „na pomoc!... Boże, mój Boże!...“ a ja rozumiałem tylko jedną rzecz, jasną jak słońce, że tu muszę dać pomoc, albo sam zginąć.

Zmęczony, podrapany, a najbardziej—przerażony, przedarłem się w końcu do tego miejsca, gdzie słyszał płacz Loni.

Siedziała na krzaku, drząc i załamując ręce.

— Loniu!... co tobie?... — zawołałem do niej, pierwszy raz po imieniu.

— Osa!... osa!...

— Osa?...—powtórzyłem, rzucając się ku niej. — Ukąsiła cię?...

— Jeszcze nie, ale...

— Więc cóż...

— Chodzi po mnie...

— Gdzie?...

Z oczu jój płynęły łzy. Była bardzo zawstydzona, ale strach przemógł.

— Wlazła mi w pończoszkę... O, Boże... Boże. Zosiul...

Ukląknęłam przed nią, alem jeszcze nie śmiała szukać osy.

— Więc wyjmij ją—rzekłam.

— Kiedy się boję. O, Boże!...

Drżała jak w febrze. Zdobyłem się na szczyt odwagi.

— Gdzie ona jest?

— Teraz chodzi mi po kolanie...

— Nie ma jój ani tu, ani tu.

— Już jest wyżej. Ach! Zosiu, Zosiu!...

— Ależ i tu jój niema...

Lonia zasłoniła oczy rękoma.

— Musiała schować się w sukienkę... — rzekła, płacząc jeszcze rzewniej.

— Jest!...—zawołałem.—To mucha...

— Gdzie?... Mucha?... — spytała Lonia. — Prawda, że mucha! Ach, jaka duża... Byłam pewna, że to osa. Myślałam, że umrę... Boże! jaka ja głupia. Obtarła oczy i odrazu zaczęła się śmiać.

— Zabić ją, czy—puścić? — spytałem Loni, pokazując jój nieszczęsnego owada.

— Jak ci się podoba — odpowiedziała, już zupełnie spokojnie.

Chciałem muchę zabić, ale — nie miałem serca

A ponieważ i skrzydła i ona sama była bardzo zmięta, więc—ostrożnie położyłem ją na liściu.

Tymczasem Lonia przypatrywała mi się nader pilnie.

— Co tobie?...—nagle spytała.

— Nie — odpowiedziałem, usiłując się roześmiać.

Uczułem, że siły gwałtownie mnie opadają. Serce uderzało mi jak dzwon, zaczęło mi się ćmieć w oczach, zimny pot wystąpił na całe ciało i kłęcząc—zachwiałem się.

— Co tobie, Kaziu?...

— Nie... tylko myślałem, że ci się trafiło jakie nieszczęście...

Gdyby mnie Lonia nie pochwyciła i nie oparła mi głowy na swych kolanach, byłbym rozbił nos o ziemię.

Jakaś ciepła fala uderzyła mi do głowy, usłyszałem szum w uszach i znowu głos Loni:

— Kaziu!... kochany Kaziu... co tobie?... Zosiu! o Boże, on zemdlał... Cóż ja tu pocznę nieszczęśliwa?...

Objęła mnie rękoma za głowę i zaczęła całować. Na całej twarzy czułem jęj łzy. Było mi jęj tak żal, że zebrałem resztę sił i z trudem dźwignąłem się.

— Nie mi nie jest!... nie bój się!...—zawołałem z głębi piersi.

Istotnie chwilowe osłabienie minęło tak prędko, jak przyszło. W uszach przestało szumieć, wzrok mi



się wyjaśnił, podniosłem głowę z kolan Loni i patrząc jęj w oczy, śmiałem się.

Teraz i ona zaczęła się śmiać.

— Ach, ty niepocziwy, ach, ty niedobry!.. — mówiła—żeby mi narobić takiego strachu. Jakże ty mogłeś zemdleć przez takie głupstwo?... Gdyby to nawet była osa, toby mnie przecież nie zjadła... I co jabym robiła tu z tobą?... Ani wody, ani ludzi, Zosia gdzieś poszła, a ja sama musiałabym ratować takiego dużego chłopca. Wstydź się!

Naturalnie, żem się wstydził. Czy można ją było tak przestraszać?

— Cóż—jakże ci jest?—pytała Lonia. — Eh! już pewnie dobrze, boś nie taki blady. Pierwój byłeś biały, jak płótno.

No — dodała po chwili — będę ja się mieć zpy-szna, jak się mama o tem dowie!... Ach, Boże! boję się nawet wracać do domu...

— O czym mama się dowie?—spytałem.

— O wszystkim, a najgorzej o tój osie...

— Więc nie mów nikomu.

— Cóż z tego, że ja nie powiem...— rzekła, odwracając głowę.

— Może myślisz, że ja powiem...— odparłem.— Jak ojca kocham, tak nikomu ani słówka.

— A Zosi?... Ona jest dobra do sekretu.

— Ani Zosi. Nikomu.

— Choć i bez tego wszyscy się dowiedzą. Ty je-

steś taki podrapany, potargany... Ale, czekajno!..— dodała po chwili i obtarła mi twarz chustką. Boże! czy ty wiesz, że ja ciebie nawet pocałowałam ze strachu, bom już nie wiedziała, co robić. Żeby się kto o tem dowiedział, spaliłabym się ze wstydu, choć naprawdę—z osą byłby także kłopot. Ach! co ja mam zmartwienia przez ciebie...

— Ale niemasz się czego obawiać—pocieszałem ją.

— Tak, nie mam. Wszystko się wyda, bo masz pełno liści w głowie. Zresztą, zaczekaj, ja cię uczeszę. Byle tylko z jakiego krzaka nie podglądała nas Zosia. Ona jest dobra do sekretu, ale zawsze.

Lonia wzięła ze swych włosów półkolisty grzebień i zaczęła mnie czesać.

— Ty zawsze jesteś potargany—mówiła. Powinieneś czesać się tak, jak wszyscy panowie. O, tak. Mieć przedział z prawego boku, nie—z lewego. Gdybyś miał włosy czarne, byłbyś taki piękny, jak narzeczony mojej mamy. Ale żeś blondyn, więc uczeszę cię inaczej. Będiesz teraz wyglądał, jak aniołek, co jest pod Madonną. Wiesz który. Szkoda, że nie mam lusterka.

— Kaziu! Loniu!... — zawołała w téj chwili Zosia, gdzieś od strony parku.

Zerwaliśmy się oboje, a Lonia była naprawdę przełęczniona.

— Wszystko się wyda!—rzekła.— Och! ta osa!.. A najgorsze to, żeś zemdłał...

— Nic się nie wyda! — odparłem energicznie. Ja przecie nic nie powiem.

— Ani ja. Nie powiesz nawet, żeś zemdłał?..

— Naturalnie.

— No, no!.. dziwiła się Lonia. Bo ja, żebym zemdłała, tobym nie mogła wytrzymać..

— Kaziu! Loniu!.. — wołała moja siostra, już o kilkanaście króków od nas.

— Kaziu! — szepnęła Lonia, kładąc palec na ustach.

— Już nie bój się.

Zaszeleściły krzaki i ukazała się Zosia ubrana w fartuszek.

— Gdzieś ty była Zosiu? — zapytaliśmy ją oboje.

— Chodziłam po fartuszek, dla siebie i dla ciebie, Loniu. Masz oto, bo jeżyny walają.

— Czy zaraz wracamy do domu?..

— Niema po co — odparła Zosia. — U mamy jest ten pan, a panna Klementyna ani myśli wyjść z altanki. Możemy tu siedzieć choćby do wieczora. Ale już zaczynam rwać jeżyny, boście wy więcej zjedli ich niż ja.

Zaczęły rwać obie, a ja także jakoś nabrałem nanowo ochoty do jedzenia.

Widząc, że oddalam się, Lonia zawołała za mną:

— Kaziu! — wiesz, o czem myślę!..

I pogroziła mi palcem.

W tej chwili po raz, nie wiem który, przysięgłem



sobie, że nikomu nie wspomnę, ani o mojem zemdle-  
niu, ani o téj musze. Ledwie jednak odszedł kilka  
kroków, usłyszałem głos Loni:

— Żebyś ty wiedziała, Zosiu, co się tu działo?...  
Ale nie, nie mogę ci powiedzieć ani słówka. Chociaż,  
gdybyś mi przyrzekła, że dotrzymasz sekretu..

Uciekłem jak najdalej w gąszcz, czując, że się  
wstydzę. No—chociaż Zosia...

Na owych nieszczęsnych jeżynach byliśmy jesz-  
cze z godzinę. Gdyśmy stamtąd wracali do domu,  
dostrzegłem wielką zmianę sytuacji. Zosia patrzyła  
na mnie ze zgrozą i ciekawością, Lonia wcale nie  
patrzyła, a ja byłem tak zmieszany, jakbym popełnił  
morderstwo.

Żegnając się z nami, Lonia serdecznie ucałowała  
Zosię, a mnie — kiwnęła głową. Zdjąłem przed nią  
czapkę, myśląc, że jestem wielki gałgan.

Po odejściu Loni, Zosia wzięła mnie w obroty.

— Dowiedziałam się pięknych rzeczy! — rzekła  
z powagą.

— Cóżem ja zrobił?—zapytałem, na dobrze prze-  
straszony.

— Jak to co? Naprzód — zemdlałeś (ach! Boże,  
i maie przy tem nie było...) no — a potem ta osa,  
czy mucha... Okropność... Biedna Lonia! Ja umarła-  
bym ze wstydu.

— Ale cożem ja temu winien? — ośmieliłem się  
spytać.

— Mój Kaziu—odparła—przedemną nie potrzebujesz się tłumaczyć, bo przecież ja ci nic nie zarzucam. Ale zawsze...

„Ale zawsze...” to mi odpowiedź!... Z tego „ale zawsze” wypadło, że w całej sprawie ja jeden jestem winien. Mucha nie, Lonia, która w niebogłosy krzyczała, także nie, tylko ja, za to, żeś biegł na ratunek.

Prawda, ale po co zemdlałem?...

Byłem niepocieszony. Na drugi dzień wcale nie poszedłem do parku, byle tylko nie pokazywać się Loni, a na trzeci — ona kazała mi przyjść. Gdy przyszedłem, kiwnęła mi głową zdaleka i rozmawiała tylko z Zosią, rzucając na mnie od czasu do czasu spojrzenia dumne i smutne, jak na zbrodniarza.

Chwilami myślałem, że jednak dzieje mi się tu jakaś niesprawiedliwość. Wnet przecie tłumilem podobne podejrzenia, mówiąc sobie, żeś naprawdę zrobił coś strasznego. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że taka metoda stanowi charakterystyczną cechę kobiecój loiki.

Tymczasem dziewczynki chodziły po ogrodzie, poważnym krokiem, ani myśląc o skakaniu przez sznur, tylko szepecząc coś między sobą. Nagle, Lonia zatrzymała się i rzekła głosem bolejącym:

— Wiesz, Zosiu, taki mam apetyt na czarne jagody... Aż mi pachną...

— To ja zaraz przyniosę — odezwałem się z po-

śpiechem.—Znam w lesie jedno miejsce, gdzie jest ich bardzo dużo.

— Będiesz się fatygował?... — odpowiedziała Lonia, — cbrzucając mnie melancholijnem wej-rzeniem.

— Cóż to szkodzi? Niech idzie kiedy chce — wtrąciła Zosia.

Poszedłem tem śpieszniej, że mi już w ogrodzie zaczynało być duszno wobec tylu grymasów. Mijając kuchnię usłyszałem, że panienki śmieją się, a gdy od niechcenia zajrzał przez parkan, spostrzegłem, że w najlepsze skaczą przez sznur. Widać, że tylko wobec mnie zachowywały tak uroczyste miny.

W kuchni był piekielny hałas. Matka Walka płakała i klęła, a stara Salusia wymyśla jój za to, że Walek stłukł talerz.

— Dałam mu — jęczała pomywaczka — temu hyclowi talerz, żeby se wylizał, a on, podlec, buch! go na ziemię i jeszcze uciekł. Oj! jeżeli ja cię dziś nie zabiję, to mi chyba ręce i nogi odejmie...

A potem wołała:

— Walek!... chodź mi tu zaraz psia wiaro, bo z ciebie będę pasy darła, jak wnet nie przyjdiesz.

Zrobiło mi się żal chłopca i chciałem załagodzić sprawę. Pomyślałem jednak, że mogę zrobić to samo wróciwszy z lasu, bo Walek chyba dopiero w no-cy pokaże się w kuchni — i — poszedłem w swoje stronę.



Las był odległy od folwarku na jakie półgodziny drogi, może i dalej. Rosły w nim dęby, sosny, leszczyna, a poziomek i czarnych jagód było tyle, ile kto mógł zebrać. Z brzegu trochę pastusi przedzili jagody, głębiej było ich więcej, zajmowały takie płaty ziemi, jak dziedziniec

Dostawszy się w te okolice, narwałem jagód całą czapkę i całą chustkę, sam mało jedząc, bom się śpieszył. Pomimo to upłynęła godzina, albo i dłużej, nim obładowany zdobyczą, zabrałem się do powrotu. Nie szedłem prosto, alem trochę nakładał drogi, gdyż wogóle pociągała mnie przechadzka po lesie.

Gdy idziesz ku gąszczowi, drzewa wyraźnie ustępują ci, niby robią miejsce. Ale spróbuj, posuwając się naprzód, odwracać głowę. Podają sobie gałęzie jak ręce, pień zbliża się do pnia, potem nawet zaczynają się stykać i ani się spostrzeżesz, kiedy wyrosnie za tobą pstra ściana, głęboka, nieprzebyta...

Nic łatwiejszego jak wtedy zbłądzić. Gdziekolwiek ruszysz się, wszędzie jest jednakowo, wszędzie drzewa rozsuwają się przed tobą, a zbiegają za tobą. Zaczynasz pędzić, one także pędzą wiaź za ciebie, byle ci odciąć odwrót. Stajesz — one stają i zmęczone, chłodzą się gałęzmi jak wachlarzami. Poruszasz głową na prawo i na lewo, szukając drogi i widzisz, że niektóre z drzew kryją się za inne

mi, jakby chcąc cię przekonać, że jest ich mniej, niż sądzisz.

O! las to rzecz niebezpieczna. Tam każdy ptak szpieguje, gdzie idziesz, każde ziółko chce ci oplątać nogi, a nie mogąc — przynajmniej szelestem donosi o tobie innym. Tak on widać tęskni za ludzką twarzą, że raz ją zobaczywszy, używa wszelkich podstępów, by ją zatrzymać na zawsze.

Już słońce miało się ku zachodowi, kiedym wyszedł na pole. O paręset kroków spotkałem Walka. Szedł prędko w stronę lasu, podpierając się wysokim kijem.

— Gdzie ty idziesz?—zapytałem go.

Nie uciekał przedemną. Stanął i wskazując żółtą rączyną na las, odparł cicho:

— Het! het!...

— Niedługo będzie noc, wracaj do domu.

— Kiej mnie matula strasznie chcą zbić...

— Chodź ze mną, to cię nie zbije.

— O, zbijel!...

— No chodź, zobaczysz, że nic ci nie zrobi — rzekłem, zbliżając się do niego.

Chłopak cofnął się, ale nie uciekał, zdawało mi się, że się waha.

— No, chodź-że...

— Kiedy boję się...

Znowum się zbliżył, a on znowu się cofnął. To wahanie się i cofanie obdartego chłopca, zniecierpli-



wiło mnie. Tam Lonia czeka na jagody, a on targuje się ze mną o powrót?... Nie mam na to czasu.

Prędko poszedłem ku folwarkowi. Byłem chyba w połowie drogi do domu, gdym odwrócił głowę i zobaczyłem Walka na wzgórku pod lasem. Stał ze swym kijem w ręku i patrzył na mnie. Wiatr powiewał szarą koszuliną, a podarty kapelusz w promieniach zachodzącego słońca, błyszczał mu na głowie jak ognisty wieniec.

Coś mnie tknęło. Przypomniałem sobie, jak go namawiali parobcy, ażeby wziął kij i poszedł w świat. Czyżby?... Nie, on przecie taki głupi nie jest. Zresztą nie mam czasu wracać do niego, bo pogniotą mi się jagody, a tam Lonia czeka...

Pędem przybiegłem do domu, chcąc przesytać jagody do koszyka. Na progu Zosia powitała mnie — rzewnym płaczem...

— Co to jest?...

— Nieszczęście — szepnęła siostra. — Wszystko się wydało... Tatko stracił miejsce u pani...

Jagody wysypały mi się z czapki i z chustki. Schwyciłem siostrę za rękę.

— Zosiu, co ty mówisz?... co się tobie dzieje?...

— Tak jest. Tatko już niema miejsca. Lonia pod sekretem powiedziała guwernantce o tój osie, a guwernantka pani... Kiedy tatko przyszedł do pałacu, pani kazała, żeby ciebie natychmiast wywiózł



do Siedlec. Ale tatko odpowiedział, że — wszyscy wyjedziemy razem...

Zaczęła strasznie płakać.

W téj chwili zobaczyłem ojca na dziedzińcu. Pobiegłem naprzeciw i bez tehu upadłem mu do nóg.

— Mój serdecznu tatku, com ja narobił!.. — szeptałem, obejmując go za kolana.

Ojciec podniósł mnie, pokiwał głową i odparł krótko:

— Głupiś, idź do domu.

A potem rzekł jakby do siebie.

— Jest tu inny majster, który nas stąd wypędza, bo myśli, że stary plenipotent nie pozwoliłby mu przegrać majątku sieroty. I ma rację!

Odgadłem, że mówi o narzeczonem naszej pani. Zrobiło mi się lżej na sercu. Pocałowałem szorstką rękę ojca i odezwałem się trochę śmieliej.

— Bo, widzi tatko, byliśmy na jeżynach. Lonie ugryzła osa...

— Głupiś jak osa. Nie brataj się z paniętami, to nie będziesz polował na osy i nie zniszczysz majątek w sadzawce. Idź do domu i nie wylaż mi za próg, dopóki stąd wszyscy nie wyjadą.

— Oni jadą?...—ledwiem wyszeptał.

— Jadą do Warszawy za kilka dni, a wrócą kiedy nas już tu nie będzie.

Smutno zeszedł wieczór. Na kolację były dosko-

nałe kluseczki z mlekiem, ale żadne z nas nie jadło. Zosia obcierała czerwone oczy, a ja układałem desperackie projekty.

Przed położeniem się spać, cicho wszedłem do pokoiku siostry.

— Zosiu — rzekłem do niej stanowczo — ja... muszę się ożenić z Lonią...!

Spojrzała na mnie przestraszona.

— Kiedy?...— spytała.

— Wszystko jedno.

— Ależ teraz ksiądz proboszcz nie da wam ślubu, a później ona będzie w Warszawie, a ty w Siedlcach... Zresztą, coby powiedział tatko, pani?..

— Widzę, że nie chcesz mi pomóc— odpowiedziałem siostrze i nie pocałowawszy jej na dobranoc, wyszedłem.

Od téj chwili nie pamiętam już nic. Mijały dni i noce, a ja wciąż leżałem w łóżku, przy którym siedziała albo moja siostra, albo Wojciechowa, a czasami felczer. Nie wiem, czy mówiono przy mnie, czy mi się tylko marzyło, że Lonia już wyjechała i że Walek gdzieś przepadł. Raz nawet zdawało mi się, że widzę nad sobą zapłakaną twarz pomywaczki, która łkając, pytała:

— Paniczu, gdzieście widzieli Walka?..

Ja?... Walka?.. Nic nie rozumiałem. Ale później przyszło mi do głowy, że zbieram jagody w lesie i że z za każdego drzewa patrzy na mnie Walek.

Wołam go, on ucieka—gonię za nim, lecz nie mogę dopędzić. Tarnina chwyta mnie i odpycha, jeżyny oplatają nogi, drzewa tańczą, między pniami po rosleniach mechem miga szara koszulina chłopca.

Niekiedy marzyłem, że ja sam jestem Walek, to znowu, że Walek, Lonia i ja jesteśmy jedną osobą. Przytem zawsze widywałem las albo gęste krzaki—zawsze ktoś wołał mnie na pomoc, a ja —nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Strach com wycierpiał.

.....

Gdym podniósł się z łóżka, był już koniec wakacji i należało jechać do szkół. Parę dni jeszcze przesiedziałem w mieszkaniu i dopiero w wigilię wyjazdu, przed wieczorem, wywlokłem się na dziedziniec.

W pałacu okna były zasłonięte roletami. Więc oni naprawdę wyjechali?... Zaszedłem pod kuchnię upatrując Walka. Walka nie było. Spytałem o niego jakięś dziewczuchy.

— Oho! paniezu—odparła—nie ma już Walka..

Bałem się pytać o więcej. Poszedłem do parku.

Boże, jak tu smutno... Bez myśli włóczyłem się po wilgotnych ścieżkach, bo niedawno deszcz padał. Trawa pożółkła, sadzawka jeszcze bardziej zarosła, w czólnie pełno wody. W alei głównej stały wielkie



kałuże, w których przeglądał się mrok. Ziemia czarna, pnie czarne, gałęzie obwisły, liście więdną. Smutek szarpał mi duszę i zgłębi raz po raz wydobylał jakiś cień. To Józia, to Loni, to Walka...

W tem wionął wiatr, zaszumiały wierzchołki drzew i, z chwiejących się gałęzi, zaczęły padać duże krople, jak łzy. Bóg widzi, że płakały drzewa. Nie wiem czy nademną, czy za mojami przyjaciółmi, ale to pewna, że—razem ze mną...

Ciemno było kiedyś wyszedł z parku. W kuchni parobcy jedli wieczerzę. Za kuchnią, w polu, zobaczyłem figurę kobiecą. Przy niepewnym świetle, które spływało na ziemię z jasnego paska obłoków, poznałem pomywaczkę. Patrzyła na las i mruzczała:

— Walek... Walek!... a wracajże do dom... O, coś ty mi zgryzoty narobił, ty niecnoto, niecnoto...

Uciekłem pędem do domu, bom myślał, że mi serece pęknie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

## SPIS RZECZY.

|                                        | Str. |
|----------------------------------------|------|
| Orestes i Pylades . . . . .            | 1    |
| On . . . . .                           | 7    |
| Podwójny człowiek . . . . .            | 21   |
| Na pograniezu . . . . .                | 49   |
| Echa muzyczne . . . . .                | 111  |
| Pan Dudkowski i jego folwark . . . . . | 161  |
| Grzechy dzieciństwa . . . . .          | 211  |



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-230 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42















F

2749<sub>2</sub>